

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



RADOSŁAW SIKORSKI:
Nam potrzebna jest
racjonalna, nierasistowska
dyskusja, jakich migrantów
chcemy, za jakich dziękujemy



WYSOKIE OBCASY
**Charlotte
Rampling:**
Patrzę swoim
potworom w twarz

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Szkoła wreszcie bez strachu

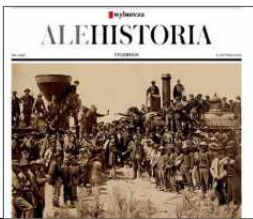
MIEJMY NADZIEJĘ – MÓWIĄ NAUCZYCIELE

FOT. JACOB FORSELL / GETTY IMAGES

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Pozłacany
wiek**
Prawdziwe
narodziny Ameryki



**TVP według Andrzeja
Bobera.** Jak leciały
„Listy o gospodarce”,
ulice pustoszały

Śnieg już był
A zima będzie
tylko w styczniu
► 4

Agnieszka
KublikAni jednej
więcej!

Izabela Leszczyna, ministra zdrowia, ogłosiła, że „podmiot leczniczy nie ma sumienia” i dlatego wkrótce w umowach ze szpitalami Narodowy Fundusz Zdrowia zapisze, że kierownik placówki musi zapewnić pacjentce pomoc, gdy ciąża jest dla niej zagrożeniem.

Czekałam na takie słowa. To niby banal, ale PiS wszędzie, gdzie się wtrącał, podwierał znaczenia. Wolimy więc lekarza bez sumienia niż z sumieniem. To absurd, ale do tego właśnie doprowadził Jarosław Kaczyński. I ci wszyscy, którzy wsłuchiwali się w jego sumienie (czy je ma?).

Na przykład gdy w październiku 2016 r. obiecywał kobietom, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by im było gorzej: „Będziemy dążyli do tego, by nawet przypadki ciężko bardzo trudnych, kiedy dziecko jest skazane na śmierć, mocno zdeformowane, kończyły się jednak porodem, by to dziecko mogło być ochrzczone, pochowane, miało imię. Oczywiście mowa tylko o tych przypadkach trudnych ciąży, gdy nie ma zagrożenia życia i zdrowia matki”.

Życie pokazało, że z tych słów zrodziły się prawdziwe tragedie: Izy, Justyny, Agnieszki, Ani, Doroty.

Przekaz Leszczyny jest fundamentalnie prosty: nie będziemy chronić sumienia lekarzy, będziemy chronić zdrowie i życie kobiety. Sumienie lekarza nad prawem kobiety? Wreszcie nie.

Wolimy lekarza bez sumienia niż z sumieniem. To absurd, ale do tego doprowadził PiS

to przesłanki do legalnej aborcji w Polsce. PiS tych lekarzy odmawiających rodzinie pomocy sparaliżował. Sparaliżował ich sumienia.

Z ogromnym zdumieniem słuchałam wtedy, jak o tej sprawie mówił Władysław Kosiniak-Kamysz, lekarz internista. Zapytany, czy zrobiłby aborcję w takim przypadku, odparł: „Nie jestem ginekologiem. Z tego powodu bym nie dokonał, bo to nie leży w moich kompetencjach. Tu też bym zastosował klauzulę sumienia u siebie, w takim wypadku. Ale też nigdy nie myślałem, żeby pójść na ginekologię”.

Czyżby sumienia lekarzy były inne w zależności od ich specjalizacji?

PS 31 stycznia GUS ogłosił, że w 2023 roku urodziło się 272 tys. dzieci, to o 33 tys. mniej niż rok wcześniej. Rząd PiS „osiągnął” najniższą liczbę urodzeń od końca II wojny światowej.

Kaczyński sparaliżował sumienia lekarzy i marzenia kobiet o dziecku. ●

Klimt odnaleziony
Panna do wzięcia

FOT. REUTERS/LEONHARD FOEGER

„Portret Fräulein Lieser” Gustaw Klimt namalował w 1917, krótko przed śmiercią. A wkrótce potem obraz zaginął na 100 lat. I właśnie pojawił się ponownie. 24 kwietnia zostanie wystawiony w domu aukcyjnym Im Kinsky w Wiedniu, jego wartość szacowana jest na 30-50 milionów euro.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na

wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend ***

PW57UJ3

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 3-4.02.2024 r.

Włochy w żałobie
Była z felliniańskiego snu

W poniedziałek rano umarła Sandra Milo, przedostatnia diwa kina włoskiego. Grała m.in. w filmach „Osiem i pół”, „Giulietta i duchy”... krótko mówiąc – u Felliniego, z którym związku nie ukrywał chyba nikt, kto o nim wiedział, a wiedzieli wszyscy. Obecna w ostatnich latach w telewizji, gdzie odgrywała rolę mitu dawnego filmu, dawnego piękna. Była frywolna, zabawna i mądra, kiedy opowiadała o swoich filmach, związkach, małżeństwach niepodrabialnym głosem chłopczykodziewczyny... Walczyła o prawo do swoich dzieci („44 procesy, jestem lepsza niż Berlusconi”, mawiała). O kobiety, o zrównanie w prawach, o święte prawo do tego, by nie być katowanym. Do miłości bez względu na wiek i stan. Ujmująco uprzejma. Była z felliniańskiego snu. Była mityczna. Znacząca więcej. Uwielbiała cukierki. Płaczą Włochy, płacze telewizja włoska. Zdanie, które lubię najbardziej: „Kiedy kobieta chce kochać, bądź spokojny, że zakocha się, nawet kiedy nie ma w kim”.



FOT. WIKIMEDIA COMMONS

„Była zakochana w samej miłości”, mówi dziś o Sandrze Mara Maionchi. Nie powiedziała nigdy złego słowa o nikim. Kiedy do jakiegoś programu telewizyjna zawiozła ją na pustynię, chodziła po piasku w szpilkach. Brakuje takich ludzi z miłosnego, kostiumowego snu. Aha, jej nazwisko to pseudonim pożyczony od Wenus. ●

Jarosław Mikołajewski

Andrzej rysuje

Medyczne
fejki

FOT. SHUTTERSTOCK

mnożą się w polskim internecie. Co kieruje osobami siejącymi dezinformację?

Czytaj
► [Wyborcza.pl/nauka](https://wyborcza.pl/nauka)

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Polak ofiarą
holenderskiej policji

Sześciu mundurowych przygniata zatrzymanego. Jeden klęka na ramieniu Mateusza, drugi na plecach, pięścią uderza go po nerkach. Kolejni siadają na nogach, kolanem przyciskają głowę do chodnika. Mateusz ryczy z bólu,

ale wciąż się szarpie. Jeden z funkcjonariuszy dopytuje kolegów: – On charczy, czy nie powinniśmy zadzwonić po karetkę? W odpowiedzi słyszy: – Nie, jeszcze oddycha. **Reportaż Bartosza Józefiaka w poniedziałek w „Dużym Formacie”**



Top 4 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Środa

Obrona chrześcijan

1 Sejm zajmie się nowelizacją kodeksu karnego, która wprowadza karę do dwóch lat więzienia za lżenie Kościoła. To druga próba przyjęcia ustawy, której projekt przygotowali ziobryści. Zebrali pod nim ponad 400 tys. podpisów i złożyli w Sejmie jako obywatelski. „Obroną chrześcijan” zajmował się już poprzedni Sejm. Bez sukcesu.



FOT. SABRINA LANTOS, SEAWOMIR KAMIŃSKI, MACIEK JAŻWIECKI, DOMINIK GAJDA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Środa

Uchylenie immunitetów

2 opiniować będzie sejmowa komisja regulaminowa. Roman Giertych chce, by Zbigniew Ziobro odpowiadał za pomówienie go. Z powodu antyuchodźczego spotu kłopoty mogą mieć Joanna Lichocka, Piotr Gliński, Mariusz Błaszczak i Paweł Szefernaker. A przez antysemickie i rasistowskie wypowiedzi – Przemysław Czarnek.



Piątek

Love me tender

3 „Priscilla” w reżyserii Sofii Coppoli to opowieść o mroku życia w cieniu jednej z najjaśniejszych gwiazd XX-wiecznej kultury. – W opowieściach o Elvisie jego żona zwykle zajmuje pomniejsze miejsce – mówiła reżyserka. – Mnie zafascynowała jej perspektywa. Film z Caillee Spaeny w tytułowej roli wchodzi do naszych kin.



Piątek

Wraca ekstraklasa

4 Po przerwie zimowej rozgrywki wznawia PKO Ekstraklasa – stojące na przeciętnym poziomie, ale najpopularniejsze rozgrywki ligowe w Polsce. Po jesiennych meczach liderem jest Śląsk Wrocław z trzema punktami przewagi nad Jagiellonią Białystok. Trzeci na razie jest Lech Poznań, czwarty Raków Częstochowa i piąta Legia Warszawa.



Liczba
dnia

12

MLN ZŁ
z konta parafii przełał na bitcoiny Włodzimierz G., były proboszcz z Legnickiego Pola. Były przeznaczone na renowację świątyni, pochodziły z dotacji rządowej i lokalnego samorządu. Zapadł wyrok więzienia i zwrotu pieniędzy

• Więcej ► Wyborcza.pl

Wieszczącym schyłek Kaczyńskiego ku przestrodze

Monopol na strach

Trump jest stary, zmęczony, mówi bez polotu, sala przysypia – a i tak wygrywa w cuglach

Jarkowiec



Wyobraźmy sobie maraton: jegomość z brzuszkiem, na oko po siedemdziesiątce, dochodzi do mety wolnym krokiem, unosi ręce, uśmiecha się szyderczo i nawet nie odwraca za siebie. Przeciwnicy zeszli z trasy na pierwszych kilometrach, wybuczani przez kibiców.

Tak wyglądają tegoroczne prawybo-ry u Republikanów. Trump nie zdążył się zmęczyć, gdy został na trasie sam. Pięć miesięcy temu w pierwszej prawyborczej debacie, w której nie raczył nawet wystąpić, wzięło udział ośmioro kandydatów na kandydatów. Pośród nich takie tuzy jak niezwykle kiedyś popularny były gubernator New Jersey Chris Christie, nadal niezwykle popularny gubernator Florydy Ron DeSantis czy niedawny wiceprezydent Mike Pence. Dziś już ich nie ma, choć w prawyborach głosowały dopiero dwa stany. W pierwszym starciu w Iowa Trump dostał więcej głosów niż wszyscy pozostali republikanie razem wzięci.

W drugim odcinku w New Hampshire miał już tylko jedną przeciwniczkę – Nikki Haley, byłą ambasadorkę USA przy ONZ. Po jej porażce (54,3 do 43,2 proc.) jeden z tych komentatorów, którzy wieszczą śmierć amerykańskiej demokracji, jeśli Trump wróci do władzy, napisał z goryczą: „Haley była tylko iluzją”. Inny szukał resztek nadziei: „Haley nie ma szans wygrać z Trumpem, ale może go użądlić”. Wszystko wskazuje na to, że jeśli na jego drodze nie stanie Sąd Naj-

wyższy (rozstrzygnie, czy były prezydent złamał konstytucję, nawołując do szturm na Kapitol), w listopadzie pierwszy raz w dziejach zmierzy się dwóch prezydentów – byli i urzędujący.

Najciekawsze, że Trump nokautuje republikanów konkurencję, mimo że wygląda, jakby miał serdecznie dość polityki. Korespondenci donoszą, że jego wiece są nudne jak flaki z olejem. Gwiazdor często przybywa spóźniony, przemawia rozwlekłe i bez polotu. Wielu wiecowniców wychodzi przed końcem, kamery uchwyciły, że nawet ci stojący za mównicą – ich zadaniem jest robić show – przysypiają. To kampania całkiem inna niż dwie poprzednie, kiedy Trump tryskał energią na wiecach, a gdy schodził ze sceny, bombardował publiczność za pomocą Twittera. Wtedy analitycy wskazywali, że w świecie, w którym polityka stała się reality show, Trump zaważadł całą przestrzeń medialną. Dziś jest go w niej o wiele mniej. Już dawno, milion razy, powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Jest osiem lat starszy niż wtedy, gdy zostawał prezydentem, w czerwcu skończy 78 lat. A mimo to trzyma rząd dusz.

Ci, którzy wieszczą w Polsce rychły pogrzeb PiS, niech potraktują to jako ożywiający prognostyk.

Czytam slogany, które miały napędzać kampanie republikanów kontrkandydatów. Nikki Haley: „Stand for America” (popieraj Amerykę); DeSantis: „Never Back Down” (nie poddawaj się); Christie: „Truth Matters” (prawda ma znaczenie). Chyba sami w nie nie wierzyli, skoro z reguły nie drukowali ich na banerach. Były prezydent trzyma się hasła „Make America Great Again”. To ono dało mu prezydenturę. Doczekało się akronimu MAGA, tu i ówdzie po-

pularniejszego niż USA. Naklejone na czapki i koszulki jest warte miliony.

Pierwsze slogany w amerykańskich kampaniach pojawiły się w połowie XIX wieku. W następnym stuleciu przesuwali politykę w kierunku rozrywki. Hasło „I Like Ike” (1952) Dwighta (Ike’a) Eisenhowera ilustrowała kreskówka, w której śpiewały je postaci przedstawiające zwykłych obywateli. Piosenka „Nixon Now” (1972) została wydana na singlu. Gdy Obama rozkręcał wielotysięczne sale wspólnym skandowaniem „Yes, we can!” (2008), był jak Freddie Mercury wprowadzający stadion w szal swoim „We will rock you!”.

Dzisiejszy lider Republikanów ukradł swoje hasło Ronaldowi Reaganowi, który używał go w kampanii w 1980 roku. Fundacja Reagana chciała je odebrać, ale zabrakło argumentów prawnych. Skończyło się na zakazie używania przez sztab Trumpa wizerunku Reagana do zbierania kampanijnych funduszy. Były prezydent jest z Fundacją skłócony. Jej przedstawiciele nazywali go „rozpieszczonym gówniarzem w piaskownicy” albo „Volde-mortem”. Nie dostał od nich zaproszenia, aby wystąpić w cyklu spotkań z najważniejszymi politykami Republikanów. Nie przybył na debatę w Bibliotece Reagana we wrześniu. Jednak gdy reporter Politico odwiedził doroczny piknik dla konserwatystów organizowany przez Fundację, odkrył, że pośród uczestników przeważali zwolennicy Trumpa. Jeden z rozmówców deklarował miłość do Reagana, zauważa-

jąc jednocześnie: „Republikanie są dziś partią Trumpa, nie Reagana. Tak musi być”. Syn legendarnego prezydenta stwierdził, że ojciec z łatwością wygrałby z Bidenem, ale wcześniej nie miałby szans w republikanów prawyborach.

Spece od kampanii przekonują, że polityk, który chce uwieść masy, ma do wyboru tylko dwie opowieści: o strachu albo nadziei. John Kennedy, choć trwał zimna wojna i naród boi się nuklearnego ataku Sowietów, mówi o przyszłości – pokonamy zło, polecimy na Księżyc, zbudujemy dobrobyt. Nadzieja. Dekadę później Richard Nixon: jeśli mnie nie wybieriecie, przestępczość pożre wasze dzieci. Strach. George W. Bush przed drugą kadencją: strzeżcie się, bo terroryści chcą zaważadnąć światem. Strach. Obama: skończymy wojny i opanujemy kryzys. Nadzieja.

Reagan i Trump używają tego samego hasła, ale mówią co innego. W latach 80. zawsze uśmiechnięty Reagan opowiada, jak wspaniała będzie wkrótce Ameryka. W roku 2024 zawsze posępny Trump o tym, jak wspaniała była, zanim upadła. Jeśli on nie zostanie wybrany, kraj przestanie istnieć. Republikanów kontrkandydaci nie mieli z nim szans, bo zmonopolizował opowieść o strachu. Powtarzali zaklęcia, którymi on już dawno zahipnotyzował miliony wiernych. Nie mogli mówić nic innego, bo zahipnotyzowani nie potrafili słuchać opowiadania o nadziei.

W Polsce Jarosław Kaczyński nie ma na prawicy konkurencji, bo dzięży monopol na strach. Zagrożenia – realne bądź urojone – na których zbudował swoją opowieść, do następnych wyborów nie znikną. Owszem, będzie kilka lat starszy, a jego przemówienia będą ponure, nudne i wtórne. Owszem, spada mu dziś w sondażach. Cztery lata temu po porażce Trumpowi też spadało. • Maciej Jarkowiec

• „Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-eseistyczna Macieja Jarkowca dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl

Choć był to miesiąc dość ciepły, grudzień zresztą też.

Z kolei pierwsza połowa stycznia była w Polsce nie tylko śnieżna, ale i dość chłodna. A na Półwyspie Skandynawskim było wręcz lodowato. W Szwecji notowano poniżej -40 stopni Celsjusza. Po raz pierwszy od dekady zamarzła Zatoka Botnicka.

A śnieg i zima są nam w ogóle potrzebne? Kierowcy narzekają, piesi również. Tylko narciarze się cieszą.

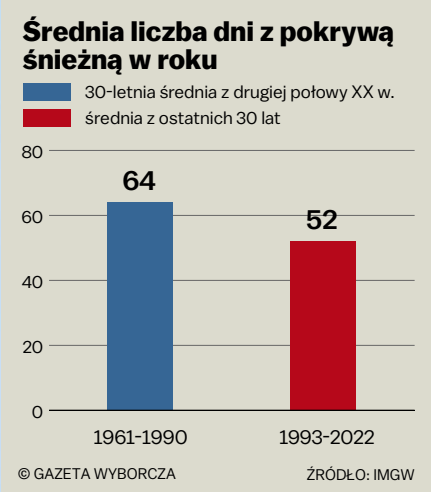
– I jeszcze rolnicy. Zimowa pokrywa śnieżna – najlepiej taka utrzymująca się do wczesnej wiosny, co najmniej do połowy marca – stanowi naturalny magazyn wody. Ta woda jest bardzo potrzebna na początku sezonu wegetacyjnego, także uprawom.

No i ważne, żeby powoli wsiąkała w glebę, a nie uciekała, szybko spływając do cieków – na przykład po zmrożonym gruncie – a stamtąd do większych rzek i do morza, powodując po drodze podtopienia, a nawet powodzie. Dlatego tęsknimy za przedwiośnią – chłodnym początkiem wiosny i stopniowym ociepleniem (zamiast typowej w ostatnich latach gwałtownej odwilży). Tylko wtedy woda ze śniegu może spokojnie wsiąknąć w grunt.

O tradycyjnym marcowym przedwiośniu już chyba możemy zapomnieć. W tym roku, mam wrażenie, mieliśmy je już w drugiej połowie stycznia. Co w takim razie powinniśmy robić, żeby zastąpić przyrodzie i rolnictwu śnieżny magazyn wody?

– Powinniśmy przestawić naszą gospodarkę wodną na zatrzymywanie wody w miejscu, w którym spadnie (zwłaszcza coraz rzadszej wody roztopowej). Bo obecnie – mimo zmian klimatu powodujących zmianę charakteru opadów i wysychanie niektórych rejonów Polski – wciąż zarządzamy wodą tak, aby jak najszybciej odprowadzić ją do rzek i „wyrzucić” do morza.

Pamiętajmy, że dojrzała pokrywa śnieżna, czyli ta występująca pod koniec sezonu zimowego, cechuje się wysoką wodnością, bliską czterech milimetrów słupa wody na każdy centymetr grubości pokrywy śnieżnej. Zatem zapas wody w pokrywie śnieżnej, zgromadzony w czasie zimy z regularnymi opadami śniegu, może przekraczać 100 litrów na każdy metr kwadratowy powierzchni zalegania. I w czasie szybkich roztopów może stwarzać zagrożenie. Ale jednocześnie jest wart gromadzenia.



Co prawda woda bez przerwy krąży pomiędzy atmosferą, glebą i oceanem. I nawet jeśli ją stracimy, to w końcu wróci na ląd. Ale nie wiadomo, dokąd wróci. Nie można na to liczyć, szczególnie obecnie. Polska zresztą już od kilku dekad ma ujemny bilans wodny – więcej wody od nas wyparowuje, niż spada u nas deszczu czy śniegu.

Żeby zimą spadł śnieg, muszą w naszym rejonie, mówiąc w dużym uproszczeniu, spotkać się dwie masy powietrza o odmiennej temperaturze – ciepła i wilgotna oraz mroźna. Albo mroźna masa powietrza musi napłynąć do nas przez jakiś zbiornik wodny, choćby przez niezamarznięty Bałtyk, i zaczerpnąć z niego wilgoci. Albo ciepłe i wilgotne powietrze musi napłynąć nad wychłodzony ląd.

Ale średnie temperatury rosną. Co teraz?

– Obecnie mamy najczęściej zimy deszczowe albo wręcz suche. Pozostaje nam więc łapanie wody – choćby w suchych zbiornikach, tak zwanych polderach. Takich zbiorników jest jednak w Polsce niewiele. Ich budowa jest nie tylko droga i długotrwała, ale też zawsze wiąże się z czyjąś przywrotną krzywdą. Choć zysk byłby publiczny.

Ten problem występuje zresztą przy wszystkich projektach infrastrukturalnych. No i wystąpi także wtedy, kiedy będziemy chcieli oddać dzikiej przyrodzie część jej starych terenów, zostawić w spokoju tereny zalewowe i na terenach pozamiejskich renaturalizować rzeki – któ-

re w Polsce w dużej mierze wciąż płyną zresztą naturalnymi korytami.

A istniejące zbiorniki – choćby ten włocławski – nie zatrzymują wody?

– One wodę gromadzą, ale zawsze także wypuszczają, pracują w nich przecież turbiny prądotwórcze. Nie spełniają też funkcji przeciwpowodziowej w przypadku bardzo wysokiej wody, choć mniej dramatyczne fale powodziowe potrafią wypłaszczyc. Nie przypominam sobie, żeby taką funkcję kiedykolwiek w istotnym stopniu spełnił zbiornik włocławski. Kiedy szła fala powodziowa, zawsze trzeba było go opróżnić, żeby zrobić dla niej miejsce.

Czy to jednak oznacza, że warto ten stopień wodny zlikwidować? Trudno powiedzieć, nie jestem specjalistą, ale na pewno wiązałoby się to z ponowną poważną ingerencją w środowisko.

Wróćmy zatem do zimy. Ma w Polsce przyszłość?

– Ta, którą pamiętamy z XX wieku – mroźna i śnieżna – nie ma. Zimowe opady będą oscylowały powyżej normy wieloletniej, wychylając się od niej w jedną czy drugą stronę. Tyle że norma sukcesywnie będzie nam się zmieniać – na coraz cieplejszą i mniej śnieżną.

Nie oznacza to, oczywiście, że w najbliższych latach i dekadach śnieżne czy ostre zimy nam się jeszcze nie zdarzą. Będą się zdarzać, ale coraz rzadziej, podobnie przymrozki.

Oprócz „nowej normy” będziemy też mieli nowe ekstrema.

Grudzień jest już w zasadzie czwartym miesiącem jesieni, a nie pierwszym zimy.

– Tak, raczej przedzimia (to taka późna jesień). Jeszcze w latach 1951-80 średnia temperatura w grudniu wynosiła w Polsce -0,5 stopnia Celsjusza. Jak na zimę przystało, była więc ujemna, choć lekko.

W ostatnich trzech dekadach, czyli w latach 1994-2023, średnia temperatura w grudniu wynosiła już 0,2 stopnia na plusie.

Może więc czas oficjalnie uznać go za miesiąc jesienny?

– Tak, ale to nie wszystko. Luty już jest de facto pierwszym miesiącem przedwiośnia! W latach 1951-80 jego średnia temperatura wynosiła -1,9 stopnia. W latach 1991-2020 już tylko -0,1 stopnia, odrobinę poniżej 0. A w ostatnich trzech dekadach luty przestał być luty – w sensie: mroźny. Jego średnia temperatura przekroczyła 0 i wyniosła 0,1 stopnia Celsjusza.

Z miesięcy zimowych pozostał nam już wyłącznie styczeń. A i on trzyma się na włosku, bo od drugiej połowy XX wieku jego średnia temperatura wzrosła o blisko półtora stopnia, do ledwie -1 stopnia Celsjusza. ●



***Mirosław Miętus**

• ur. w 1960 r., jest klimatologiem i profesorem nauk o Ziemi i środowisku, a także wieloletnim ekspertem Światowej Organizacji Meteorologicznej (WMO). Ukończył fizykę na Uniwersytecie Gdańskim. Był kierownikiem Zakładu Meteorologii i Klimatologii Instytutu Geografii Uniwersytetu Gdańskiego i dyrektorem całego Instytutu. Od 2021 r. jest zastępcą dyrektora Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Warszawie i stałym przedstawicielem Polski w WMO w Genewie. Wyróżniony dyplomem honorowym za szczególny wkład w uzyskanie przez Międzynarodowy Panel ds. Zmian Klimatu (IPCC) Pokojowej Nagrody Nobla w 2007 roku

Tęsknimy za przedwiośnią – chłodnym początkiem wiosny i stopniowym ociepleniem (zamiast typowej w ostatnich latach gwałtownej odwilży). **Tylko wtedy woda ze śniegu może spokojnie wsiąknąć w grunt**

Każdemu, niezależnie, czy to uczeń, czy nowy rząd, trzeba dać szansę – mówi Grzegorz Iwańczyk, nauczyciel wychowania fizycznego z Mazur. – Sęk w tym, by oni tej szansy nie zmarnowali. Wykorzystali ją, żeby rozmawiali z nami, nauczycielami, ale i z rodzicami, żeby nas, tych pracujących na samym dole, rzeczywiście potrafili wysłuchać. I na podstawie tego, co mówimy, wprowadzali zmiany. Na to liczę. Nie wyobrażam sobie, że może być gorzej, niż było. Zawsze trzeba szukać światła, pozytywów. Nie pogrążyć się w ciemności, bo przez nią popadamy w złe nastroje. Narzekamy. A od narzekania lepiej nie będzie.

PAN CZARNEK ROBIŁ TO, CO MU IDEOLOGICZNIE W DUSZY GRAŁO

Siostry, Justyna i Marta, są nauczycielkami wychowania wczesnoszkolnego w jednej z wiejskich szkół w powiecie olsztyńskim.

– Kiedy zaczynałam pracę, nie sądziłam, że władza ma aż taki wpływ na to, co robimy. A tu zmiana podstawy programowej, likwidacja gimnazjów, więcej uczniów w szkole i problem z tym, jak ich wszystkich pomieścić... – wspomina Marta. Duże zamieszanie, mówi. I jeszcze ogólnopolski strajk nauczycieli, w trakcie którego czuła środowiskową solidarność, wsparcie z zewnątrz, ale i hejt. Także ze strony rządzących.

Wybory oraz powyborcze układanki dotyczące tego, kto obejmie resort edukacji, śledziła z zainteresowaniem. – Aż w domu mnie pytali, co ja tak to przeżywam. A ja się zastanawiałam, co wymyślą i jak to się na mnie odbije. Nie wiem, czy jest inny resort, w którym za każdym razem, gdy zmienia się władza, odbywają się tak rewolucyjne zmiany.

– Pan Czarnek robił to, co mu ideologicznie w duszy grało. Nie był skupiony na dzieciach i szkole ani na jej problemach – ocenia Justyna. Szkołę, według niej, trzeba odpolitycznić i dostosować do współczesnego świata. Resort Nowackiej powinien korzystać z pomocy praktyków i specjalistów, podglądać to, co robią nawet małe szkoły, często oddolnie. Pedagożki przypominają, że w wielu placówkach nauczyciele i dyrekcja realizują nowoczesne, interesujące projekty, lecz to często działania opłacane z grantów, dofinansowań, bez odgórnego, stałego wsparcia. A ono jest niezbędne.

ZAWSTYDZONA KSIĘGOWA

Marta niedawno zobaczyła na swoim koncie niewielki przelew. Zaciekawiona i zdziwiona zapytała o niego księgową. – Zawstydzona powiedziała mi, że to wyrównanie mojej wypłaty do najniższej krajowej – wspomina nauczycielka. Mówi też o zeszłorocznej nagrodzie z okazji 250-lecia istnienia Komisji Edukacji Narodowej, którą tuż przed wyborami parlamentarnymi nauczycielom przyznał Czarnek. Media rozpisywały się o tym, że pedagodzy dostaną 1125 złotych. Tyle że brutto. To, co znalazło się na ich kontach, było dużo niższe.

Do zapowiadanych przez obecny rząd podwyżek podchodzi sceptycznie. Czeka, aż wszystko będzie na papierze, w ustawie, rozporządzeniu. A najbardziej w podwyżkę uwierzy, jak zobaczy ją na swoim koncie. To, że będzie mniejsza, niż obiecywali przed wyborami? – Wiele nam już obiecywano. Nauczyłam się nie dawać im do końca wiary – stwierdza. Ale ma nadzieję, że ten rząd postawi na edukację.

RODZICE PROSZĄ O PRACĘ DOMOWE

Marta uczy w szkole od siedmiu lat, obecnie ma trzecie wychowawstwo. Mimo niedłu-

SZTUKA SKAKANIA NA SKAKANCE

Nauczyciel:

Nie wyobrażam sobie, że może być gorzej, niż było

Iwona Görke



giego stażu pracy dostrzega znaczące różnice między dziećmi, które uczyła siedem czy nawet trzy lata temu, a jej obecną klasą. Mająca 25-letni staż pracy Justyna potwierdza – zmiany zachodzą błyskawicznie. Mówi, że dzieci mają inne oczekiwania i możliwości, więc i proces nauczania trzeba odpowiednio do nich dostosować.

– Mamy do czynienia z cyfrowym pokoleniem, które trzeba oderwać od ekranu telefonu i komputera – ocenia Justyna. – Nauka musi odbywać się przez działanie, za-

bawę i doświadczanie. Dzieci powinny, bo tego potrzebują, wykonywać prace manualne. Samodzielnie. Potrzebują też ruchu. Niektóre dzieciaki nie potrafią złapać piłki czy posłużyć się skakanką. A to przecież niby takie oczywiste czynności w świecie dzieci.

– Ale z drugiej strony niektóre dzieci, które do nas przychodzą, już trochę czytają i piszą – mówi Marta.

– Teraz dużo się mówi o pracach domowych i tym, byśmy nie mogli ich zadawać.

To bardzo wrażliwy temat, ministerstwo nie może ot tak stwierdzić, że prace domowych ma nie być i kropka – mówi Justyna. Bo klasy, przypomina, są różne, w jednych dzieci pracują sprawnie i to, co trzeba przeciwzyć na lekcji, uda się z nimi zrobić. Wówczas nie trzeba zadawać nic do domu. Chociaż zdarza się, że uczniowie wręcz proszą o dodatkowe ćwiczenia do wykonania. – Bo się nudzą – tłumaczy.

Jednak nie można zapominać o dzieciach, u których proces edukacyjny przebiega wolniej. – One opanują materiał, ale potrzebują na to więcej czasu, muszą wykonać więcej ćwiczeń. W takim przypadku bez pracy ucznia w domu tego sukcesu edukacyjnego nie będzie – tłumaczy Justyna.

Marta od września ubiegłego roku ma pierwszoklasistów. – To bardzo różne dzieciaki. Niektóre z nich na lekcji są w stanie zrobić stronę ćwiczeń, inne jedno zadanie, więc uczeń resztę musi skończyć w domu. Bo po mojej lekcji jest np. wf., religia albo idziemy na obiad i nie ma już kiedy dokończyć tego, czego nie udało się zrobić w klasie. Ale jeżeli na lekcji, na której, powiedzmy, było doskonalenie pisania, i zrobiliśmy to, co zaplanowałam, to nie zadam nic do domu. Bo i po co? Prace domowe mają wniesić coś nowego, poszerzyć wiedzę i ją utrwalić albo pomóc w realizacji materiału, z którym nie zdążyliśmy na lekcji.

Justyna uczuła, że nie wszystkiego da się nauczyć na lekcji. Potrzebna jest praca własna ucznia. – Tak jest z nauką czyta-

nia i pasją do książek. To uczeń musi sięgnąć po jedną, drugą książkę, jakąś odłożyć i zobaczyć, że akurat ta nie jest dla niego, ale inna już tak. Niestety, nie we wszystkich domach jest nawyk i pasja czytania – przypomina.

Marta mówi o prośbie, którą często słyszy od rodziców. Chcą, by wychowawczyni powiedziała dzieciom, że mają czytać w domu. – Słyszę: jeżeli pani tego im nie nakaże, to czytać nie będą – mówi nauczycielka. A dzieci jej słuchają, bo jest dla

nich jak druga mama. Zastanawia się jednak, jak będą reagować, gdy dowiedzą się, że pani Marta pracy domowej zadać im nie może. Będą się buntować? Klócić z nauczycielami?

– Może warto odgórnie zdecydować, że nie ma zadawania na weekendy czy święta albo że nie można zadać więcej niż ileś tam stron ćwiczeń? – zastanawia się Marta. – Tylko czy rzeczywiście później da się sprawdzić to, czy pedagogzy przestrzegają tych reguł? – pyta. Ani ona, ani Justyna nie zadają prac domowych na weekendy i święta. Szanują swój czas i czas dzieci.

Justyna zwraca uwagę na inny wymiar prac domowych. Ważny zwłaszcza, jak mówi, u maluchów. – Dzięki pracom domowym dziecko myśli o tym, co było na lekcji, co musi przygotować na kolejny dzień. Uczy się odpowiedzialności i konsekwencji. Jeżeli wypracuje to już na początku, będzie mu łatwiej później – przekonuje.

– Ale teraz przecież nauczyciele piszą o tym, co potrzeba przynieść do szkoły, co trzeba zrobić w dzienniku elektronicznym albo na grupach internetowych. Dzieci nie muszą o niczym pamiętać – zwracam uwagę.

– Mówię dzieciom, co mają przynieść kolejnego dnia do szkoły. Chcę, by miały poczucie obowiązku, by pamiętały, ale rodziców też informuję. Jestem ciekawa, jak brak prac domowych wpłynie na rodziców, czy będą wiedzieli bez nich, co się dzieje na lekcjach u ich dzieci, czego się teraz uczą?

czą o to, by byli godnie wynagradzani niezależnie od tego, kto akurat rządzi. W tym pomóc ma projekt obywatelski mówiący o tym, że pensje zależne będą od średniej krajowej. Nie od politycznego widzimisię.

Iwańczyk ma zdanie o obecnych podwyżkach. – Nauczyciele mianowani, czyli tacy, którzy dopiero zaczynają swoją pracę, zostali pokrzywdzeni. Taki nauczyciel dostanie niewiele więcej niż minimalne wynagrodzenie – zwraca uwagę. On jeszcze przed podwyżką, z dodatkiem za wychowawstwo i motywacyjnym oraz wysługą lat, ma 5,5 tys. brutto. Mówi, że więcej – i to na starcie – zarabiają jego uczniowie, którzy po szkole branżowej albo technikum poszli do służb mundurowych.

Godne pensje to niejedyny marzenie pedagoga. – Szkołę trzeba odbiurokratyzować. Oczywiście, że musimy dokumentować naszą pracę, żeby w razie kontroli było wszystko jasne, ale papier przyjmie wszystko. Można pięknie pisać raporty, lecz niewiele robić. A im więcej mamy tej papierkowej roboty, tym więcej w nas frustracji i zdenerwowania.

Jest sceptycznie nastawiony do pomysłu z ograniczeniem prac domowych. – Mamy 30 godzin edukacji zdrowotnej. Na zaliczenie przedmiotu zadają referat. Jak nie będę mógł tego zrobić, to sobie poradzę, ale nauczyciele z innych przedmiotów będą mieli trudniej – ocenia. I przypomina o celu prac domowych, jakim jest wyćwiczenie i utrwalenie wiedzy zdobytej na lekcji.

WUEFISTÓW TRUD DAREMNY

Nauczyciele mówią również o konieczności przyjrzenia się podstawie programowej oraz odchudzeniu jej. – Mnie to nie dotyczy, ale jak rozmawiam z innymi nauczycielami, to oni widzą taką konieczność. No i żeby w tym, czego uczą się dzieci, była jakaś logika. Nie może być tak, że na jednym przedmiocie coś jeszcze nie zostało przerobione, a nauczyciel z innego wymaga takiej wiedzy i umiejętności – zwraca uwagę Iwańczyk.

– Wiele lat temu były pomysły, by zlikwidować ocenę z wychowania fizycznego. Byłem tego przeciwnikiem. Ocenialiśmy wtedy umiejętności uczniów, ich chęci i aktywność na zajęciach. Teraz bym takiemu pomysłowi przyklasnął, bo głównym miernikiem jest dla mnie otwartość ucznia na wykonywanie ćwiczeń.

– Chęć zamiast umiejętności, bo tych drugich jest coraz mniej?

– Moim zdaniem tak. A teraz taka ciekawostka. Kiedyś młodzież wiejska przychodziła do nas z bardziej wyrobionymi cechami wytrzymałościowo-siłowymi, a miejska zawsze była bardziej szybkościowo-skocznościowo-zwinnościowa. Teraz to się zatarło. Sprawność młodzieży się zmniejsza. Wielu uczniów mówi, że jakiegoś ćwiczenia nie robi. Ale dlaczego? Tego nie potrafią sensownie wytłumaczyć. Czasem mówią, że jest ono głupie albo że nie mogą go wykonać przez jakiś uraz. Młodzież często nie chce nawet spróbować. Boi się. A ja uważam, że jak uczeń ma jakiś lęk, to my jako nauczyciele wychowania fizycznego powinniśmy z nim to przepracować. Pokazać, że przy właściwej samoasekuracji, asekuracji kolegi czy koleżanki można zrobić to czy inne ćwiczenie.

Wuefiści starają się przekonywać i motywować uczniów do aktywności fizycznej, lecz często to trud daremny. Iwańczyk śmieje się jednak, bo zdarza mu się spotykać na imprezach biegowych byłych uczniów, teraz 30-, 40-latków, którzy z wuefu zwiewali. Słyszy od nich, że on gdzieś jednak zaszczepił w nich chęć do sportu, ale była głęboko ukryta i potrzebowała czasu, by się ujawnić. Może i ci obecni uczniowie kiedyś taką pasję w sobie odkryją. Bo teraz ani na wuef, ani na konkretne, pozalekcyjne zajęcia sportowe nie chcą chodzić. – Dla jednej czy dwóch chętnych osób nie ma jak utworzyć grupy. Czasem młodzież się zapisywała, jednak okazywało się, że

nie ma jak na zajęcia dojechać albo wrócić z nich do domu.

Zdaniem pedagoga zmniejsza się nie tylko sprawność fizyczna uczniów, lecz również intelektualna. – Gdy przychodzi czas wystawiania ocen, uczniowie pytają mnie, co im wychodzi. Podaję im oceny i mówię, by sobie obliczyli. Oni mają problem, by to zrobić w pamięci. A mówię tutaj o prostych działaniach na liczbach do 100! Często liczymy razem, na kartce, więc można powiedzieć, że i matematykę z nimi robię – mówi Iwańczyk.

PRAWIE 40 LAT W ZAWODZIE I 4300 NA RĘKĘ

– W ostatnich latach prestiż zawodu nauczyciela zmaliał. Poprzednia władza zresztą bardzo temu pomogła – mówi Ewa, matematyczka ucząca klasy 4-8 w z jednej ze szkół podstawowych w Szczycinie. Przypomina o trudnym doświadczeniu strajku z 2019 roku. – Ten hejt trudno zapomnieć.

Wspomina także o byłym już ministrze edukacji Przemysławie Czarnku, który wielokrotnie opowiadał o nauczycielach jak o bogaczach. Pokazywał wyliczenia, z których wynikało, że zarabiają nawet 9,5 tys. Wliczał w to odprawy emerytalne, trzynastki, dodatki funkcyjne, o których wiadomo, że nie wszyscy je dostają. – Takich pensji nikt z nas nie ogląda. Nawet brutto – zapewnia matematyczka. Dodaje: – W paż-

– Ministerstwo nie może ot tak stwierdzić, że prac domowych ma nie być i kropka – mówi nauczycielka

dzienniku, gdy odbywały się wybory, wiele z nas, myślę, że mogę powiedzieć, iż zdecydowana większość nauczycieli czekała na zmiany. Obawialiśmy się ich, ale i cieszyliśmy na nie.

Pierwsze rozczarowanie przyszło szybko i było związane z obiecywanymi podwyżkami pensji. Bo okazało się, że nowy rząd będzie liczył je od średniej, nie zasadniczej pensji. – Entuzjazm trochę opadł, ale nadzieja na lepsze pozostała. Ważne dla nas jest to, że pani Nowacka dobrze wypowiada się o nauczycielach i chce z nami współpracować – mówi.

Nauczycielom jest potrzebne wsparcie. Zarówno ze strony dyrektorów, jak i kuratorów. Tymczasem kuratoria często są straszakiem. – Jak ma się pojawić ktoś z kuratorium, to w szkole pojawia się lęk – tłumaczy. Wie, że kuratorium musi sprawać nad szkołami kontrolę, lecz powinno także wspierać pedagogów, zwłaszcza tych młodych, wchodzących do zawodu. Młodzi nie garną się do szkoły, bo to trudna i wymagająca praca, w dodatku niskopłatna. – Młody nauczyciel dostaje najniższą krajową, to jest żenujące. Jak taka osoba ma się utrzymać? Wynająć mieszka-

nie? Pokój? A za co ma żyć? – pyta Rostkowska. Sama po prawie 40 latach w zawodzie zarabia 4,3 tys. na rękę. – Dłaczego aż tyle? Jestem nauczycielem dyplomowanym. I mam 300 złotych dodatku za wychowawstwo.

CORAZ WIĘCEJ UCZNIÓW ZE SPECJALNYMI POTRZEBAMI

Ewa ma w klasie 29 uczniów. W tym dwie osoby z zespołem Aspergera, osiem osób z dysleksją rozwojową, są i dzieciaki z innymi chorobami oraz takie, którym poradnia psychologiczno-pedagogiczna wystawiła opinię, że mają trudności w nauce. To zupełnie inni uczniowie niż ci, których uczyla np. 15 lat temu. Musi pracować inaczej. Stosować indywidualizację nauczania, a w tak dużych klasach to trudne. Nie pomagają też opinie, które dzieci przynoszą z poradni pedagogiczno-psychologicznych. – Są zbyt ogólne, zbyt podobne do siebie, przez co nie są dla nas wskazówkami, jak powinniśmy pracować z poszczególnymi uczniami – wyjaśnia matematyczka. Trudno szukać klasy, w której nie ma ucznia z opinią z poradni.

Ma świadomość, że zarówno szkoła, jak i sami nauczyciele muszą się zmieniać, bo i dzieci są inne niż wcześniej. – Są mniej zdyscyplinowane, mają problem, by nauczyciela wysłuchać – opowiada. Wie, że nauczyciele stracili autorytet. – W niektórych domach źle się o nas mówi. To było kiedyś nie do pomyślenia. Dzieci potrafią powiedzieć, że nauczyciel nie ma do czegoś prawa.

Lecz to niejedyna zmiana w uczniach. Zmieniła się ich wrażliwość. – Kiedyś byli bardziej odporni na klótnie między sobą, jakieś nieporozumienia, ale i krytykę czy podniesiony głos nauczyciela. Teraz wszyscy są zestresowani. Wszyscy chcą mieć szóstki. Łącznie z ich rodzicami – mówi. Rodzice nie krępują się, by napisać do nauczyciela, że jego dziecko powinno dostać inną ocenę, niż otrzymało. – Uważają, że wiedzą lepiej od nas. I nieustannie do nas piszą, pytają, kiedy dziecko może poprawić jakąś ocenę albo co zrobiło źle na pracy klasowej. A ja to uczniom wyjaśniam! Mogą nawet robić zdjęcia klasówek. Ale rodzice i tak piszą do mnie i pytają, jakby nie wierzyli swoim dzieciom. Wymagają od nich naprawdę dużo. I dzieci są tym zestresowane. Niektóre z nich płaczą, jak dostaną czwórkę czy trójkę. Płaczą, kiedy przy tablicy nie potrafią zrobić jakiegoś zadania. Mówię im wtedy, że to dobrze, że czegoś nie umie, bo jestem dla niego, żeby mu wytłumaczyć.

– Zna pani to określenie „płatki śniegu”? Ono idealnie pasuje do współczesnych uczniów. Tak teraz po prostu jest. I musimy mieć do nich inne podejście niż do wcześniejszych pokoleń. Ale swoje podejście powinni zmienić także rodzice. Opuścić trochę swoim dzieciom. Pochwalić za czwórkę. Niektórzy z nich sami nie byli orłami, ale od swoich dzieci wymagają szóstek. Nie stresować ich aż tak i nie zabierać im autonomii. Uczeń nie musi być świetny ze wszystkiego, musi mieć oczywiście wiedzę ogólną, lecz dzieci powinny móc rozwijać się w tym kierunku, który je interesuje, w którym mają uzdolnienia.

JEDYNKA ZA BRAK PRACY DOMOWEJ? TO W NICZYM NIE POMAGA

A co z pracami domowymi? Ewa uważa, że nie powinno się z nich rezygnować, ale z pewnością nie może być ich za dużo. I nauczyciele nie powinni zadawać ich na weekendy. Ona tego nie robi. – W piątki powtarzam dzieciom, by odpoczywały i się relaksowały. Też chcę odpocząć w weekend – mówi.

Prac domowych nie ocenia. – Bo nie wiem, czy uczeń zrobił zadanie sam, czy z rodzicami, czy może od kogoś przepisał – tłumaczy. A jeżeli uczniowi nie chce się

FOT. TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL



ŻEBY TYM, CO PRZYJDĄ UCZYĆ, BYŁO LEPIEJ

– Na co ja jako nauczyciel czekam? Wie pani, ja to jestem już u schyłku swojej pracy zawodowej, niedługo przejdę na emeryturę – mówi Grzegorz Iwańczyk, szczycieński nauczyciel wychowania fizycznego z 43-letnim stażem pracy. Jednak zaraz dodaje, że czeka na tych, którzy przyjdą pracować do szkół. Bo właśnie w dużej mierze z myślą o nich nauczyciele walczyli o wyższe wynagrodzenia. I wal-

uczyć, nie chce pracować, to taka jedynka za niezrobione zadanie w niczym mu nie pomoże, do niczego nie przekona ani nie zmotywuje.

Matematyczka mówi również o tym, że uczniowie są różni, jedni potrzebują więcej czasu na opanowanie materiału. – Mam trzy godziny lekcyjne na dodawanie ułamków. Jednym ten czas w szkole wystarczy, innym nie. Muszą popracować więcej, przećwiczyć w domu. Im uczeń starszy, tym lepiej rozumie, że robią te zadania, by się nauczyć, że robią to dla siebie.

Ósmoklasistom na początku roku szkolnego daje karty samooceny. Wklejają je do zeszytu i po opanowaniu danego działu odhaczają poszczególne pola. Oceniają, jak według siebie opanowali np. twierdzenie Pitagorasa, wiedzą, że będzie z tego zapowiedziana kartkówka. Ewie zdarzało się od uczniów usłyszeć, że gdyby nie te zapowiedziane (i zapisane w dzienniku elektronicznym) kartkówki, toby się nie uczyli. Mobilizują. Po kartkówce na kartę samooceny wpisują sobie ocenę. Jest jeszcze trzecia tabelka, możliwość poprawy. Matematyczka daje jeden termin. W tej kwestii jest stanowcza. – Uczeń potrzebuje konkretnej ramy czasowej, by się przygotować, nie można rozciągać terminu poprawy w nieskończoność. Przygotuje się rzetelnie na konkretny dzień, a nie podchodzi do niej na zasadzie: spróbuje i albo się uda, albo nie. Kartkówkę robię zawsze po tym, jak skończymy jakieś zagadnienie, a po nim pojawia się kolejne, więc jeżeli uczeń nie opanuje, dajmy na to, twierdzenia Pitagorasa, to może mieć problem z kolejnymi zadaniami. I te poprawy, a tak naprawdę nieopanowane umiejętności, będą się piętrzyć.

NOWA NADZIEJA I NOWE OBawy

– Mamy nadzieję, że nowa władza podejmie kroki mające na celu poprawienie sytuacji polskiej oświaty, ale obserwuję to, co się dzieje i mam pewne obawy – mówi Maciej Kornatowski, nauczyciel z 20-letnim stażem pracy. W szkole branżowej w Rybnie uczy języka polskiego, a w podstawówce w Koszelewach czwartoklasistów, których zresztą jest wychowawcą. Kornatowski jest także prezesem gminnego oddziału Związku Nauczycielstwa Polskiego w Rybnie.

Tempo wprowadzania zmian wzbudza niepokój. – To dzieje się bardzo szybko, powiedziałbym nawet, że rewolucyjnie, a oświata jest bardzo delikatną materią, źle znoszącą rewolucję – tłumaczy. Zmiany powinny być poprzedzone konsultacjami z nauczycielami praktykami, ludźmi z dołu, którzy wiedzą, jak wygląda szkolna rzeczywistość. – Już wcześniej decydowano za nas. I robiły to osoby, które pewnie ani jednego dnia w szkole nie przepracowały. Nic o nas bez nas – mówi Kornatowski.

Nie tylko tempo prac resortu Barbary Nowackiej wzbudza obawy, lecz również część pomysłów, którymi pochwaliła się nowa ministra edukacji.

– Niektóre prace domowe rzeczywiście mijają się z celem, zabierają uczniom czas i nic nie wnoszą, ale nie może być tak, że ja jako nauczyciel, nie będę mógł wymagać, by uczeń cokolwiek zrobił w domu – tłumaczy Kornatowski. I mówi tak, mimo że sam uczniom nie każe w domu robić ćwiczeń czy pisać wypracowań (bo i tak korzystają z pomocy internetu, a wypracowanie, które uczeń przepisze z sieci, mija się z celem).

Jednak przecież praca domowa, przypomina, to nie tylko wykonanie jakiegoś piśmennego ćwiczenia czy obliczeń, lecz także powtórzenie materiału z lekcji, przygotowanie się do kolejnych zajęć. – A już teraz obserwujemy ogromny problem z systematycznością uczniów, oni w ogóle nie powtarzają materiału. Nie czytają nie tylko lektur, lecz również żadnych innych książek, a to wpływa chociażby na to, że mam w swojej klasie czwartoklasistów, którzy

z trudem czytają, nie rozumieją poleceń. To są osoby, które muszą pracować indywidualnie w domu – mówi Kornatowski, dodając, że wśród uczniów spotyka się coraz częściej z „deficytem ambicji”.

Zwraca uwagę na to, jak istotne jest zrozumienie przez uczniów i ich rodziców tego, jak istotna jest edukacja. – Te osoby, które to rozumieją i mają wspierające rodziny, pewnie dalej będą się starały, niezależnie od pomysłów resortu, ale trzeba pamiętać, że rodziny są różne. Są dzieci, które nie mają w domu wsparcia, pomocy. Jeżeli dzieci ten czas wolny, który zyskają przez brak pracy domowych, wykorzystają konstruktywnie, to jest za.

Niektóre z nich płaczą, jak dostaną czwórkę czy trójkę. Płaczą, kiedy przy tablicy nie potrafią zrobić jakiegoś zadania. Określenie „płatki śniegu” idealnie pasuje do współczesnych uczniów

SMS DO KOLEŻANKI Z ŁAWKI

Kornatowski przyklaskuje pomysłowi odchudzenia podstawy programowej. I mówi to, co wie wiele osób – nauczycieli, rodziców, a nawet uczniów: podstawa programowa jest przeładowana, są w niej treści zbędne, nic niewnoszące, zabierające czas, który można byłoby poświęcić na zupełnie inne rzeczy, bardziej wartościowe i rozwijające.

– Chcielibyśmy kształtować w uczniach kompetencje życiowe. Zauważamy, że mają problem z codziennymi sprawami. Może to zabrzmi śmiesznie, ale współczesny uczeń często nie potrafi nic ugotować, zamieść śmieci z podłogi. Przykładamy tak dużą wagę do ekologii, uczymy o niej, to może warto byłoby nauczyć dziecko, jak zacerować skarpetę, a nie że trzeba ją wyrzucić i kupić nową.

Pedagog zwraca uwagę na konieczność kształtowania kompetencji miękkich, takich jak praca w zespole i kontakty interpersonalne. Dzieci częściej niż ze sobą twarzą w twarz rozmawiają przez komunikatory.

– Mamy kryzys relacji z drugim człowiekiem – ocenia.

– To są jeszcze konsekwencje pandemii i lockdownów?

– Nie do końca tak jest. Już wcześniej zauważyłem, że uczniowie, nawet siedząc w jednej ławce, pisali do siebie SMS-y, a nie zamieniali ze sobą słowa. Pandemia tego nie wywołała, ale mogła to pogłębić.

OBIECANKI CACANKI

Donald Tusk podczas kampanii wyborczej obiecywał nauczycielom podwyżki rzędu 1500 złotych. Ale podwyżek takiej wysokości nie będzie. – To lekki zawód, ponieważ ta deklaracja bardzo wyraźnie wybrzmiała i była potwierdzona wielokrotnie – przyznaje Kornatowski. Zaraz jednak dodaje, że nauczyciele nigdy wcześniej nie dostali tak dużej, jednorazowej podwyżki jak teraz. I że w zależności od tego, gdzie się ucho przystawi, takie będą oceny tej sytuacji. – Wydaje mi się, że niektórzy uważają, że my to zarabiamy jakieś kokosy, nie przemęczając się za bardzo.

– Pracujecie jedynie 18 godzin w tygodniu. Tak myśli wiele osób.

– Ta narracja jest obecna w dyskusji o naszych zarobkach od lat. Nikt nie widzi tego, że musimy przygotować się do zajęć, przygotować materiały, sprawdzić klasówki, wypracowania. Wielu nauczycieli pracuje w więcej niż jednej szkole. Ja często siedzę po nocach i śpię po cztery, pięć godzin.

– W wakacje można odespać.

– Ach, wakacje! Nawet uczniowie kiedyś prowokacyjnie mówili, że mamy dwumiesięczne wakacje i jeszcze nam za nie płać. Na co ja odpowiadałem, że to urlop, a nie wakacje, i pytałem ich, czy ich rodzice nie

Zastanawia się także nad tym, jakie narzędzia do motywowania uczniów pozostaną nauczycielom, jeżeli nie będą mogli ich oceniać. Uważa, że resort musi swoje pomysły konsultować ze środowiskiem nauczycieli praktyków. I słuchać, czego oni potrzebują. A potrzebują, jak mówi Kornatowski, nie tylko narzędzi do motywowania uczniów, lecz również takich, które pomogą im walczyć z agresją w szkołach. – Potrzeba nam namacalnej pomocy i skutecznych szkoleń. Nie chodzi o to, by przyjechał jakiś coach, odbębnił wykład, z którego nic nie wynika, i wziął za to duże pieniądze. Przemoc to problem narastający. Kiedyś ktoś kogoś szturchnął czy popchnął, powiedział coś niemiłego i tyle. Dziś jest internet, wszystko ekspresowo się roznosi nie tylko po klasie czy szkole. Ogromne zasięgi i nieusuwalne treści. Dodaje: – W szkole branżowej obserwuję niepokojące zachowania uczniów. Może to przez to, że o nich wciąż krąży opinia, że do takich szkół idą głąbą? I oni się wpisują niechcinnie w ten negatywny schemat? A przecież dobry fachowiec jest na wagę złota. Dyplom uczelni nie gwarantuje sukcesu. Mam wrażenie, że oni nie do końca w to wierzą.

EGZAMIN ÓSMOKLASISTY? NIEPOTRZEBNY STRES

Życiowego sukcesu nie gwarantuje także dobry wynik na teście ósmoklasisty. W sens przeprowadzania tego egzaminu powątpiewają Maciej Kornatowski oraz Ewa. Zwracają uwagę, że egzamin jest naprawdę trudny.

– Słabsi intelektualnie uczniowie osiągną gorsze wyniki. To ich demotywuje, a i tak w planach nie mieli pójścia do liceum. Dlaczego więc stresować ich dodatkowo tym testem? – zastanawia się matematyczka.

– Ja po podstawówce pisałam egzamin szóstoklasisty. Po gimnazjum – gimnazjalny. Czy te testy nie przygotowują do formuły matury? Nie uodporniają na stres związany z podejściem do matury? – pytam.

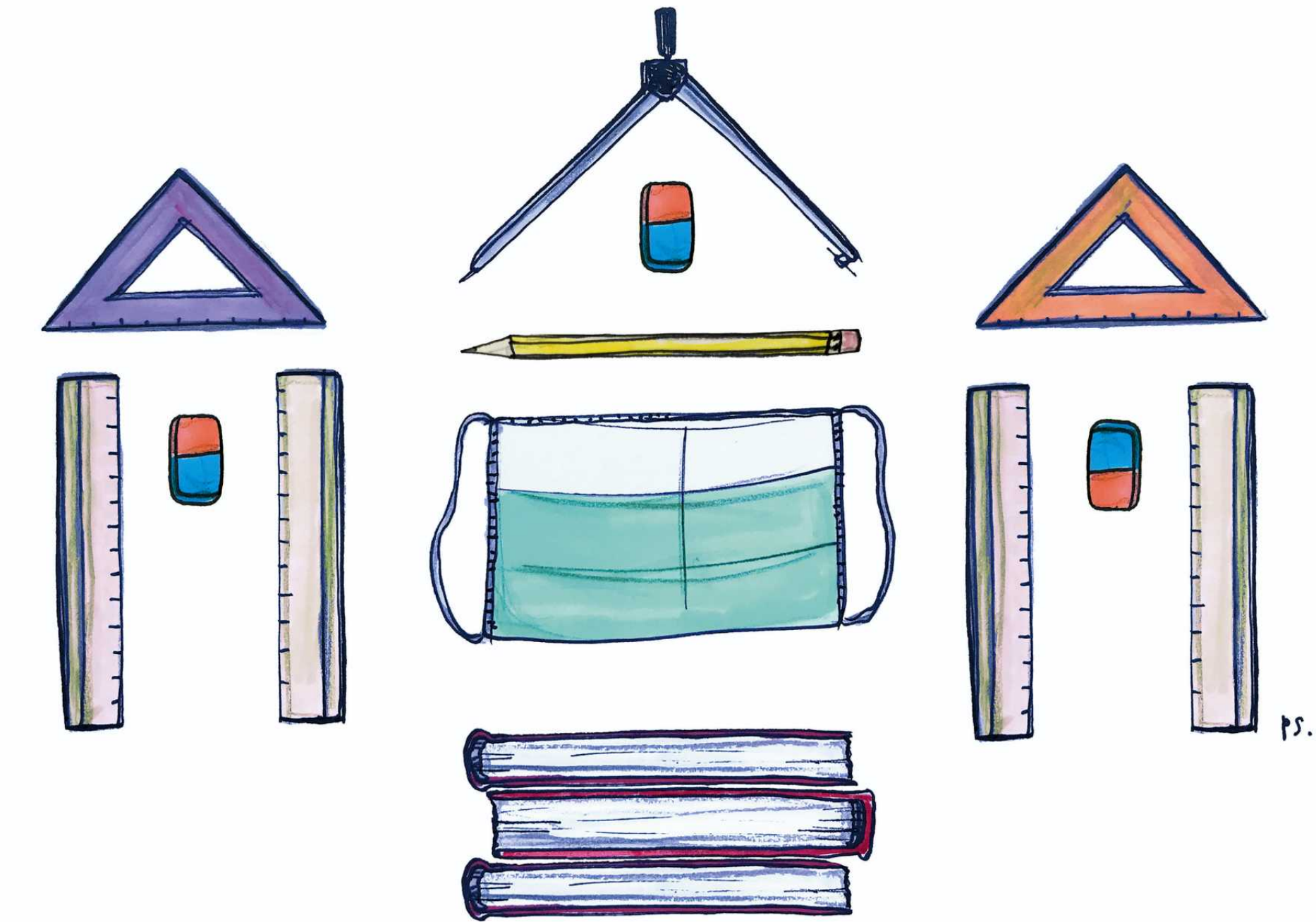
– Ale część uczniów do matury nie podejździe, bo będzie zdobywać zawód w szkołach branżowych. Może więc ten egzamin powinni pisać chętni, ci, którzy chcą iść do liceum? Jak były gimnazja, to uczniowie pisali test w wieku 16 lat, teraz, jak uczeń kończy podstawówkę, ma 14-15 lat. Do matury kawał czasu. W liceum można po dwóch latach nauki zrobić egzamin sprowadzający, który dałby też możliwość zmiany ewentualnych rozszerzeń. To są sprawy do dyskusji, ale ja bym odeszła od egzaminu.

Zarówno Kornatowski, jak i Ewa mówią, że być może licea powinny rozważyć wprowadzenie egzaminów do szkół. Zwracają jednak uwagę na konieczność dogłębnego przemyślenia tego tematu. Przemyślenia i konsultowania ze środowiskiem nauczycieli, uczniów oraz rodziców.

POSTSCRIPTUM

Maciej Kornatowski: – Na początku się wyżyliłem, ale wśród dzieci i młodzieży, których uczę, są wspaniałe osoby, pracowite, zdolne i ambitne, z dużym potencjałem i empatią. Myślę, że wiele problemów, o których mówiłem, zaczyna się w domu rodzinnym. A dziś mamy kryzys rodziny, tego nie zmienia żadne pieniądze pompowane na konta bankowe. Mam uczniów, w których domach jest problem alkoholowy, jakiś rodzaj biedy, rodzice są nieobecni, pochłonięci przez pracę, są choroby, nawet upośledzenia czy po prostu nieprzygotowanie do tego, by dziećmi się zająć. Wtedy wiele zależy od nas, nauczycieli. Ciężą na nas duża odpowiedzialność. A my słyszymy i czytamy o sobie, że jesteśmy nierobami i chcemy tylko więcej i więcej pieniędzy... To boli. ●

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI



17 ZESPOŁÓW WYKREŚLA TREŚCI

Dzieci będą mniej obciążone i więcej rozumieją. Odchudzamy podstawę programową

Karolina Słowik

Był minister edukacji Przemysław Czarnek sam przyznał, że podstawy programowe autorstwa gabinetu ministry Anny Zalewskiej są przeładowane. Zauważył to w 2021 roku, gdy jego dziecko przystępowało do egzaminu ósmoklasisty. Bo Zalewska nie tylko zlikwidowała gimnazja, lecz również ścisnęła ich trzyletni program w dwa: VII i VIII klasy nowej szkoły podstawowej. Wielokrotnie pisaliśmy, że uczniowie najstarszych klas podstawówki się nie wyrabiają, ślęczą po nocach. Że to jedna wielka gonitwa za programem, której nauczyciele nie mogą podolać, zadają do domu niezrealizowane w szkole

rozdziały z podręczników do samodzielnego opracowania. „Córka w ósmej klasie ma więcej lekcji niż jej brat w drugiej klasie liceum” – skarżyli się rodzice. Czarnek, testując ten scenariusz na własnej skórze, w październiku ogłosił, że jego eksperci rozpoczęli intensywne prace nad odchudzeniem podstaw programowych. Zaoszczędzone dwie do pięciu godzin lekcyjnych uczniowie i uczennice mieli przeznaczyć na sport, kółka zainteresowań, zajęcia wspomagające, budujące relacje rówieśnicze. „Godziny sztywnego zakuwania – jak to mówią uczniowie – zamienimy na godziny miękkie, które będą wchodziły w skład pensum, nie stracie państwo zatem godzin” – obiecywał nauczycielom. Zmiany miały dotyczyć zwłaszcza najstarszych klas szkół podstawowych.

Nazwisk ekspertów Czarnek nie podał, a efektów ich prac już nie zdążył zaprezentować, bo chwilę potem PiS przegrało wybory. Okazuje się jednak, że dzieło, które rozpoczął, ciągnie nowy rząd. – Tak naprawdę kontynuujemy pracę, którą zaczął minister Czarnek – przyznała w zeszłym tygodniu na posiedzeniu sejmowej komisji edukacji wiceministra Katarzyna Lubnauer. I podkreślała, że chodzi jedynie o wykreślanie, nie dokładanie nowych treści. – Z tego prostego powodu, że będziemy pracować na tych samych podręcznikach. Kto nad tym pracuje? Wciąż nie znamy nazwisk ekspertów. Wiemy za to, że w 17 zespołach zasiadają „współpracownicy Centralnej Komisji Egzaminacyjnej (z doświadczeniem w pracach nad pod-

stawą programową i wymaganiami egzaminacyjnymi obowiązującymi w latach 2021-24), nauczyciele szkół podstawowych i ponadpodstawowych oraz nauczyciele akademicy” – wyjaśnia biuro prasowe resortu edukacji.

Skąd te 17 zespołów? Można przypuszczać, że każdy z nich wykreśla treści z poszczególnych przedmiotów (m.in. polski, języki obce, matematyka, historia, WOS, biologia, geografia, chemia, fizyka, informatyka, filozofia, łacina).

Kierowane przez Barbarę Nowacką ministerstwo podkreśla, że odchudzenie podstaw programowych to dopiero pierwszy krok. Chcą to zrobić dosyć szybko, konsultacje odbędą się w połowie lutego i mają potrwać zaledwie tydzień. Chodzi o to, żeby zdążyć przed przyszłorocznymi egzaminami. Dlatego zmiany muszą zacząć obowiązywać już we wrześniu.

Skoro to pierwszy krok, jaki jest drugi? W 2026 roku gotowa ma być duża reforma, zakładająca wprowadzenie nowych podstaw programowych. **O pierwszym i drugim etapie rozmawiamy z prezesem Centrum Edukacji Obywatelskiej, dr. Jędrzejem Witkowskim.**

KAROLINA SŁOWIK: Odchudzenie podstaw programowych w tak krótkim czasie to dobry plan?

DR. JĘDRZEJ WITKOWSKI: – Postulowaliśmy to jeszcze w 2021 roku. I ministerstwo podjęło wyzwanie. To prawda, tempo jest szybkie, ale to jedyny rok, w którym można tę podstawę odchudzić. Skoro nowa ma zacząć obowiązywać już w 2026 roku, bez sensu jest odchudzać starą w 2025. Wydaje się, że jeśli resort nie podjąłby się tego teraz, nie podjąłby się w ogóle.

To bardzo trudny projekt, trzeba opracować rozporządzenie, a potem wesprzeć jego wdrożenie. Nauczyciele będą musieli od nowa opracować programy nauczania i rozkłady materiału. Potrzebna będzie także praca z wydawnictwami.

Nowych podręczników nie będzie.

– Zmiana nie wymaga nowych podręczników. Tylko wskazania, które ich części nie są wymagane. Eksperci nie dodają nowych wymagań ani nie poprawiają istniejących, wykreślają tylko część z nich.

Nie znamy ich nazwisk.

– Moim zdaniem to błąd. Proces powinien być bardziej przejrzysty. Ale obiecano prekonsultacje w lutym, co też jest wyjściem naprzeciw potrzebom i oczekiwaniom społecznym.

Pojawiają się głosy, że Zalewska reformę programową wprowadzała na szybko, konsultacje były fasadowe, a do ujawnienia listy ekspertów zmusił ją sąd.

– Porównanie do minister Zalewskiej jest nietrafne. Tamta reforma programowa była wymuszona politycznie umotywowaną zmianą strukturalną w systemie. Obecne ministerstwo robi ten krok w przekonaniu, że jest potrzebny. Politycznie to raczej obciążenie, bo zawsze ktoś będzie niezadowolony.

Temu ruchowi trzeba dać szansę. Słyszmy, że na pewno będą dziury w programach, że nie będzie korelacji między przedmiotami, że nauczyciele zostaną pozostawieni samym sobie. To są ryzyka tego projektu, ale nie wiemy, czy się zmateriaлизują. Naszą rolą jest zwracanie na nie uwagi i pilnowanie, żeby tak się nie wydarzyło. Możemy pomóc ominąć te rafy. To nie będzie proces idealny, ale zmiany są potrzebne.

O zmniejszeniu liczby zadań domowych mówimy również w kontekście chudszych podstaw programowych. Jeśli będzie mniej materiału, nauczyciele nie będą zadawać go do samodzielnego przerobienia w domu.

– To kolejny argument za tym, żeby ten proces przeprowadzić – mądrze, ostrożnie, w przemyślany sposób, ale przeprowadzić. Szczegól-

nie, że to ma uwolnić nasze myślenie o długofalowej reformie programowej, która powinna być absolutnym priorytetem dla MEN. Reforma programowa to oś całej polityki edukacyjnej.

Obecne podstawy programowe mają się zmniejszyć o 20 proc. To dobra miara?

– Na pewno będzie to różnicowane w zależności od przedmiotu.

Odchudzenie podstaw to trudne przedsięwzięcie, jednak może sprawić, żeby dzieci nie tylko były mniej obciążone, lecz również uczyły się głębiej tego, co zostanie w programie. Żeby były w stanie pracować na wyższych poziomach taksonomicznych: żeby przetwarzały materiał, analizowały i syntetyzowały informacje i przede wszystkim mogły to wykorzystać. W dzisiejszym świecie nie chodzi o to, by mieć wiedzę szeroką i płytką, tylko węższą i głębszą. Wykorzystanie w praktyce ma fundamentalne znaczenie.

Prekonsultacje potrwać siedem dni: między 12 a 19 lutego.

– Konsultacje powinny być przede wszystkim robione rzetelnie. Organizacje społeczne, praktycy, dydaktycy, akademicy powinni mieć wystarczająco czasu, by się zapoznać ze zmianami i zgłosić sensowne komentarze.

– Doświadczenia państw OECD pokazują, od czego zależy skuteczność podobnych reform. Po pierwsze, potrzebujemy rzetelnej dyskusji o profilu absolwenta: kogo chcemy w szkole wykształcić, co młody człowiek wychodzący ze szkoły podstawowej – a potem szkoły średniej – powinien wiedzieć, co umieć, co robić. To absolutnie fundamentalne pytanie.

W drugim etapie musimy ustalić generalne założenia podstawy programowej: jak szczegółowo opisujemy efekty kształcenia, ile przedmiotów, a ile interdyscyplinarności, jak sztywny ma być system klasowo-lekcyjny, jak ująć w podstawie kompetencje.

Dopiero trzeci etap to pisanie podstawy, określanie celów ogólnych i wymagań szczegółowych. Ta praca musi być wykonana przez dydaktyków i ekspertów z danych przedmiotów.

Na każdym etapie w proces powinni być zaangażowani eksperci, środowisko praktyków, akademików, również organizacji społecznych oraz instytucji wewnątrz systemu edukacji: Instytutu Badań Edukacyjnych, Ośrodka Rozwoju Edukacji, Centralnej Komisji Egzaminacyjnej.

MEN powinno powołać zespół roboczy, który będzie prowadził ten proces, zapraszając do niego kolejnych specjalistów.

Stosunek do religii, do edukacji seksualnej, kanonu lektur szkolnych będzie nas zawsze różnił, ale to tematy zastępcze. Gdyby do stołu usiedli eksperci, nawet o różnych wrażliwościach i poglądach, to moglibyśmy się porozumieć, że ważne jest, by szkoła uczyła logicznego rozumowania, wyjaśniała najważniejsze procesy społeczne, uczyła zarządzania emocjami, asertywności, współpracy w grupie, nawiązywania relacji rówieśniczych

Siedem dni to nie jest wymarzony czas, ale rozumiem też, że skrócenie terminów umożliwia zgłoszenie uwag dwukrotnie – prekonsultacji rozwiązań, a następnie właściwych konsultacji rozporządzenia. W każdym kroku musi pozostać czas na uwzględnienie naszych uwag.

I pamiętajmy, że to jest ten mniejszy krok, który wykonujemy. Fundamentalne znaczenie dla całego systemu edukacji ma duża reforma programowa. Już teraz powinniśmy rozpocząć prace nad nią.

W trakcie „małej reformy”?

– Jeśli duże zmiany chcemy wprowadzić we wrześniu 2026, to czasu nie jest dużo. Roku potrzebujemy na samo przygotowanie podręczników, czyli rozporządzenia powinny być gotowe najpóźniej we wrześniu 2025. To oznacza, że mamy niewiele ponad półtora roku na dyskusję, w jakim kierunku chcemy zmieniać polską edukację. Nie możemy rozpocząć tego procesu we wrześniu 2024, bo będzie już za późno.

„Duża reforma programowa” wyznaczy na nowo cele systemu edukacji.

I jak powinno wyglądać jej przeprowadzanie?

Efekty jego pracy powinny być poddane szerokim konsultacjom. Edukacja to jedna z najważniejszych polityk publicznych w naszym kraju.

Do tego wszystkiego potrzebna jest bardzo jasna strategia wdrożenia reformy. Proces nie kończy się na wydaniu nowych rozporządzeń. Kluczowe jest przygotowanie nauczycieli.

I przekonanie ich. Bo to oni będą tę zmiany realizować.

– Dlatego trzeba z nimi od początku rozmawiać. Żadna reforma narzucona nauczycielom, nie tylko w Polsce, lecz również w innych systemach edukacji na świecie, się nie udala.

Wiemy z badań dotyczących reformowania oświaty, że w przechodzeniu od systemów dobrych do bardzo dobrych nie osiągnie się niczego regulacjami – bo dobrej edukacji nie da się zadekretować.

Nowa podstawa programowa oznacza nowe cele edukacyjne, na przykład w zakresie rozwoju kompetencji. Ich zrealizowanie będzie wymagało od nauczycieli innych metod pracy. Dlatego musimy postawić na budowanie kompetencji nauczycieli, a potem dać im więcej autonomii. Od te-

go zależy sukces reformy programowej i sukces edukacji w ogóle. Nauczyciel jest absolutnie kluczowy.

Wsparcie dać przez szkolenia? Kiedy nauczyciele słyszą o kolejnych szkoleniach, cierpienie im skóra. Jak zrobić to sensownie?

– W CEO prowadzimy wiele szkoleń. Jeśli to kursy, które faktycznie pomagają nauczycielkom i nauczycielom w pracy, to oni są z nich zadowoleni. Podpowiadamy, jak oceniać bez stopni, jak angażować w uczenie się, jak uczyć współpracy. Nie ignorujemy zmęczenia nauczycieli ani symptomów wypalenia zawodowego, dlatego szukamy nowych, adekwatnych form.

Dobre szkolenia to nie tylko webinaria, których można słuchać wieczorami. To może być ważne źródło inspiracji, ale nie buduje nowych kompetencji. Nauczyciele potrzebują zindywidualizowanego wsparcia i mentoringu, informacji zwrotnej i praktyki zanurzonej w swoim przedmiocie. Takie wsparcie działa i przekłada się na codzienność w klasie.

Czyli jakiego nauczyciela chcemy?

– Jeśli chcemy, żeby uczniowie wychodzili ze szkoły, umiejąc współpracować i krytycznie myśleć, ich nauczyciele muszą umieć tego

uczyć. Dyskusję o profilu kompetencyjnym nauczycieli powinniśmy wpisać w szerszą rozmowę o ich statusie zawodowym. Zastanowić się, co przyciąga młodych do zawodu, dlaczego w nim pozostają, jak powinniśmy wynagradzać ich pracę i jakie oczekiwania wobec nich formułujemy.

Na razie mamy 33 proc. podwyżki dla tych, którzy do zawodu wchodzą.

– To ważny krok w dobrą stronę. Powinien być wstępem do szerszej dyskusji o statusie zawodowym. W dyskusji o edukacji mamy tendencję, by koncentrować się na punktowych zmianach. O nich wszystkim najłatwiej rozmawiać, ale złożoność polityk publicznych sprawia, że żadnego głębokiego problemu nie da się rozwiązać jedną decyzją, często nie jest to nawet możliwe w cztery lata kadencji parlamentarnej.

Trzeba pamiętać, że cele edukacyjne rzutują na dydaktykę, która zależy od kształcenia i doskonalenia nauczycieli. Dydaktyka przekłada się na ocenianie, które ma wspierać proces uczenia się, i na system egzaminacyjny, który ma weryfikować skuteczność szkół w realizacji tych celów. Niby mówimy tylko o reformie programowej, lecz w praktyce

zmiany powinny być odzwierciedlone we wszystkich obszarach.

Dużo rzeczy może pójść nie tak.

– Jak w każdej zmianie, ale nie stać nas, by nie podjąć tego wyzwania.

Lubimy czerpać z przykładu fińskiego. Jeśli coś warto skopiować, to sposób pracy nad polityką edukacyjną. Tam eksperci wypracowywali ją – także w konsensusie politycznym – przez wiele lat. Kilka lat poświęcono na dyskusję, a kolejnych kilkanaście na wdrożenie. A zmiany stale się monitoruje, bada, ocenia. Przez ostatnie dekadę dzięki takiemu podejściu fińskie szkoły zmieniły się diametralnie.

To jest ogromne wyzwanie, dotychczas niepodjęte przez żaden rząd. Jednak zbudowanie szkoły odpowiadającej naszym aspiracjom wymaga robienia rzeczy, których jeszcze nie robiliśmy jako społeczeństwo.

Mamy na to dwa lata. To ma szanse się udać?

– To trudne ograniczenie polityczne, konsekwencja kadencyjności władzy. Powinniśmy mieć polityczną zgodę wszystkich liczących się sił w parlamencie co do tego, jak powinna wyglądać szkoła w roku 2040. Mówię to ze świadomością, jak trudne jest wypracowanie konsensusu między dwiema stronami politycznego sporu w Polsce.

Logika polaryzacji obejmuje niestety coraz to nowe sfery funkcjonowania społeczeństwa. Przez ostatnią dekadę edukacja także została zawłaszczona przez logikę sporu politycznego. Największym długofalowym sukcesem ministery edukacji byłoby wyprowadzenie edukacji poza sferę bieżącego konfliktu politycznego.

To możliwe? W dwa lata wcisnąć jeszcze konsultacje z PiS?

– Wolalbym, żeby duża reforma weszła do szkół w 2027 roku. Im więcej czasu możemy poświęcić na jej przygotowanie, tym będzie lepsza.

Chciałbym, żeby polityka edukacyjna dołączyła do tych obszarów, w których panuje jakiś konsensus polityczny. Przynajmniej co do generalnych kierunków zmian. Wydaje mi się, że jest do tego potencjał. Stosunek do religii, do edukacji seksualnej, kanonu lektur szkolnych będzie nas zawsze różnił, ale to według mnie tematy zastępcze.

Są orężem politycznym.

– To, w czym jesteśmy w stanie się porozumieć, nazywam nową równowagą szkoły. Chodzi o to, ile w szkole ma być wiedzy, która wyjaśnia młodym ludziom otaczający

ich świat; ile ma być kompetencji, które pozwalają w tym świecie działać; ile budowania podmiotowości i wspólnotowości, która daje siłę do działania.

Jestem przekonany, że tu moglibyśmy się porozumieć, jeżeli byłaby wola polityczna. Gdyby do stołu usiedli eksperci, nawet o różnych wrażliwościach i poglądach politycznych, to moglibyśmy się porozumieć, że ważne jest, by szkoła uczyła logicznego rozumowania, wyjaśniała najważniejsze procesy społeczne, uczyła zarządzania emocjami, asertywności, współpracy w grupie, nawiązywania relacji rówieśniczych. Nikt by nie zanegował, że potrzebujemy szkoły, która uczy krytycznego myślenia, rozwiązywania problemów, zarządzania sobą i szeroko rozumianej samodzielności.

A co, jeśli prawica wcale nie dąży do nauki samodzielnego myślenia i krytycyzmu?

– Jak wspominałem, różnice pomiędzy prawicą a lewicą z pewnością istnieją w wychowaniu i kwestiach tożsamościowych. Jedni będą więcej mówili o dziedzictwie i tożsamości wzmacnianej w ramach wspólnoty, drudzy o podmiotowości i emancypacji indywidualnej. Jestem jednak przekonany, że w sprawach kompetencji takich jak krytyczne myślenie, rozwiązywanie problemów, współpraca istnieje konsensus. Prawica także obawia się bezkrytycznego przyjmowania przekazów medialnych.

PiS rzeczywiście mówiło, że „kompetencje przyszłości” są nam potrzebne do transformacji cyfrowej. Ale jak to zrobić, żeby ten cały wysiłek dotyczący nowych reform nie był za parę lat zniweczony, kiedy druga strona dojdzie do władzy?

– Najważniejsze, żeby od początku rozmawiać szeroko ze środowiskiem edukacyjnym, żeby mieć w nim poparcie. Jeśli możemy wywrócić reformę, to przede wszystkim niechęcią nauczycieli. Drugi aspekt to zbudowanie konsensusu wszystkich stron sporu politycznego, jak ma wyglądać szkoła w 2040 roku. Być może skończymy wspólnymi wnioskami i protokołem rozbieżności. Ale to będzie już ważny krok do przodu.

Jeśli uda nam się zbudować na nowo twarde jądro edukacji, czyli triadę wiedzy – kompetencje – podmiotowość, i obronić ją przed sporem politycznym, to będzie ogromny sukces i zasób na przyszłość. To leży w interesie całego społeczeństwa. ●

A mnie jest szkoda Kleksa

Wbrew krytykom popieram zamianę Adama Niezgódki na Adę. Ale dla czego na końcu wszystkiemu winna jest kobieta?

Marcin Matczak



Kiedy kilka lat temu zaczynałem pisać te felietony, nie przewidywałem całej grupy ryzyk, które się z tym wiązą. Po pierwsze, co tydzień trzeba wymyślić temat: nawet w dzikiej polskiej rzeczywistości znaleźć pięćdziesiąt dwie wartości opisaną kwestie w roku to nielata sztuka.

Po drugie, w dobie internetu upada zrozumienie dla idei felietonu. W wydaniu papierowym ma on stałe miejsce i naturalną powtarzalność. Nikt się nie dziwi, że felietonista znów pisze. W sieci felietony tracą stabilność: pojawiają się nieregularnie, raz w środę, raz w piątek, raz w sobotę, a ponieważ dotyczą różnych tematów, powstaje wrażenie, że autor pisze o wszystkim i za chwilę wyskoczy z lodówki.

Aby ułatwić oskarżanie, że chcę się znać na wszystkim, dzisiaj zajmę się nową „Akademią Pana Kleksa”. Czy mam do tego prawo? Uważam, że tak, bo klasyczna „Akademia...” z lat 80., z Piotrem Fronczewskim, to formujące doświadczenie mojego pokolenia. To film nie do zapomnienia, który potrafił jednocześnie zachwycić i spowodować traumę. Zachwycał obrazem niezwykłości w szarym świecie. Traumatyzował doświadczeniem, że tę dopiero co poznaną niezwykłość można utracić, bo skądś nadciągają wilkołaki. Jeśli ktoś w młodości nie czuł przerażenia na widok maszerującej w rytm muzyki TSA hordy pół wilków, pół ludzi, ten na starość z pewnością będzie łajdakiem. Taką mam teorię przynajmniej.

Oglądając nową „Akademię...” , myśleliśmy z żoną, że może umarły już w nas te dzieci, które ekscytowały się magicznymi piegami i lusterkami pokazującymi sny. Ale potem dotarło do nas, że to chyba nie my się zmieniliśmy, ale świat i to, jak opowiada się historie. Nowa „Akademia...” odwraca sekwencję wydarzeń, które tak nas ujęły w starej wersji. Tam na początku były piękno i niezwykłość, tu od razu pojawia się zagrożenie: wilkołaki (a raczej wilkusy) są obecne niemal od pierwszych scen. To powoduje, że nie ma czasu pokochać Akademii, zanim poczuje się strach przed jej utratą. A skoro nie ma czasu pokochać, to i utrata emocjonalnie wydaje się dużo mniejsza.

Inny problem z emocjami: zbyt krótka ekspozycja bohaterów, z którymi nie sposób się w pędzie utożsamić. Za to zbyt długa ekspozycja ich twarzy, jak w tureckim serialu, co ma niby spotęgować ich emocje, a ociera się o kicz. Dużo mimiki księcia wilkusoś, mało wyjaśnienia, kim jest jasnowłosey Albert.

W nowej „Akademii...” nie ma Filipa Golarza. Nie ma więc archetypicznego sporu dwóch głównych bohaterów (Filipa i Kleksa), który niknie w obliczu zagrożenia niepojętym superzłem niesionym przez wilkołaki. Nie ma więc tego emocjonalnego punktu kryzysowego, w któ-

rym zagrożenie, które już wydawało się potężne, błędnie wobec jeszcze potężniejszego.

Nie ma wielu innych rzeczy – przede wszystkim nie ma Kleksa. To znaczy jest, ale nie góruje nad opowieścią, nie trzyma wszystkiego w garści jak kiedyś. Jest przysłonięty i przez Adę Niezgódkę, która w nowej opowieści zastąpiła Adama, i przez kruka Mateusza, który nie pomaga tworzyć magicznego nastroju, zbyt często mówiąc o tym, jakim problemem dla ludzi-ptaków jest niekontrolowane wydalanie (niestety, tak). Kleks Kota to cień Kleksa granego przez Fronczewskiego – raczej nieudacznik niż lider, bardziej sztukmistrz od królików z kapelusza niż wielki mag. Nie daje poczucia bezpieczeństwa, nie otacza go nimb mądrości. Jeśli „Akademię...” traktować jako naszą odpowiedź na „Harry’ego Pottera”, Fronczewski to potężny Albus Dumbledore, Kot to niezdarny profesor Gilderoy Lockhart grany w „Komnacie Tajemnic” przez Kennetha Branaghę.

W nowej „Akademii...” nie ma też prawdziwej opowieści, jest raczej teledysk. To może nasze boomerskie przyzwyczajenia, ale chaotyczny montaż i wykorzystanie klasycznych piosenek („Księżyc raz odwiedził staw”) raczej jako cytatów niż równoważnych elementów narracji powodują, że „Akademia...” z wybitnego musicalu staje się w niektórych miejscach jak niezłe wyedytowane nagranie z wesela. Muzyka jest jakby podłożona, jest tylko tłem, nie pierwszym planem, a „Na wyspach Bergamutach” brzmi jak karaoke. A przecież potencjał muzyki z „Akademii...” jest ogromny.

Stara i nowa „Akademia...” są jak zmiana epok. Filozofowie mówią, że umiera nam narracja – chronologiczne opowiadanie powiązanych ze sobą wydarzeń, a na końcu morał. Klasyczną opowieść dziś trzeba uatrakcyjnić gadżetami, żeby mogła konkurować z internetową rolką, która narrację morduje. W klasycznej opowieści strzelba wisząca na ścianie w pierwszym akcie musi wystrzelić w trzecim, w rolce internetowej żadne zasady spójności nie obowiązują. Bo nie ma żadnego związku między kilkusekundowymi klipami pokazującymi laszącego się kota, bramkę Messiego i dziecko wygrywające talent show. To tylko swobodny strumień emocji.

W nowej „Akademii...” poświęca się spójność, żeby było śmieszniej i bardziej emocjonalnie. Nie tylko w przypadku Mateusza, który jednocześnie stara się być romantycznym księciem i defekującym gołębiem, ale też gdy chodzi o polityczną poprawność. Wbrew krytykom popieram zamianę Adama Niezgódki na Adę. Nie rozumiem tylko, dlaczego zwalczając patriarchalne stereotypy, głównym negatywnym bohaterem filmu czyni się seniorkę wilkusowego rodu graną przez Danutę Stenkę. Spór feminizmu z męskim szowinizmem kończy się tu jak w opowieści o Adamie i Ewie – znowu wszystkiemu winna jest kobieta.

Ponarzekałem, ale jest niestety na co. A może po prostu nie ma powrotu do dziecięcej fascynacji? Żeby to sprawdzić, po seansie nowej „Akademii...” pooglądaliśmy na YouTube fragmenty starej – i „Dzik jest dziki, dzik jest zły”, i „Meluzynę”, i wilkołaki. Efekt emocjonalny przy ubogości środków technicznych porażający. Tam dalej jest magia, w nowej „Akademii...” jej nie ma.

Dlatego piszę ten felieton o kolejnej utracie i o tym, że nic dwa razy się nie zdarza. Nawet jeśli mi powiedzą, że chcę się znać na wszystkim: i na praworządności, i na muzyce, i na kinematografii. Ale felietonista jest po prostu kronikarzem emocji, które te wszystkie rzeczy w nim wywołują, więc tak naprawdę zawsze pisze o tym samym, czyli o sobie. Egocentryk! ●

Szkoła strachu

• W Finlandii aż do matury nie ma obowiązkowych testów i egzaminów. Nie ma rankingów porównujących szkoły i nauczycieli – opowiada Maciej Jarkowiec w reporterskim raporcie **„Pippi nie porównuje się do innych. Nie ma kompleksów. Być może dlatego, że nie chodzi do szkoły”**.

• I zachęca w analizie **„Na górze naczelnik dyrektor, pod nim klawiszowe – nauczyciele, na dole więźniowie – uczniowie. Sto lat polskiej szkoły”**: chcecie zrozumieć Polskę, zajrzyjcie do szkoły. Mijają dekady, a tu się nic nie zmienia.

• Gust uczniów wyrabia nie tych kilka słynnych obrazów raz na rok, tylko codzienne obcowanie z przeraźliwie brzydkim podręcznikiem. Najmłodszym odbiorcom na każdym kroku proponuje się bylejakość – zauważa semiotyk kultury Marcin Napiórkowski w eseju **„Dlaczego długo nie będziemy mieć w Polsce ładnych rzeczy? Zajrzyj do podręcznika do klasy pierwszej podstawówki”**.

• 55 proc. rodziców zdecydowałoby się na postanie dziecka do szkoły społecznej lub prywatnej, gdyby było ich na to stać – tak Agnieszka Jucewicz zaczyna reportaż **„Nauczyciele mają dość. Uczniowie mają dość. I rodzice też mają dość polskiej szkoły”**, czyli opowieść o największych bolączkach.

• **„Czwórki i piątki na świadectwie? Może załapiesz się na liceum z pierwszej czterdziestki”** – Aleksandra Szyłto opisuje wyścig szczurów, w jaki zmienił się egzamin ósmoklasisty.

• **„Maturę i oceny z zachowania trzeba zlikwidować”** oraz inne pomysły Łukasza Ługowskiego, wieloletniego dyrektora słynnego liceum „Kąt”.

• **„Nieudacznik czy skarb narodu?”** – Justyna Suchecka sprawdza, skąd się biorą polscy nauczyciele.

Wszystko o szkole, dobrej i złej, nie tylko polskiej – na **Wyborcza.pl/magazyn**

Najświeższy raport o aborcji

KOBIECY
SĄ DOROSŁE

Większość Polek i Polaków uważa, że decyzję należy pozostawić kobiecie. Tylko politycy nie nadążają

Katarzyna Wężyk

„Przegraliśmy wojnę o język” – tak w 2001 r. Agnieszka Graff podsumowała pierwsze dziesięciolecie aborcyjnych sporów. Wygrali wtedy Kościół, który zdołał narzucić debacie swój przekaz, i prawicowi politycy, którzy uchwalili jedno z najbardziej restrykcyjnych praw w Europie.

35 lat od zgłoszenia pierwszego projektu całkowitego zakazu przerywania ciąży – autorstwa ekspertów Episkopatu – strona praw kobiet odzyskała przynajmniej narracyjną dominację. Widać to nie tylko w Sejmie, który na następnym posiedzeniu będzie debatował nad czterema projektami liberalizującymi obowiązujące prawo, i nie tylko w mediach, gdzie jako ekspertki zapraszane są działaczki proaborcyjne, a nie księża – ale też, jak pokazuje opublikowany właśnie raport „Z troską i empatią. Polki i Polacy o prawie do przerywania ciąży” fundacji More in Common, w przekonaniach tzw. zwykłych Polek i Polaków.

Dla większości to bowiem osoba najbardziej zainteresowana, czyli sama ciężarna, powinna móc zdecydować, czy chce zostać matką. „Decyzja o zachowaniu lub przerwaniu ciąży w powszechnej opinii jest osobistym wyborem kobiety, którego dokonuje w zgodzie ze swoim sumieniem” – czytamy w raporcie. I niczyje przekonania – uważają badani – ani polityków, ani księży, ani lekarzy, ani partnera, nie powinny jej zmuszać do donoszenia ciąży.

A możliwość wyboru postrzegają już nie jako sposób na uniknięcie odpowiedzialności, tylko źródło poczucia bezpieczeństwa i podstawowego psychicznego komfortu – niezależnie od tego, jaką decyzję kobieta ostatecznie podejmie.

W roku 2024, podsumowując, większość Polek i Polaków uważa kobiety za osoby dorosłe.

Opublikowane w raporcie More in Common liczby potwierdzają widoczny od kilku lat w badaniach opinii publicznej trend liberalizacji postaw Polek i Polaków. Nie są może tak optymistyczne jak sondaże Ipsos dla OKO.press (w rekordowym, z listopada 2022, 70 proc. badanych było za aborcją do 12. tygodnia), ale dalej przeciwnicy przerywania ciąży nie mają się z czego cieszyć.

Prawie trzy piąte badanych – 57 proc., nieco więcej kobiet niż mężczyzn i więcej osób młodszych niż starszych – uważa, że kobieta powinna mieć możliwość przerwania ciąży z ważnych przyczyn osobistych bez konieczności ich podawania przynajmniej do 12. tygodnia ciąży. Co więcej, niemal co piąta osoba – 19 proc. badanych – przyznałaby ciężarnej prawo do takiej decyzji aż do 24. tygodnia.

Trochę ponad jedna trzecia (35 proc.) chce, aby prawo do przerywania ciąży było powiązane ze spełnieniem konkretnych warunków (zagrożenie życia i zdrowia ciężarnej, ciąża z gwałtu lub uszkodzony płód). A niespełna jedna na dziesięć osób (9 proc.) całkowicie zakazałaby aborcji.

Aborcja ma potencjał politycznej mobilizacji. Prawie dwoje na pięcioro (37 proc.) badanych deklarowało, że kwestia przerywania ciąży miała duży lub średni wpływ na decyzję o udziale w wyborach 15 października. Wśród kobiet ten odsetek wzra-

sta do 43 proc. – wśród najmłodszych, poniżej 30. roku życia, do aż 67 proc.

Elektoraty wszystkich trzech koalicyjnych partii w przeważającej większości opowiadają się za oddaniem decyzji w sprawie aborcji kobiecie: chce tego 86 proc. wyborczyń i wyborców Koalicji Obywatelskiej, 87 – Lewicy i 68 – Trzeciej Drogi. Wyborcy i wyborczynie PiS oraz Konfederacji preferują powrót do ustawy z 1993 r.

Domagająca się dekryminalizacji aborcji Lewica ucieszy się, że Polki i Polacy sprzeciwiają się karaniu kobiet (71 proc.) i lekarzy (67 proc.). Proponowane przez Trzecią Drogę referendum popiera 35 proc. badanych, tyle samo co drogę ustawową.

15 proc. oddałoby decydujący głos Trybunałowi Konstytucyjnemu. Tyle że zarówno referendum, jak i Trybunał popierają najczęściej przeciwnicy aborcji i mężczyźni; zwolennicy liberalizacji i kobiety wolą załatwić sprawę ustawą. Elektorat Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza też zresztą wołałby ścieżkę ustawową (42 proc. zwolenników tego rozwiązania, 39 proc. za referendum).

Ciekawsze od liczb są wywiady grupowe. Jak piszą autorzy i autorki raportu, motywem przewodnim rozmów było zdanie: „Kobieta powinna móc sama decydować”. Towarzyszyło mu przekonanie, że będzie to decyzja świadoma i przemyślana. Opinia, że aborcja to furtka dla nieodpowiedzialnych kobiet, które nie chcą ponieść konsekwencji prowadzenia życia seksualnego – do niedawna wyrażana często – jest w cytowanych wypowiedziach nieobecna.

Z oddaniem decyzji kobiecie zgadzali się przy tym nie tylko uczestnicy lewicowi i liberalni, ale także, choć rzadziej, osoby bar-

dziej konserwatywne. Jak to ujęła 52-letnia Zofia, przez badaczy zaliczona do grupy „oddanych tradycyjnistów”: „Uważam, że prawa kobiet są niesamowicie ograniczane. Chciałabym mieć wybór. Nie wiem, jak bym postąpiła, ale chciałabym mieć wybór. I chciałabym, żeby moje dzieci też miały wybór”.

Uczestnicy i uczestniczki badania w większości uważali też, że żadna instytucja – także państwo i Kościół – nie powinna podejmować za kobietę decyzji, która będzie miała tak ogromny wpływ na jej życie. „Z jakiej racji ksiądz czy ktoś inny ma mi mówić, jakie decyzje mam podejmować? To jest wielka odpowiedzialność, same musimy podjąć decyzję, bo to nas obciąża na całe życie” (Kornelia, 55 lat). „Jest to indywidualna sprawa moralna każdej kobiety i dziewczyny” (Lidia, 49).

Partner z kolei, owszem, powinien uczestniczyć w rozmowie, czy ciążę przerwać, ale bez prawa weta. „Ale jak się nie zgadzamy, to my powinnyśmy móc podjąć ostateczną decyzję. Każda kobieta ma swoje sumienie i to w jej sumieniu będzie to, czy zrobiła to prawidłowo” (Sara, 23).

Uznanie dla podmiotowości kobiet łączy się z empatią wobec przerywających ciążę, i to niezależnie od własnych poglądów. „Ja bym to zaakceptowała. To nie jest moje życie ani to moje buty” (Sara, 23 lat). „To jest jej decyzja, ona z nią żyje, nie ja. Ode mnie dostaje wsparcie” (Łucja, 37 lat). „Jeżeli ktoś to zrobił z egoistycznych pobudek – nie muszę tego akceptować, ale nie będę się też odcinał” (Jeremiasz, 23 lata).

Wreszcie, i to jeden z ciekawszych wniosków z raportu, w kwestii aborcji mężczyźni skłonni są się odsunąć („To jest ciało kobiet, mają więcej do powiedzenia, taka jest prawda”, Wiesław, 59 lat), oddać głos kobietom („Może niech kobiety się wypo-

wiedzą, bo mają inne zdanie, ja mam swoje, bardziej konserwatywne, ale to bardziej jest sprawa kobiet”, Paweł, 38 lat), wysłuchać je, a nawet zmienić zdanie. Kobiety z kolei podkreślały, że politycy mężczyźni nie powinni decydować o tym, czy można przerwać ciążę, bo temat ich bezpośrednio nie dotyczy.

Jeśli się pamięta łamy „Wyborczej” z lat 90., na których o aborcję spierał się naczelny katolickiej „Więzi” z posłem Unii Wolności, albo „Kawę na lawę” w TVN 24 sprzed dekady, w której na ten sam temat debatowali sami politycy płci męskiej, moderowani przez Bogdana Rymanowskiego, to ogromna zmiana.

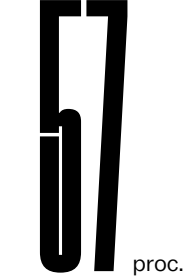
Można też zaryzykować stwierdzenie, że stygmatyzacja aborcji – czyli przekonanie, że przerywanie ciąży to coś nie tylko złego, ale też głęboko wstydliwego, co zdarza się osobom nieodpowiedzialnym, niemoralnym, egoistycznym, ewentualnie, w ostateczności, ofiarom traumy gwałtu czy uszkodzonej ciąży, ale na pewno nie nam – przez ostatnie lata zdecydowanie się zmniejszyla. Polki potrafią się postawić w sytuacji kobiety, która nie chce lub nie może donosić ciąży („Ostatecznie to powinna być moja decyzja. Ja i moje sumienie”, Elżbieta, 46 lat), a Polacy nie uważają, że takie kobiety należy potępić.

Pytani o skojarzenia, jakie przychodzą im do głowy, kiedy myślą o osobach decydujących się na aborcję, badani mówili albo o traumie (depresja, samotność, smutek, strach, tragedia, trudna decyzja), albo o sprawczości (świadoma decyzja, ulga, determinacja). W żadnej z rozmów nie pojawiły się stygmatyzujące określenia czy wstyd za przerwanie ciąży.

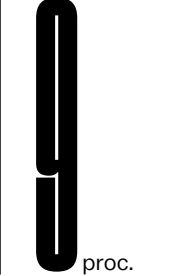
Dyskusja o aborcji przeniosła się z domeny ideologicznych abstrakcji na obszar ludzkich doświadczeń, z którymi można empatyzować. Wciąż bardziej w sytuacjach skrajnych niż po prostu niechcianej ciąży – nie mniej środek ciężkości zdecydowanie przemieścił się z płodu na kobietę. Rozmówcy podkreślali, że zmuszanie do donoszenia ciąży, kiedy wiadomo, że dziecko nie przeżyje, jest niehumanitarne. Przypominali też dramatyczną sytuację opiekunów dzieci z niepełnosprawnościami, w tym zwłaszcza matek, i brak systemowego wsparcia od państwa.

Wyraźnie widać rozróżnienie z nauką Kościoła, zwłaszcza tam, gdzie podkreśla ona wartość każdego życia, sens cierpienia oraz konieczność poświęcenia. Polki i Polacy najwyraźniej uważają, że do poświęcenia zmuszać nie można, cierpienie niekoniecznie uszlachetnia i ważna jest też jakość życia. Najbardziej, co było do przewidzenia, niewierzący: prawie 8 na 10 (79 proc.) popiera prawo kobiety do przerwania ciąży przynajmniej do 12. tygodnia. Wśród wierzących to niespełna połowa (45 proc.).

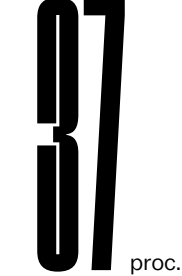
Nie oznacza to jednak, że Polki i Polacy są gotowi włożyć koszulkę z napisem „Aborcja jest OK”. 60 proc. badanych się z tym stwierdzeniem nie zgadza. Równie mało popularna jest jednak druga skrajność: „aborcja to morderstwo” (również 60 proc. przeciw) i „aborcja to grzech” (58 proc. przeciw). Wobec aborcji mamy zasadniczo uczucia mocno mieszane.



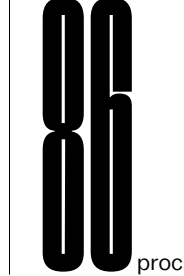
• Polek i Polaków uważa, że kobieta powinna decydować o przerwaniu ciąży bez podawania powodu przynajmniej do 12. tygodnia



• całkowicie zakazałoby aborcji



• badanych deklarowało, że kwestia aborcji miała duży lub średni wpływ na decyzję o pójściu na wybory 15 października



• wyborczyń i wyborców Koalicji Obywatelskiej chce pozostawienia decyzji kobiecie. Elektorat PiS i Konfederacji chce powrotu do ustawy z 1993 r.

ne. Większość uważa, że przerywanie ciąży to tragedia (64 proc.), a życie zaczyna się w momencie poczęcia (58 proc.).

Ale również większość jest zdania, że dostęp do aborcji to prawo człowieka (69 proc.), moje ciało to mój wybór (70 proc.) oraz, przede wszystkim, brak dostępu do aborcji zagraża życiu i zdrowiu kobiet (73 proc.). Można zatem jednocześnie uważać, że aborcja to tragedia i prawo człowieka oraz że życie zaczyna się wraz z zapłodnieniem, ale jeśli rośnie w moim ciebie, mogę wybrać, czy chcę ciążę kontynuować.

Podsumowując, przerywanie ciąży – poza najmłodszą grupą – postrzegane jest w Polsce jako zło konieczne, a także zabieg potencjalnie traumatyzujący, mający poważne konsekwencje, raczej ostateczność niż metoda kontroli urodzeń. W opinii większości aborcja powinna być „legalna, bezpieczna i rzadka”. A także wykonywana w systemie ochrony zdrowia – argumenty o demedycyzacji zabiegu i wolności, jaką daje aborcja farmakologiczna, ewidentnie nie przekonują Polek i Polaków (lub nie są im znane).

Siedem na dziesięć osób zgodziło się ze stwierdzeniem, że lekarz powinien zawsze uczestniczyć w podejmowaniu decyzji. Z tym że uczestnictwo ma się ograniczać do zapewnienia opieki medycznej, emocjonalnego wsparcia i wiedzy. W opinii większości lekarze nie są od przekonywania do takiego czy innego wyboru, a ich prywatne przekonania – tzw. klauzula sumienia – nie mogą być barierą w dostępie do aborcji. Tylko jedna czwarta (26 proc.) badanych uważa, że lekarz powinien mieć możliwość odmowy ze względu na przekonania. Likwidacja klauzuli sumienia lub poważne ograniczenie jej stosowania raczej nie spotkają się z dużym społecznym oporem.

Z danych wyłania się obraz społeczeństwa, które gotowe jest zaufać kobietom, wierząc, że postawione przed wyborem podejmą właściwą decyzję – podsumowują badacze. To, wydawałoby się, oczywiste zdanie jest w kontekście historii debaty aborcyjnej w Polsce rewolucyjne.

W pierwszych latach III RP to Kościół, ekspresowo i bardzo skutecznie, ustawił język, jakim się mówiło o przerywaniu ciąży. Używaną za PRL „skrobankę” zastąpiło „zabijanie nienarodzonych”, ciężarna z automatu została matką, zygota – dzieckiem, a przeciwnicy aborcji awansowali na obrońców życia. W efekcie na jakieś ćwierć wieku z debaty niemal zupełnie zniknęła kobieta – jej prawa, autonomia, preferencje, jej plany, ale także fizyczne i psychiczne koszty ciąży, porodu i macierzyństwa. Jeśli już się pojawiała, to albo jako zagrożenie dla płodu, albo ofiara traumatycznych okoliczności, nad którą można się było mniej lub bardziej protekcyjnie pochylić. W centrum debaty został postawiony płód – tj. dziecko poczęte.

Podczas sejmowych i medialnych dyskusji na początku lat 90. przeciwnicy aborcji mówili więc o „zagładzie dzieci w łonie matek”, „zamordowaniu żywego człowieka”, „zabijaniu niewinnych”, kobietach, które powinny się nauczyć ponoszenia konsekwencji, a nie zabijać dzieci w imię własnego wygodnictwa. Przywoływali Hitlera, Himmlera, Stalina, Mengelego oraz „piwo intensywnie czerwone od niewinnej krwi dzieci polskich”, które „musi wypić w swej ekspiaci cały naród”. Wzywali na pomoc Ducha Świętego. Ostrzegali przed dyktaturą egoizmu. Deklarowali, że chronią godność kobiety, gdyż „prawo do decyzji: urodzić czy zabić własne dziecko, ją upokarza”. A poza tym aborcja jest przejawem cywilizacji śmierci i zasmuca Jana Pawła II. „Mój brzuch”, słyszały kobiety, nie jest „moją sprawą, jest sprawą całego społeczeństwa”. Poza tym to hasło jest „nieeleganckie”.

Pytany, co jeśli po zaostrzeniu prawa Polki znów będą usuwać ciążę pokątnie i umierać, autor projektu całkowitego zakazu aborcji odparł: „może się coś takiego zdarzyć, ale to nie będą ofiary ustawy, to będą ofiary naruszenia zasady moralnej i prawnej”.

Argumenty przeciwników i przeciwniczek zakazu były dużo bardziej nieśmiałe i zazwyczaj omijały kwestię kobiecej podmiotowości. Aborcja, zaznaczali obowiązkowo, jest złem („czymś strasznym”, „ciężką patologią”), co do tego „nie było wątpliwości”, ale bywa złem koniecznym. Ostrzegali przed psuciem prawa przez tworzenie przepisów martwych i przekonywali, że karami doprowadzi do stworzenia aborcyjnego podziemia, bo ciążę będą dalej przerywane, tylko w niebezpiecznych warunkach. To, że kobieta sama powinna móc zdecydować, czy chce być matką, artykułowano najczęściej na ulicznych protestach.

Zmianie języka towarzyszył nacisk na zmianę prawa. W grudniu 1989 r. Episkopat ogłosił, że „obrona życia polskich dzieci od chwili ich poczęcia urasta dzisiaj do podstawowego zadania w dziele odrodzenia naszej Ojczyzny”, a nieliczne głosy protestu nie przebiły się przez ówczesny patriarchy i powszechne przekonanie, że z Kościołem nie warto zadzierać. Epi-

skopat się zresztą nie szczypał – podczas kampanii wyborczej w 1991 r. biskupi przypomnieli, że chrześcijanin nie może „głosować na tych, którzy godzą się lub choćby dopuszczają prawo do aborcji”. A w styczniu 1993, po kilku nieudanych podejściach, parlament w końcu uchwalił zakaz z trzema wyjątkami, nazwany, cokolwiek na wyrost, aborcyjnym kompromisem.

Przez kolejne ćwierć wieku podejmowano próby zaostrzenia i liberalizacji prawa; Kościół wspierał te pierwsze i intensywnie zwalczał te drugie. Trybunał Konstytucyjny w 1997 r. piórem Andrzeja Zolla stwierdził, że „zachowanie przez kobietę ciążarną określonego statusu majątkowego”, „zachowanie dotychczasowego charakteru relacji z innymi osobami oraz zakresu realizacji określonych potrzeb, praw i wolności” czy „dyskomfort psychiczny” – są mniejszym dobrem niż życie embrionu lub płodu.

Roman Giertych chciał wpisać zakaz do konstytucji; w uzasadnieniu słowo „kobieta” padło raz, za to obficie cytowany był Jan Paweł II. Donald Tusk bronił „rozsądnego centrum”, czyli ustawy z 1993 r. Cale szpitale deklarowały, że u nich obowiązuje klauzula sumienia i ciąży się nie przerywa. W 2010 r. obywatelski projekt całkowitego zakazu aborcji i zrównania praw płodu z prawami ciężarnej zebrał prawie pół miliona podpisów. W 2016 podobną liczbę podpisów dostał drakoński projekt „Stop aborcji”.

A osiem lat później większość Polek i Polaków popiera oddanie decyzji kobiecie, w kampanii wyborczej „piekło kobiet” odmieniane było przez wszystkie przypadki, a koalicja rządząca obiecuje liberalizację obowiązującego prawa (choć nie potrafi się dogadać, do jakiego stopnia). To dramatyczna zmiana, której nie byłoby bez działalności organizacji kobiecych, zwłaszcza Aborcyjnego Dream Teamu, FEDER-y i Strajku Kobiet, oraz posłanek Lewicy i KO – ale też bez wspólnych wysiłków PiS, Kościoła i organizacji antyaborcyjnych, które dokreśliły śrubę tak mocno, że sytuacja stała się nie do zniesienia.

Tusk potrafił tę zmianę dostrzec: PO z partii broniącej świętego kompromisu stała się partią wspierającą aborcję na żądanie do 12. tygodnia ciąży. Projekty Lewicy idą jeszcze dalej: pierwszy zakłada dekryminalizację przerywania ciąży, drugi dopuszcza aborcję po 24. tygodniu w przypadku, gdy płód ma wadę letalną. Wciąż jednak nie wiadomo, czy którykolwiek z nich uzyska wystarczającą liczbę głosów Trzeciej Drogi, której liderzy chcą powrotu do ustawy z 1993 r., a następnie referendum.

Za to jest pewne, że każdą liberalizację zawetuje prezydent Andrzej Duda. Gdyż, jak to ujął w Polskim Radiu zastępca jego kancelarii Piotr Ćwik, prezydent opowiada się „za życiem”.

I, najwyraźniej, nie czyta sondaży. ●

Raport „Z troską i empatią” powstał na podstawie badania ankietowego przeprowadzonego we współpracy z pracownią Ipsos na reprezentatywnej grupie 1507 Polek i Polaków między 1 a 8 grudnia 2023 r. oraz czterech wywiadów grupowych, w których w sumie wzięły udział 24 osoby.

„Aborcja jest” Katarzyny Wężyk – esej i raport w jednym – dostępna na Kulturalny-sklep.pl i w formie e-booka w Publio.pl



Gdy kanclerz Merkel
zapropowała
Kaczyńskiemu miejsce
Polski w grupie
kierującej pracami Unii,
odmówił. Wolał szczuć na
Niemcy i Tuska

Z **RADOSŁAWEM SIKORSKIM**,
MINISTREM SPRAW ZAGRANICZNYCH,
ROZMAWIA **DOROTA WYSOCKA-
-SCHNEPF**

Mija półtora miesiąca, odkąd wrócił pan
do gmachu MSZ, gabinet jest ten sam?
Został go pan w stanie ulepszonym czy
są ślady zniszczeń po ostatnim ośmio-
leciu?

– Zmieniłem gabinet.

Zmienił pan gabinet?

– Tak, siedem lat przepracowałem w po-
przednim i uznałem, że nowy początek
– nowy gabinet.

A w jakim stanie zastaje pan sam MSZ?
Mam na myśli resort, a nie gmach.

– Nie chcę rutynowo krytykować poprzed-
ników, ale niektóre rzeczy rzeczywiście
mnie zdziwiły. Od wielu miesięcy na przy-
kład nie spotykało się kierownictwo resor-
tu, co jest rzeczą niesłychaną. Zdaje się, że
poprzednicy bardziej zajmowali się swoimi
kampaniami wyborczymi niż pracą.

Audyty ruszyły we wszystkich resor-
tach, rozumiem, że w MSZ też?

– Najpierw trzeba mianować rzetelnych au-
dytorów, to już nastąpiło. Mamy wyniki róż-
nych kontroli NIK, komisję śledczą ds. afe-
ry wizowej – to był priorytet. Afera odbiła
się głośnym echem, ma skalę globalną, ma
aspekt ministerialny, cybernetyczny, euro-
pejski i pozaeuropejski. Robimy, co w na-
szej mocy, by polskie wizy były wydawane
i zgodnie z kodeksem strefy Schengen, i wła-
ściwym ludziom, i bez lapówek.

Jest sprzeczność w narracji PiS na temat
tego, co działo się z wizami. Mamy też
aspekt korupcyjny. Były wiceminister
Piotr Wawrzyk został niedawno zatrzy-
many, a czy widzi pan też odpowiedzial-
ność ministra Zbigniewa Raua?

– Są aspekty, które mogą budzić zdziwie-
nie, ale nie chcę przesądzać. Jeśli chodzi
o sprawę karną, to nie mam nic do dodania
– zostali przesłuchani świadkowie i niech
sprawiedliwości stanie się zadość.

Mnie interesują zmiany, które trzeba
wprowadzić, żeby nic takiego się już nie
powtórzyło. Podniosłem ceny wiz, bo oka-
zuje się, że nasze były jednymi z najtań-
szych w UE. Nie dziwota więc, że chętni
w Afryce czy Azji szli do polskiego konsu-
latu.

Rozmawiamy z firmami, które napisa-
ły oprogramowanie naszych systemów,
aby miejscami w kolejkach po polską wi-
zę czy do spotkania z konsulem nie moż-
na było handlować. Chodzi o spersonali-
zowanie prośby o spotkanie, by można by-
ło z niego zrezygnować, a nie przekazać ko-
muś innemu.

Na procederze korupcyjnym zarabiała
tylko firma podnajęta outsourcingowo
czy także jakieś osoby w MSZ?

– To pytanie dla prokuratury. Odnoszę
wrażenie, że poprzedni rząd, uciekając od
tych zarzutów, demonizował system out-
sourcingu. To żargonowe słowo oznacza
tylko tyle, że globalnym firmom, które ma-
ją biura w miejscach, gdzie dany kraj nie
ma konsulatów, zleca się przygotowanie do-
kumentacji wizowej. Natomiast w żadnym
wypadku firmy outsourcingowe nie przy-
znają polskich wiz.

KONIEC WOJNY Z EUROPEJĄ

FOT. EBRAHIM NOROOZI/AP/EAST NEWS



• Ministrowie spraw
zagranicznych Niemiec i Polski
- Annalena Baerbock
i Radosław Sikorski podczas
wtorkowego spotkania
w Berlinie.

Większość krajów strefy Schengen korzysta z usług outsourcingu. Bo tak jest wygodniej i taniej, dla petentów też. W środku Azji czy Afryki taniej jest iść do lokalnego biura takiej firmy, niż płacić za bilet lotniczy do polskiego konsulatu, który może być tysiąc albo i trzy tysiące mil dalej. Oplata za to jest niższa niż za bilet. Nie powinniśmy więc wylać dziecka z kąpielą, ale musimy przypilnować, by wizy były przyznawane tylko tym, którzy na nie zasługują.

Jest też kwestia stosunków z polskim biznesem, bo w niektórych branżach brakuje rąk do pracy. Ale MSZ nie jest w stanie zweryfikować każdej firmy, która składa podanie o pracowników, potrzebuje- my współpracy chociażby z urzędami wojewódzkimi.

Polskie uczelnie konkurują o studentów z uczelniami z innych krajów. Ale trzeba sprawdzić, czy to jest prawdziwy student, z prawdziwą maturą, który naprawdę chce studiować. A nie tylko ubiega się o wizę po to, by pojechać dalej.

Zawiesił pan udział MSZ w programie „Poland. Business Harbour” do czasu zagwarantowania właściwej weryfikacji firm i cudzoziemców będących jego beneficjentami. Chodziło początkowo o Białoruś, później też o Gruzję, Rosję i kilka innych krajów...

– Precyzyjniej rzecz biorąc, chodziło o białoruskich informatyków, którzy mają światową renomę. I dopóki to byli białoruscy informatycy, nie było problemu. Nie jesteśmy zamknięci na ten pomysł, ale musimy być pewni, że trafia do tych, do których ma trafiać.

Na koniec urzędowania PiS program obejmował „firmy z branż strategicznych” z całego świata. Czy wykryto jakieś nieprawidłowości i ma to związek z aferą wizową?

– Pierworodnym grzechem poprzedników było to, że zanim poluzowano politykę wizową, nie opracowano strategii migracyjnej uzgodnionej ze stronictwami politycznymi, z Sejmem, Ministerstwem Pracy itd. Nie ustalono, skąd Polska chce przyjmować migrantów, o jakich kwalifikacjach, na jak długo, których przyjmiemy na jakiś czas, a których chcemy integrować. Mamy tylko jakieś nieskoordynowane fragmenty polityk w różnych resortach.

Tu dochodzimy do rozjechania się antyimigranckiej narracji PiS z masowym zalaniem migrantami nie tylko Polski, ale też całej UE.

– Właśnie za to zapłacili cenę polityczną. Bo z jednej strony handlowano wizami (i to było rzeczywiście nie na aż tak wielką skalę), z drugiej – nie modernizowano systemów informatycznych, by nie można było kupować miejsca w kolejkach, a z trzeciej, najważniejszej strony – urzędy wojewódzkie dawały prawo do pracy wszystkim jak leci, gdy rządząca partia jednocześnie szczuła na migrantów. No, trzeba się na coś zdecydować.

To z pewnością przyczyniło się do porażki PiS, nie dziwi więc pana, że Mariusz Błaszczak wraca do antyimigranckiej retoryki u progu kampanii samorządowej? Pokazuje zdjęcie Szymona Hołowni z sejmowej wigilii z migrantami i mówi: „My tego nie chcemy!”?

– Nacjonaliści na całym świecie zawsze szczują na obcego. To jądro ich ideologii – tworzenie podziałów, szczucie jednych na drugich, szukanie wrogów zewnętrznych albo wewnętrznych. Nam potrzebna jest racjonalna, nierasistowska dyskusja o tym, jakich migrantów chcemy, a za jakich dziękujemy.

Jesteśmy u władzy sześć tygodni, a to, że w Polsce mamy dziś więcej migrantów spoza Europy niż w tysiącletniej historii państwa, naprawdę nie jest dziełem tych sześciu tygodni. Proponuję więc panu byłemu ministrowi mniej demagogii.

W ostatnich latach mocno obniżono kryteria doboru kadr w MSZ, panowały nepotyzm, kolesiostwo. Planowana jest rewolucja kadrowa? A może już się zaczęła?

– To jest wspólny mianownik ruchów populistycznych na całym świecie – przeważnie przewodzą im ludzie, którym nie udało się zrobić kariery w normalnym, konkurencyjnym naborze na stanowiska. W warunkach merytokracji, czyli wybierania według zdolności i pracy.

Jedną z pierwszych decyzji PiS po objęciu władzy było zlikwidowanie konkursów w służbie cywilnej. Dla nich dobór ludzi – w firmach czy w służbie państwowej – według talentów i ciężkiej pracy jest niesprawiedliwy, bo wtedy zostają wybrani jakcyś przypadkowi ludzie. A stanowiska powinni dostawać patrioci. A kto jest patriotą? O tym decyduje prezes.

Zawsze jest jakiś guru. Tylko to zaprzeczenie jednej z cech cywilizacji zachodniej. W komunizmie mieliśmy dobór wedle przynależności partyjnej i wiemy, jak to się skończyło. A w wolnych społeczeństwach obowiązuje zasada merytokracji, którą wprowadzili Chińczycy egzaminem mandaryńskim. I to się okazuje skuteczniejsze na dłuższą metę.

Przywracamy merytokrację. Odwołałem już większość dyrektorów instytutów kultury na całym świecie. Nowych będziemy powoływać w drodze konkursów.

A co z ambasadorami?

– Tu sprawa jest bardziej skomplikowana, bo na świecie nie ma zwyczaju konkursów na ambasadorów.

Ale jest jeszcze prezydent Andrzej Duda?

– Rozmawiałem z panem prezydentem i wydaje mi się, że mamy w tej sprawie nic porozumienia. Oby tak było, bo wbrew ideologii PiS ambasador nie jest przedstawicielem rządu, tylko ma reprezentować całe państwo.

Dlatego ambasadorem zostaje się na wniosek ministra, ale za zgodą premiera i prezydenta, po otrzymaniu opinii komisji spraw zagranicznych Sejmu. Gdy poprzednio byłem szefem MSZ, ambasadorowie mieli jeszcze obowiązek zaprezentowania planu pracy na forum Senatu. Rząd PiS zmniejszył wymagania, np. obniżył kryteria znajomości języków przy naborze do służby dyplomatycznej.

Z ambasadorami jest trochę inaczej, bo tu czynnik polityczny jest czasami uzasadniony. Są miejsca, gdzie dobrze wysłać nie dyplomatę. George Bush senior, zanim został prezydentem, był ambasadorem w Chinach. Są miejsca, gdzie dobrze wysłać byłego polityka, są miejsca (sam tak rekomendowałem), gdzie dobrze wysłać żołnierza – czy to na placówki wojenne, np. w Afganistanie, Iraku, czy na takie, gdzie chcemy promować nasz przemysł obronny. Są nawet placówki, gdzie dobrze wysłać byłego dziennikarza.

Był pan w tym tygodniu z wizytą w Berlinie. PiS zrujnował relacje z Niemcami chyba najbardziej ze wszystkich krajów europejskich, jest pan w stanie je odbudować?

– „Zrujnował” to mało powiedziane. Ale przypomnę, że prezes Jarosław Kaczyński spotykał się potajemnie (nie wiem, czy był wtedy wicepremierem, czy nie, ale to bez znaczenia) z kanclerz Angelą Merkel na zamku w byłej NRD. Proszę sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby informacja o takim tajnym spotkaniu Donalda Tuska dotarła do polskiej opinii publicznej. Kiedzy z prawicy doznaliby emocjonalnej lewitacji.

Jeszcze ważniejsze było, co na tym zamku knuli, co pan prezes usłyszał od kanclerz Merkel. A usłyszał, że demokratyczne Niemcy chciałyby włączenia Polski jako przedstawiciela naszego regionu do ścisłej grupy kierującej pracami Unii Europejskiej. I co nastąpiło? Bo to jest najważ-

niejsze – prezes Kaczyński to odrzucił. Odrzucił!

Nie skorzystał z koniunktury, żeby Polska wzrosła w hierarchii narodów jako przedstawiciel swojego regionu, dla niego ważniejsza była możliwość szczucia na Niemców i na Tuska w polskich mediach prawicowych. To było ważniejsze, bo dla niego sukces jego ugrupowania (czytaj: jego władza) jest ważniejszy od polskiego interesu narodowego, od korzyści dla Polski.

Polska ma szansę wrócić do tego serca Europy?

– Polityką naszego rządu jest zakończenie zimnej wojny zarówno z instytucjami Unii Europejskiej, jak i z naszym największym partnerem handlowym i ważnym sojusznikiem, jakim jest Republika Federalna Niemiec. Oczywiście jak to między sąsiadami nadal będą pewne sprawy do rozwiązania. Ukrainę wspieramy strategicznie, ale istnieją też problemy niższej rangi. I tak samo będzie z Niemcami. Nie we wszystkim się zgodzimy.

Jak mądrze powiedział kiedyś prezydent Lech Kaczyński: UE nie składa się z samych Polak. Ale przy różnicach interesów i różnicach zdań można mieć normalne kanały rozmowy. Nie należy obrażać się nawzajem na użytek polityki wewnętrznej – my od tego odchodzimy.

Zwrócił się pan do szefowej dyplomacji Niemiec Annaleny Baerbock o znalezienie „kreatywnego rozwiązania” w sprawie zadośćuczynienia Polsce za straty wojenne – jak zareagowała?

– Zaskakująco pozytywnie. W przeszłości pani minister Baerbock wykazywała dużą wrażliwość na sprawę odpowiedzialności Niemiec za dziedzictwo historii. Przy- pomniała, że Niemcy podejmowali pewne działania w tym zakresie w innych krajach. Używając określenia „powojenne rekompensaty”, mówiła ogólnie o przygotowaniu pewnych rozwiązań.

A jak pan wyobraża sobie takie „kreatywne rozwiązanie”?

– Poczekajmy na niemieckie propozycje, wtedy będziemy mówić, czym są owe „kre-

puli mieliśmy je otrzymać, je ukradli. Wobec Niemiec stosowano dziwną taktykę, bo w nocy z 2022 r. przekazanej przez ministra Raua słowo „reparacje” się nie pojawiało. Natomiast na użytek opinii publicznej bez przerwy mówiono o dziejowej konieczności wygzekwowania reparacji. Uczyniono z tej sprawy hasło polityczne, antagonizujące relacje, a de facto usprawiedliwiając postawą Niemiec nicnierobie- nie władz polskich. Uważam, że zadaniem polityka jest rozwiązywanie problemów, a nie ich kreowanie.

Niemcy to też Trójkąt Weimarski. Tu mamy jeszcze Francję, która też została obrażona przez PiS – widelcami i zerwanymi kontraktami. Czy ten układ da się odbudować i czy to może być silny trójkąt w Europie?

– Trójkąt Weimarski służy naszym interesom, bo to potencjalnie forum, na którym uzgadnia się wstępnie ważne decyzje europejskie. A w tej chwili są takie, jak np. zwiększenie europejskiego budżetu obronnego po to, by przez kolejny rok można było z niegołożyć na obronność Ukrainy. Czy uchwalenie 50 miliardów euro dla Ukrainy na podtrzymanie funkcji państwa ukraińskiego i jego odbudowę.

W ciągu tych sześciu tygodni rozmawiałem już z dwójgim francuskich ministrów spraw zagranicznych. Z gratulacjami dzwoniła poprzednia minister Catherine Colonna, a jej następcą Stéphane Séjourné był w Warszawie ze specjalną wizytą.

Tak, mam nadzieję, że Trójkąt Weimarski będzie miejscem, gdzie najważniejsze kwestie europejskie będą nie tyle rozstrzygane, bo do tego służy Rada Europejska, ile bardzo poważnie dyskutowane. I Polska jako kraj, jednocześnie sąsiad Rosji i Ukrainy (a więc państwo, bez którego nie ma wsparcia dla Ukrainy) oraz reprezentant naszego regionu, będzie w jądrze decyzyjnym Unii.

Mamy wspólny interes. Uważam, że budowanie europejskiej obronności, a jej najważniejszym wyzwaniem w tej chwili jest oczywiście wojna obronna Ukrainy, powinno być finansowane solidarnie przez wszystkie państwa członkowskie.

PiS zlikwidował konkursy w służbie cywilnej. Dla nich dobór ludzi – w firmach czy służbie państwowej – według talentów i ciężkiej pracy jest niesprawiedliwy. Stanowiska powinni dostawać patrioci.

A o tym, kto jest patriotą, decyduje prezes

atywne rozwiązania”. Dla mnie najważniejsze było to, że rozpoczęliśmy dialog. Do tej pory mieliśmy monolog ze strony polskiej domagającej się reparacji wojennych – co jest ściśle określonym prawnym terminem z gotową wyliczoną kwotą i niemiecką odpowiedzią: „Z punktu widzenia rządu federalnego sprawa została zamknięta”.

Jedynym niepodważalnym faktem jest to, że po II wojnie światowej nie otrzymaliśmy reparacji, bo Rosjanie, z których

Skoro Polsce potrzebne są zdolności, to ci, którzy nie są tu obecni fizycznie, woj- skowo, mogą się przynajmniej dokładać do tego finansowo. A więc zwiększenie euro- pejskiego budżetu obronnego, a o tym rozmawiamy z Niemcami i Francuzami, jest w polskim interesie strategicznym i czysto finansowym.

W sprawie wsparcia dla Ukrainy mówił pan z minister Baerbock właściwie jed-

nym głosem, że chodzi nie tylko o wolność Ukrainy, ale też o obronę europejskich wartości i bezpieczeństwa Europy. Czy to znaczy, że z UE popłynie większe niż dotąd wsparcie dla Kijowa?

– Oboje mamy taką nadzieję, ale to zależy nie tylko od ministrów spraw zagranicznych Niemiec i Polski.

Czy Polska wspólnie z Niemcami jest w stanie przekonać Węgry do odblokowania pomocy dla Ukrainy?

– Jestem tu optymistą. Podczas konferencji w Davos rozmawiałem z prezydent Węgier, panią Katalin Novák, która powiedziała mi, że Węgrom zależy na zwycięstwie Ukrainy. Zapowiedziałem, że skoro tak, to trzymam ją za słowo. Dowiedziałem się też, że w rozmowach ukraińsko-węgierskich zostały rozwiązane wszystkie sporne kwestie dotyczące mniejszości węgierskiej w Ukrainie. Węgrom powinno więc zależeć, aby Ukraina – państwo, które takie gwarancje przyjęło – zwyciężyła. To logiczne, bo w ten sposób zostaną one utrzymane.

A do Waszyngtonu kiedy pan się wybierze?

– W pierwszym tygodniu lutego.

Jak mało który polski polityk jest pan znany w kręgach polityków amerykańskich, także republikańskich – czy sądzi pan, że pana głos może pomóc w przekonaniu ich do dalszego wspierania Ukrainy?

– Robię to z Warszawy, chociażby przyjmując wizyty amerykańskich senatorów, także republikańskich. Będę się spotykał i w Izbie Reprezentantów, i w Senacie, i namawiał do tego. Zresztą mamy koncepcję też innych sposobów oddziaływania, bo rzeczywiście to jest rzecz kluczowa.

Intrygujące – „innych sposobów oddziaływania”?

– Kreatywnych. Dowie się pani redaktor, gdy to będzie efektywne. W tej chwili wiarygodność amerykańska polega na tym, aby Ukraina tej wojny nie przegrała.

Przypominam, że prezydent Joe Biden był w Kijowie, zatknął tam sztandar Stanów Zjednoczonych. Europa zresztą udziela w tej chwili Ukrainie większej pomocy niż USA. Jednocześnie Stany Zjednoczone większość pomocy (to absolutnie nie jest zarzut, tylko wytłumaczenie) wydają w USA. Bo przecież broń, która jest wysyłana do Ukrainy, jest tam produkowana. Sama Polska już zamówiła sprzęt w USA za 50 miliardów dolarów. Cała Europa drugie tyle. Z tym że Europa dopiero od wybuchu wojny i najazdu Putina.

Będę przekonywał legislatorów amerykańskich, że po pierwsze, Ukraina daje Stanom pewne atuty. A po drugie, że podbój Ukrainy przez Putina byłby bardzo kosztowny także dla USA – i nie tylko w Europie, ale także w odniesieniu do całego amerykańskiego systemu sojuszy, zarówno w Europie, jak i w Azji.

A co, jeśli jesienią wybory prezydenckie w USA wygra Donald Trump?

– Wiem, jakiej odpowiedzi by pani chciała, i gdybym nadal był europoseł, tobym jej pani udzielił. Ale ponieważ nie jestem europoseł, to będę musiał powiedzieć, że Polsce zależy na jak najlepszych stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi niezależnie od tego, kto tam jest prezydentem.

Ale co z Ukrainą, jeśli on wygra?

– Z kręgów doradców Trumpa, z którymi utrzymujemy kontakty, dochodzą różne koncepcje, jeśli chodzi o stosunek tej hipotetycznej, przyszłej administracji do Ukrainy. Niektóre nawet ciekawe, więc nie wpadajmy w panikę. Wiem, że dorośli w Kongresie i Waszyngtonie rozumieją, jaka to ważna sprawa.

Zachodni świat z ulgą pożegnał antyunijne, antydemokratyczne rządy PiS i z otwartymi ramionami przyjął nowy

polski rząd. Ale też liczy na nasz udział w reformie UE – co proponujemy Europie, która potrzebuje zmian?

– Wobec zagrożenia ze strony Rosji przychodzi na przykład czas na dyskusję o wspólnej europejskiej obronności. To idea, która może zjednoczyć państwa kontynentu, integrować Europę.

Tylko proszę nie powielać tutaj tego kompleksu PiS, że wszyscy są przeciwko nim. Bo to nie jest tak. Jak się ludzi obraża, to generalnie oni tego nie lubią. Jak się stawia jakieś niemożliwe żądania czy nie dotrzymuje umów albo okłamuje partnerów, to się traci wiarygodność. Jak się mówi jedno, a robi drugie, zaskakuje nagłymi woltażami, to się traci powagę.

Tu głównie dopatrywałbym się problemów naszych poprzedników w relacjach z zagranicą. Najpierw zapraszają Komisję Wenecką do oceny polskiej praworządności, a gdy decyduje ona nie po ich myśli, to odsądzają ją od czci i wiary. To niepoważne. Poważny kraj tak się nie zachowuje.

Chciał pan nadać powagę Polsce, pisząc w dniu zaprzysiężenia gabinetu premiera Tuska list do Komitetu Ministrów Rady Europy? Zapewnił pan w nim, że Polska uznaje europejską konwencję

Wiarygodność amerykańska polega na tym, aby Ukraina tej wojny nie przegrała.

Przypominam, że prezydent Joe Biden był w Kijowie i zatknął tam sztandar Stanów Zjednoczonych

praw człowieka, że orzeczenia ETPC będą respektowane, wymienił pan szereg spraw, a zwłaszcza sprawę Waleśa przeciwko Polsce jako tę, w której ujawniły się problemy z niezależnością sądów, z prawem do uczciwego procesu. To wymowne, że pierwszego dnia urzędowania wysłał pan taki list.

– Bo nie uważamy UE za okupanta czy za jakichś „onych”, czy tych, którzy nam w obcych językach coś narzucają, tylko za konfederację, do której dobrowolnie przystąpiliśmy w wyniku dwudniowego referendum całego narodu, do której aspirowały pokolenia Polaków.

Gdy więc nasi sojusznicy nam wytykają: „Chłopaki, nie tak się umawialiśmy”, i dochodzimy do wniosku, że mają rację, a co więcej, jak zaczniemy respektować własną konstytucję i dobrowolnie przyjęte traktaty, to możemy dostać olbrzymie pieniądze na dokończenie modernizacji Polski, to wydaje mi się, że jest to rzecz naturalna.

Jeżeli prawie wszyscy nasi europejscy partnerzy uważają, że potrzebna jest instytucja Prokuratury Europejskiej zaprojektowana po to, by fundusze europejskie nie były rozkradane i żeby było mniej transgranicznych wyłudzeń podatku VAT, to proszę mi powiedzieć – jak to jest wbrew polskiemu interesowi? To było tylko ideologiczne zaciętrzewienie naszych poprzedników. Tak więc myśmy do Prokuratury Europejskiej przystąpili, bo to służy i Polsce, i Europie.

Mawiał pan, że Polska może być w „grupie trzymającej władzę” w UE. Czy może w niej być teraz, kiedy się zmienił rząd?

– Biorąc udział w pierwszej radzie ds. granicznych UE, odczułem to, o czym mi mówiono zawczasu – że tam jest wręcz

oczekiwanie na polskie pomysły. Gdyby nie straszne wydarzenia w Strefie Gazy, to wydaje mi się, że polskie zwycięstwo z populistami odbyłoby się znacznie głośniejszym echem.

Myśmy naprawdę znowu zainspirowali demokratów w Europie i na świecie tym, że z populistami – którzy przejęli media, spółki skarbu państwa, nadużywali służb specjalnych i prokuratury do robienia polityki – i tak można wygrać. To naprawdę dało otuchy demokratom.

Białoruski reżim zaostrzył ostatnio represje wobec więźniów politycznych. Zaapelował pan więc o jak najszybsze przyjęcie pakietu nowych sankcji wobec tego kraju. Czy one będą, kiedy i jakie?

– Jest to przedmiot uzgodnień m.in. z Litwą, bo są dość szczegółowe sprawy związane z białoruskim przedsiębiorstwem, które jest największym eksporterem tego kraju. Ale Białoruś udostępniła swoje terytorium do agresji przeciwko Ukrainie, więc też jest państwem agresorem.

Nigdy nie była łatwym partnerem, jednak były okresy, kiedy nie było tam w ogóle więźniów politycznych. I wtedy jeździłem do Mińska z innymi ministrami, przedstawiając ofertę polityczną. A dzisiaj, gdy

reżim represjonuje na skalę proporcjonalnie większą niż u nas za stanu wojennego, to uzgodnić coś z takim reżimem jest bardzo trudno.

Czy można z nim uzgodnić coś w sprawie Andrzeja Poczobuta? Czy MSZ coś w jego sprawie robi, co robi pan i czy spodziewa się efektów?

– Rozmawiałem o nim w tym tygodniu z nuncjuszem papieskim. Prawie nie ma dnia, żebyśmy jakiegoś działania nie podejmowali. Ale w tego typu sprawach, de facto zakładników, bo Andrzej Poczobut jest zakładnikiem, czasami lepiej mniej mówić, a więcej robić.

Jak pan przyjął PiS-owską narrację na temat „więźniów politycznych”, panów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika?

– To jest rzecz oburzająca, to wręcz bluźnierstwo wobec terminu „więzień polityczny”. Andrzej Poczobut, Aleksiej Nawalny czy Władimir Kara-Murza naprawdę są więźniami politycznymi. A Kamiński i Wąsik to przestępcy skazani za nadużywanie władzy.

Zresztą oburza mnie, że oni nie ponieśli kary już osiem lat temu. Bo gdyby wtedy ją ponieśli, to nie zrobiliby tego samego znowu, tyle że innymi środkami technicznymi – za pomocą oprogramowania antyterrorystycznego Pegasus. Dobrze, że mamy komisję śledczą w tej sprawie.

Prezydent Duda ponosi za to odpowiedzialność?

– Znam wiele ofiar upartyjnienia prokuratury oraz służb specjalnych PiS i wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdyby pan prezydent skonsultował tę sprawę najpierw z ofiarami nadużywania władzy, a nie z winnymi nadużywania władzy.

Jarosław Kaczyński twierdzi, że Kamiński był torturowany, bo tak ocenia próbę dokarmiania przez rurkę. PiS zapowiedział skargi do instytucji europejskich, odwołuje się więc do metod, jakie sam krytykował, czyli w skrócie mówiąc: ulica i zagranica.

– Już w grudniu prorokowałem na Twitterze, że nagle Parlament Europejski stanie się dla PiS „naszym parlamentem”, na którym wolno podnosić sprawy wewnętrzne, mimo że do tej pory było to „donoszenie na Polskę”.

A co do tortur, to jak rozumiem, wypowiedziała się już Amnesty International w tej sprawie. Uważam, że jeśli chodzi o procedury w więzieniach czy subkulturę wymiaru sprawiedliwości w odniesieniu do osób zatrzymanych lub tymczasowo aresztowanych, jest do wykonania praca. Niezależnie od tego, kto jest u władzy.

Prokuratura zbyt łatwo żąda aresztowań, a sądy zbyt łatwo się na nie godzą wobec niewinnych ludzi. Poznaliśmy właśnie bulwersujące przypadki, gdy ludzie niewinni, na których nie było żadnych dowodów, co zostało już sądownie potwierdzone, spędzali wiele miesięcy w aresztach.

A ku mojemu zdumieniu, mówię to jako laik, nie jestem prawnikiem, tymczasowo aresztowany ma mniej praw w więzieniu, niż mieli Wąsik z Kamińskim, którzy byli już skazanymi prawomocnym wyrokiem więźniami. Wydaje mi się to na głowie postawione. Bardzo więc liczę na pana ministra Adama Bodnara i jego wrażliwość.

Zapytam na koniec: jaką przyszłość ma PiS w najbliższych wyborach?

– PiS to partia, która oparła swoją ideologię i wyborczą strategię na kłamstwie smoleńskim. Udało jej się w pewnym momencie przekonać jedną czwartą narodu do kompletnych urojeń, do czegoś, co nie miało miejsca. I oni wiedzieli, że nie miało miejsca.

Mam spór sądowy z Kaczyńskim, w którym on udowadnia w sądzie, że jego brat nie przyczynił się do wypadku lotniczego. I jako dowód przedstawił raport Millera. Ten sam, który kazał zdjąć ze stron rządowych! Czyli wie, że nie było żadnego zamachu, a jednocześnie na potrzeby polityki twierdzi, że był. Wydał gigantyczne pieniądze, dziesiątki milionów złotych na propagowanie tego kłamstwa.

W każdym kraju może się znaleźć jakaś marginalna partyjka budująca swoje poparcie na teoriach spiskowych. Ale takie partyjki mają przeważnie między 5 a 7 proc. głosów. Czego PiS serdecznie życzę. ●



magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Mikołaj Chrzan, Bartosz T. Wieliński;
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
FOTODYSC: Sylwia Tukendorf

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA



Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI



Trudno zrozumieć,
dlaczego w nowym
budżecie IPN
ma o 46 mln zł więcej
pieniędzy
niż w poprzednim

I GNORANCJA,
P PROPAGANDA,
N NUDA

Barbara Engelking*, Andrzej Friszke**, Dariusz Libionka***,
Paweł Machcewicz****, Krzysztof Persak*****, Dariusz Stola*****
Rafał Wnuk*****

Społeczne wyobrażenia o przeszłości kształtowane są przez szkoły, muzea, uniwersytety, filmy i programy historyczne, organizacje pozarządowe, wydawców książek i czasopism, twórców portali internetowych. Władze państwowe i politycy bynajmniej nie mają na to monopolu. Taki pluralizm był wielkim osiągnięciem III RP, nadejściem normalności po latach komunistycznego centralizmu i uniformizacji. Rządy Zjednoczonej Prawicy ów wielogłos uznały za objaw słabości polskiej polityki historycznej i postanowiły zastąpić różnorodność zideologizowaną, odgórnie narzuconą, urzędową wersją przeszłości. Kluczową rolę w promowaniu „jedynie słusznej” narracji odegrał Instytut Pamięci Narodowej.

IPN nigdy nie był pozbawiony wad, ale w 2016 r. został opanowany w całości przez jedną opcję polityczną, nieprzebiegającą w środkach, by narzucić wszystkim swą wizję przeszłości. Z pewnością nie takiej instytucji chcieli ćwiczyć wieku temu jej założyciele. Degenerację IPN stwierdzamy z tym większym bólem, że większość z nas albo kiedyś w nim pracowała, albo była z nim związana.

Ponadto po 34 latach od upadku komunizmu formuła tej powołanej do rozliczeń z totalitarną przeszłością instytucji się wyczerpała, a sama instytucja przekształciła się w monstrialnej wielkości zbiurokraty zowany moloch: 2,5 tys. etatów w całej Polsce, blisko 600 mln zł (!) budżetu. Wbrew zapowiedziom uchwalony właśnie w Sejmie budżet IPN na 2024 r. wcale nie został zmniejszony – jest o 46 mln zł większy niż w zeszłym roku. Jednak nawet daleko idące ograniczenie budżetu nie byłoby wystarczające. Instytut wymaga zmian fundamentalnych.

Nie wszystko z dorobku IPN z ostatnich lat oceniamy negatywnie. Nadal pracują tam także dobrzy historycy i ukazują się ważne książki, które otrzymują prestiżowe nagrody, ale badacze tacy zostali zmarginalizowani, a dobre książki giną w morzu publikacji przyczynkarskich, nieistotnych czy wręcz jawnie propagandowych, które potem latami zalegają w magazynach. Potrzebną i dobrze działającą częścią IPN jest pion archiwalny. Jego zasób to jeden z najważniejszych zbiorów źródeł do badania najnowszej historii Polski.

W większości pozostałych działań IPN bez trudu dostrzec można wysługiwanie się politykom prawicy, zastąpienie nauki ideologią, propagandowy charakter działań związanych z edukacją, upamiętnianiem czy śledztwami historycznymi. Towarzyszą temu: brak profesjonalizmu, nieefektywność i nieracjonalność w wydawaniu publicznych pieniędzy. Wady tej instytucji jak w soczewce zobaczyć można było w kwietniu 2023 r., kiedy na Stadionie Narodowym w Warszawie odbył się zorganizowany przez IPN Kongres Pamięci Narodowej. Kosztująca podatnika kilkanaście milionów złotych impreza zgromadziła w dużej mierze pracowników IPN i innych instytucji realizujących politykę PiS, zaś uczestnikami dyskusji byli głównie pracownicy samego Instytutu albo goście prezentujący podobną do jego kierownictwa wizję przeszłości.

INSTYTUT PROMOCJI NACJONALIZMU

Autorytet nauki i edukacji opiera się na wiarygodności. IPN zrobił wiele, by ją utracić w oczach odbiorców zarówno krajowych, jak i zagranicznych. Propagowana przez tę instytucję wizja polskiej historii opiera się na wąskim, etnicznym rozumieniu pojęcia narodu i figurze Polaka katolika, gloryfikacji nacjonalizmu i zdystansowaniu się od wartości obywatelskich. Przypomnijmy kilka przykładów.

W styczniu 2021 r. szef delegatury IPN w Opolu dr Tomasz Greniuch przysto-

wał projekt edukacyjny honorujący Brygadę Świętokrzyską NSZ – formację kolaborującą z Niemcami, nieuznającą władz Polskiego Państwa Podziemnego i wroga Armii Krajowej. Treści zawarte w adresowanych do uczniów materiałach konsekwentnie pomijały wszelkie informacje mogące zaburzyć wyidealizowany obraz Brygady. Dr Greniuch, były aktywista ONR, zaczął pełnić obowiązki dyrektora oddziału IPN we Wrocławiu. Gdy w prasie ukazały się fotografie pokazujące, iż w miejscach publicznych wykonywał tzw. salut rzymski, prezes IPN dr Jarosław Szarek próbował go bronić. Fala publicznego oburzenia sprawiła, iż władze Instytutu skłoniły Greniucha do złożenia rezygnacji. Warto dodać, że „dobra zmiana” o nim nie zapomniiała.

W końcu 2023 r. kierowany przez Jana Żaryna Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego na stworzoną przez rodzinę Greniuchów fundację upamiętniającą działalność Narodowych Sił Zbrojnych przekazał łącznie 230 tys. zł.

Afirmacja nacjonalistycznego nurtu podziemia stała się w IPN podejściem obowiązującym, zaś jego krytyka – nieakceptowalna. W marcu 2017 r. Maciej Sobieraj – pracownik IPN, zasłużony opozycjonista i doświadczony historyk – skrytykował pomysły nadania jednej z lubelskich ulic imienia oficera Brygady Świętokrzyskiej Leonarda Zub-Zdanowicza, przypominając, iż był on dezertorem z AK, zaś jednostka ta współpracowała z Niemcami. Władze IPN uznały wypowiedź Sobieraja za „nieetyczną względem pracodawcy” i zamierzały go zwolnić z pracy pod pretekstem „utruty zaufania”. W wyniku listu protestacyjnego sygnowanego przez historyków i byłych działaczy demokratycznej opozycji ostatecznie wycofały się z podjętych już kroków, wydały jednak opinię pozytywnie oceniającą wojenną przeszłość kandydata na patrona ulicy.

Przestały już dziwić publiczne wypowiedzi pracowników IPN stojące w jaskrawej sprzeczności z faktami. Dr hab. Tomasz Panfil glosił, jakoby do 1941 r. zamknięci w gettach Żydzi żyli w warunkach znacznie lepszych niż ludność etnicznie polska, dr hab. Jacek Romanek utrzymywał, jakoby w 1939 r. Żydzi byli nie ofiarami mordów, lecz ich sprawcami. Zaprzeczanie mordom cywilnych Białorusinów, Ukraińców i Żydów przez narodowe podziemie lub ich usprawiedliwienie okolicznościami i wyższą koniecznością stało się w IPN niemal standardową procedurą. W klimat ten wpisuje się też powołanie przez kierownictwo Instytutu zespołu, którego celem było dezawuowanie dorobku Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Urzędnikom uważającym się za strażników narodowej pamięci nie spodobaly się bowiem wyniki prac historyków związanych z Centrum, które pokazywały, że forsowana przez IPN teza o powszechnej jakoby pomocy Polaków dla ukrywających się Żydów nie znajduje potwierdzenia w źródłach. Debata i krytyka są niezbitymi elementami pracy naukowej, ale w tym przypadku mieliśmy do czynienia z działaniem urzędu, który wyznaczał swoim pracownikom zadanie zwalczania i dyskredytowania ustaleń badawczych niezgodnych z obowiązującą linią.

INSTYTUT PARTII NAJWIERNIEJSZY

Obecny prezes IPN dr Karol Nawrocki wieniec ośmioletni proces przekształcania IPN w przybudówkę PiS. Był to prosty skutek nowelizacji ustawy o IPN z 2016 r. zmieniającej sposób tworzenia organu wybierającego i nadzorującego prezesa. Od nowelizacji ustawy z 2011 r. większość kandydatów do Rady IPN wskazywali elektorzy wybierani przez rady instytutów historycznych z różnych ośrodków akademickich. Dopiero z listy tak wybranych nazwisk parlament wybierał większość członków Rady IPN (dwóch wskazywał prezydent). Zjednoczona Prawica zadbała o to, by z procesu wy-

łaniania władz IPN wyeliminować instytucje oraz ludzi nauki i zastąpić ich politycznymi nominatami. Opanowany w ten sposób Instytut szybko zaczął tracić cechy placówki naukowej, przekształcając się w tubę partyjnej „polityki historycznej”. Prezes IPN nie ukrywa swoich związków z politykami tej jednej opcji, czego przykładem jest jego niedawne „przypadkowe” pojawienie się wraz z nimi oraz zaangażowanymi w popieranie PiS dziennikarzami TVP w telewizji Republika oraz oficjalne spotkanie z alternatywnym „prezesem” telewizji – Michałem Adamczykiem, jednym z czołowych pisowskich propagandystów.

Pracownicy i członkowie władz IPN angażowali się w różne działania służące politycznym projektom PiS. Współtworzyli serial „Reset”, który powstał wyłącznie po to, by uderzyć w ówczesnego lidera opozycji Donalda Tuska, i zasiadali w komisji przeznaczonej rzekomo do tropienia rosyjskich wpływów, faktycznie zaś – do atakowania

W 2016 r. prezes Jarosław Szarek najważniejszemu pismu naukowemu IPN zarzucił

„genderyzm” – tak zrozumiał treść numeru, którego tematem była historia kobiet i płci w okresie II wojny światowej

przeciwników PiS (prof. Sławomir Cenckiewicz, dr Marek Szymaniak). Uczestniczyli w przygotowywaniu podstawy programowej do nieslawnego przedmiotu szkolnego wprowadzonego przez ministra Przemysława Czarnka historia i teraźniejszość lub pozytywnie recenzowali podręcznik do HiT autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego. Bez zaangażowania ludzi związanych z IPN, takich jak dr Wojciech Muszyński, prof. Mirosław Szumiło, prof. Mieczysław Ryba, dr Robert Derewenda, prof. Tadeusz Wołsza czy dr Rafał Drabik, wypychanie HiT do szkół nie poszłoby tak sprawnie.

INSTYTUT PRZECIWKO NAUCE

Wiedza historyczna to efekt badań prowadzonych zgodnie ze standardami naukowymi w warunkach swobodnej wymiany opinii. W IPN od 2016 r. zasady te nie obowiązują. Zaraz po objęciu fotela prezesa IPN przez dr. Jarosława Szarkę nowe władze zarzuciły najważniejszemu pismu naukowemu tej instytucji, czyli „Pamięci i Sprawiedliwości”, „genderyzm” – tak bowiem rozumiały treści numeru, którego tematem przewodnim była historia kobiet i płci podczas II wojny światowej. Dr Szarek odwołał dawną redakcję, funkcję naczelnego powierzając prof. Mirosławowi Szumile. Protestowali przeciw temu członkowie rady programowej pisma, którzy gremialnie z niej zrezygnowali. Sekretarz redakcji dr Natalia Jarska odeszła z IPN, publikując list otwarty w tej sprawie. Natomiast nowy naczelny pisma wswilił się publicznymi wykładami pt. „Bolszewickie korzenie ideologii gender”. Z publikowania na łamach pisma zrezygnowało wielu polskich i zagranicznych badaczy. Środowisko naukowe obiega niedawno uchwała Rady Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego protestująca przeciw naruszeniu przez redakcję

pisma dobrych praktyk w nauce, ze szkodą dla historyka UŁ dr. Wojciecha Marciniaka, którego artykuł mimo pozytywnych recenzji nie został opublikowany. Był on poświęcony szkołom polskim zorganizowanym w czasie wojny przez Związek Patriotów Polskich w Kazachstanie. Redakcja uznała, że obraz działalności tej organizacji kontrolowanej przez komunistów jest nazbyt pozytywny, i próbowała wymusić na autorze zmiany. Gdy ten nie poddał się naciskom, druk artykułu zablokowano.

W latach 2016-23 z IPN zostało zwolnionych bądź zmuszonych do odejścia wielu uznanych badaczy. Inni odeszli z własnej inicjatywy, nie chcąc firmować polityki władz IPN lub nie mogąc znieść panującej tam atmosfery. Instytut utracił specjalistów od kluczowych z punktu widzenia misji IPN tematów: powojennego podziemia niepodległościowego (dr Sławomir Poleszak), historii Zagłady i stosunków polsko-żydowskich (dr Krzysztof Persak, dr hab. Adam

Puławski, Anna Pyżewska, dr Ewa Rogalewska, dr Magdalena Semczyszyn, dr Adam Sitarek, dr Michał Trębacz), historii stosunków polsko-ukraińskich (prof. Igor Hałagida, dr Mariusz Sawa, prof. Jarosław Syrnok, dr Mariusz Zajączkowski), okupacji niemieckiej (Agnieszka Jaczyńska), powstania warszawskiego (prof. Jacek Sawicki), historii emigracji (prof. Sławomir Łukasiewicz, Milena Przybysz), opozycji demokratycznej i „Solidarności” (dr Piotr Byszewski, dr Zofia Fenrych, Paweł Spodenkiewicz, dr Marcin Zwolski) oraz innych aspektów historii PRL (dr Andrzej Czyżewski, dr Joanna Hytrek-Hryciuk, dr Natalia Jarska, dr Andrzej Krajewski, Bartłomiej Kluska, dr Eryk Krasucki, dr Katarzyna Rembacka, Emilia Świętochowska, dr Andrzej Zawistowski). Wszyscy oni byli uznanymi naukowcami lub edukatorami z istotnym dorobkiem badawczym. Mieli jednak karygodną dla władz IPN wadę: zachowywali niezależność, a podejmowane przez nich tematy badań lub ich wyniki nie były zgodne z linią IPN. W przypadku Pawła Spodenkiewicza sam IPN przyznał w ugodzie sądowej, że powodem zwolnienia było niewpisywanie się tego badacza w zmienioną linię Instytutu. Część pracowników IPN źle widzianych przez kierownictwo pozostała w jego strukturach, ale została zdegradowana, odsunięta od badań naukowych bądź zmarginalizowana. Nierzadko tych, którzy zachowywali niezależność lub występowali w obronie zwalnianych kolegów (np. w podpisywanych listach otwartych), spotkały szykany.

Szczególnie wymowne było zwolnienie dr. Poleszaka, uznanego badacza antykomunistycznego podziemia, który został wyrzucony z oddziału IPN w Lublinie. Zarzucano mu „podjęcie dodatkowego zajęcia zawodowego bez zgody prezesa”, publikowanie na portalu Ohistorie.eu materiałów krytycznych wobec działalności IPN oraz „napisanie artykułu o okupacyjnej przeszłości Józefa Franczaka »Lalusia«, wobec które-

go istnieją zarzuty natury merytorycznej”. Poleszak ustalił, że Franczak angażował się w działania przeciwko Żydom i pomagającym im Polakom i być może z tego powodu nie ujawnił się po wojnie, co uczyniła zdecydowana większość żołnierzy podziemia. Dwa pierwsze zarzuty były całkowicie bezpodstawne: IPN był jedynym miejscem zatrudnienia Poleszaka, a publikowane w prowadzonym przez niego społecznie portalu Ohistorie.eu recenzje i opinie miały charakter merytoryczny. Trzeci zarzut, czyli opublikowanie tekstu naukowego, w którym znalazły się potwierdzone źródłowo ustalenia nieodpowiadające władzom IPN, świadczy o tym, iż prezes Nawrocki nie rozumie, czym jest debata naukowa i na czym polega wolność badań.

Kiedy w IPN miały się odbywać spotkania niewpisujące się w lansowaną wizję historii, to jego kierownicy również ujawniali zapędy cenzorskie. Odwołano promocję książki wydanej przez IPN i napisanej przez jego pracownika dr. Jana Olaszka „Podziemna sieć społeczna”, w której uczestniczyć miał jeden z jej głównych bohaterów Michał Boni. Chociaż badania Olaszka jednoznacznie wykazały, że mimo podpisania zobowiązania polityk ten nie podjął żadnej współpracy z SB, to uniemożliwiono jego udział w spotkaniu pod egidą IPN. Tymczasem bez żadnego problemu występowały w IPN osoby, których realna współpraca z SB została udowodniona: Leszek Żebrowski oraz Jerzy Żelnik. Tyle że oni obaj mieli właściwe poglądy, zgodne z linią IPN. Co więcej, w instytucie organizowano nawet spotkanie z udziałem byłego funkcjonariusza SB Piotra Wrońskiego, a na prezentację archiwów do IPN zaproszono polityka PiS Stanisława Piotrowicza, który w czasie stanu wojennego był prokuratorem oskarżającym działacza demokratycznej opozycji.

Oficjalną linię IPN cechuje awersja do wątków i postaci odległych od polityki historycznej PiS. Przy okazji rocznicy powstania Komitetu Obrony Robotników dezawuowano znaczenie osób kojarzonych z lewicą, chwalać jednocześnie Antoniego Macierewicza i Piotra Naimskiego. Z podobnych powodów usuwany w cień lub atakowany był Lech Wałęsa, zaś promowane postacie bliskie PiS, jak Anna Walentynowicz, Kornel Morawiecki czy Lech Kaczyński. Okrągły Stół, który doprowadził do wyborów czerwcowych, a w konsekwencji do powstania rządu Tadeusza Mazowieckiego i upadku PRL, przedstawiany jest w tej narracji jako zgniły kompromis, a często jako zdrada.

IGNORANCJA, PROPAGANDA, NUDA

Pion edukacyjny to najbardziej rozbudowana, a zarazem najbardziej uwikłana w nachalną propagandę i bardzo kosztowna gałąź działalności IPN. Poziom działań edukacyjno-popularyzatorskich obniżył się drastycznie. Wiele szkół zrezygnowało ze współpracy z Instytutem.

Kuriozalnymi przykładami ideologizacji przekazu IPN są spotkania niemające nic wspólnego z historią, za to wiele z wizją świata, w której zagrożenie dla Polski stanowi kultura Zachodu z „ideologią gender”, „promocją LGBT” i w ogóle zgniłym liberalizmem światopoglądowym. W 2019 r. uwagę mediów przykuł wykład prof. Marka Chodakiewicza związany z jego książką „O cywilizacji śmierci”, w którym w sposób wulgarny wypowiadał się na temat mniejszości seksualnych. Opowiedziana przez niego wówczas „anegdotka” o chomiku nie nadaje się do powtórzenia. W tym samym nurcie mieścił się cykl spotkań prowadzonych przez dr Barbarę Stanisławczyk-Żyłę (zatrudnioną w IPN była prezes pisowskiego zarządu Polskiego Radia) obejmujący dyskusje na tematy takie jak „Rewolucja seksualna – droga do wyzwolenia czy zniewolenia?”, „Libido dominandi jako metoda manipulacji społecznej”, „Czy neomarksistowski projekt zbliża się ku końcowi?”.

Jednym z pierwszych kroków prezesa Szarka (2016-21) było zlikwidowanie popularynonaukowego miesięcznika „Pamięć.pl”, prezentującego pluralizm poglądów różnych uczonych. Redaktor naczelny Andrzej Brzozowski oraz sekretarz redakcji Karolina Wichowska dostali wybór: niezgodna z ich kompetencjami praca w archiwum albo zwolnienie. Zdecydowali się odejść. Na podobny krok zdecydowało się wielu pracowników pionu edukacyjnego z Karolem Madajem, twórcą słynnej na świecie gry „Kolejka”, na czele.

Tymczasem „Pamięć.pl” zastąpił zideologizowany i nużący „Biuletyn IPN”, w którym publikują niemal sami pravicowi historycy. Połączenie nudy, patosu i hagiografii sprawia, że powstaje produkt niestrawny nie tylko dla odbiorcy młodszego pokolenia. Jest on natomiast wydawany w wielkim nakładzie i rozsyłany do szkół.

Brak profesjonalizmu objawiający się w niedostosowaniu formy i treści przekazu do odbiorcy widać zwłaszcza w niektórych działaniach skierowanych do dzieci i młodzieży. O ich charakterze niech świadczą dwa przykłady: organizowany przez IPN w Gdańsku Wystrzałowy Dzień Dziecka, gdzie najmłodszy mieli się uczyć korzystania z karabinków sportowych, oraz zorganizowane w ramach niedawnego Podkarpackiego Kongresu Pamięci Narodowej warsztaty, w których dzieci miały za zadanie wykopywać z piasku atrapy ludzkich kości (co miało służyć pokazaniu pracy ludzi poszukujących szczątków ofiar totalitaryzmów).

Ignorancję i ideologizację przejawia IPN również w działaniach związanych z upamiętnieniami.

Na tablicy na pomniku partyzantów „Ognia” w Zakopanem, której treść przygotowana została na podstawie ekspertyzy IPN, widnieje nazwisko żołnierza 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK Marianna Chracy „Giewont”. Tymczasem Chracca nie był żołnierzem „Ognia”, ale ofiarą jego byłych podkomendnych. W efekcie na pomniku tym znalazły się nazwiska sprawców i ofiary.

Pracownicy i członkowie władz IPN współtworzyli serial „Reset”, który powstał wyłącznie po to, by uderzyć w Donalda Tuska

W 2022 r. w Zamościu, na grobie pięciu funkcjonariuszy bezpieczeństwa zabitych przez partyzantów WiN w maju 1946 i dwóch funkcjonariuszy, którzy stracili życie w późniejszym czasie, umieszczono przygotowaną przez pracowników IPN tablicę informująca, że spoczywają tam „żołnierze Wojska Polskiego polegli w obronie ojczyzny we wrześniu 1939 r.”. Po ujawnieniu skandalu IPN ufundowało kolejną tablicę. Część nieprawdziwych informacji z niej

zniknęła, pojawiły się za to inne – również nieprawdziwe.

Degrengolada w IPN nie ominęła pionu śledczego. W marcu 2019 centrala IPN wydała anonimowy komunikat podważający ustalenia prokuratora IPN w Białymstoku dotyczące kwalifikacji prawnej zbrodni popełnionej przez oddział Narodowego Zjednoczenia Wojskowego dowodzony przez Romualda Rajsa „Burego”. Komunikat, powstały na podstawie powszechnie krytykowanych za nierzetelność i stronniczość prac, których autorzy w większości byli pracownikami IPN bezkrytycznymi wobec nacjonalistycznego nurtu podziemia, rehabilitował sprawców mordów 79 obywateli polskich narodowości białoruskiej. Wspomnieć też trzeba o głośnym niedawno umorzeniu śledztwa w sprawie akcji „Wisła”, w którym prokurator IPN orzekł, że przymusowe przesiedlenie 140 tys. Ukraińców i Łemków nie stanowiło przestępstwa.

CO Z TYM WSZYSTKIM ZROBIĆ?

Powyższe przykłady pokazują, że IPN wymaga fundamentalnych zmian, które powinny zapobiec kolejnym skandalom, ukroić nadużycia, przywrócić należyte standardy w nauce i edukacji historycznej oraz przeciwdziałać marnotrawstwu. Wymaga to zróżnicowanego podejścia do poszczególnych funkcji i pionów IPN.

Dział badawczy powinien zostać rozwiązany. Właściwe miejsce dla badań historycznych jest w instytucjach naukowych – na uniwersytetach i w instytutach PAN, które chroni naukowa autonomia i gdzie nie dochodzi do sytuacji, że mianowani przez polityków kierownicy wydają polecenia naukowcom. Miliony złotych wydawane w IPN na badania powinny trafić do takich właśnie instytucji oraz zwiększyć pulę grantów badawczych rozdzielanych w transparentny i apolityczny sposób, tak jak to robi Narodowe Centrum Nauki. Można też rozważyć powołanie nowego Instytutu Dziejów Najnowszych w ramach PAN, w którym znalazłoby zatrudnienie m.in. rzetelni historycy pracujący dotąd w IPN (a są tam nadal tacy).

Nie widzimy potrzeby utrzymywania pionu edukacyjnego – dziś zajmującego się indoktrynacją, a nie edukacją. Środki marnotrawione dziś w tym pionie pozwolą stworzyć bogaty program grantów na edukację historyczną i obywatelską, które mogłyby pozyskiwać organizacje pozarządowe, uczelnie i szkoły, instytucje kultury.

Pion śledczy IPN powinien zostać zlikwidowany, zaś nielicznymi już śledztwami historycznymi zajmować się powinna prokuratura powszechna. Liczący 76 prokuratorów pion prowadzi dziś prawie trzy razy mniej postępowań niż w początkach działania IPN. Ze względu na upływ czasu są to niemal wyłącznie śledztwa „historyczne”, o których z góry wiadomo, że nie znajdą finału przed sądem. Ściganie żyjących sprawców zbrodni stanowi niewielką część aktywności prokuratorów IPN – w ostatnich latach wnosili oni do sądów akty oskarżenia przeciętnie wobec 10 osób rocznie.

Z upływem czasu od upadku komunizmu traci na znaczeniu również lustracja. Zakres lustracji jest zbyt szeroki (ponad 80 kategorii funkcji publicznych) i przewiduje sprawdzanie osób, które od dawna nie uczestniczą w życiu publicznym. W IPN znajduje się ponad 325 tys. niesprawdzonych oświadczeń lustracyjnych, których weryfikacja zajęłaby 20 lat. Z lustracji należy zrezygnować lub radykalnie ją ograniczyć. Teczki безпеki pozostaną otwarte dla historyków i dziennikarzy, co oznacza, że przeszłość osób publicznych będzie nadal mogła podlegać sprawdzeniu.

Błędem była likwidacja w 2016 r. Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, której zadania zostały rozdzielone między IPN oraz Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Spowodowało to chaos kompetencyjny, a IPN nie był wiarygodny dla za-

granicznych partnerów zajmujących się takimi sprawami. Jego kierownictwo nie osiągnęło właściwie nic w kwestii poszukiwania i upamiętnienia ofiar rzezi wołyńskiej w Ukrainie. Należy odtworzyć będący częścią administracji rządowej urząd centralny, który przejmie całość zadań związanych z opieką nad miejscami pamięci, cmentarzami wojennymi, pomnikami. Do zadań takiego urzędu powinny również należeć prowadzone przez IPN poszukiwania miejsc spoczynku, ekshumacje i identyfikowanie szczątków ofiar represji.

Archiwa IPN powinny dalej funkcjonować w dotychczasowej lub podobnej formule organizacyjnej – tak by nie zakłócić udostępnienia dokumentów. Odrębną kwestią jest Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w dawnym więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie, przekazane IPN w 2022 r. Powinno się znaleźć w gestii MKiDN lub władz samorządowych.

Proponowane przez nas zmiany mogą być wprowadzone tylko na drodze ustawowej, a więc dopiero wtedy, gdy nie będą blokowane przez weto prezydenckie. Już teraz można jednak znaczną część środków będących w gestii IPN przeznaczyć na badania naukowe i edukację z prawdziwego zdarzenia, a nie służące jednej tylko partii politycznej i jej fałszywym wizjom przeszłości.

NIE TYLKO IPN

Konieczność zmian w polityce pamięci historycznej dotyczy nie tylko IPN. W ostatnich latach rząd stworzył szereg innych instytucji służących szkodliwej, a zarazem bardzo kosztownej polityce pamięci. Potrzebny jest przegląd takich instytucji stworzonych przez różne ministerstwa. Szczególnie mocno zaangażowane w propagandę historyczną PiS były Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego oraz Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego. Rząd przekazał im olbrzymie środki (m.in. na zakup nieruchomości), których wydatkowanie wymaga sprawdzenia. Postulujemy likwidację tych instytucji. Zagraniczne oddziały Instytutu Pileckiego mogłyby się stać centrami historycznymi PAN na wzór istniejącego w Berlinie, a jego zadania kulturalne może realizować Instytut Adama Mickiewicza. Pozostałe oszczędności należy przeznaczyć na dofinansowanie badań w dziedzinie nauk społecznych i humanistycznych, edukację historyczną i obywatelską. W szczególności wsparcia potrzebują liczne inicjatywy lokalne. Czas odejść od scentralizowanego i upolitycznionego modelu sterowania historią w przestrzeni publicznej. ●

***Barbara Engelking** – prof. dr hab., IFiS PAN, kieruje Centrum Badań nad Zagładą Żydów.
****Andrzej Friszke** – prof. dr hab., ISP PAN, 1999-2006 w Kolegium IPN, 2011-16 w Radzie IPN.
*****Dariusz Libionka** – dr hab., prof. IFiS PAN, 2000-07 pracownik oddziałowego biura edukacji publicznej IPN w Lublinie.
******Paweł Machcewicz** – prof. dr hab., ISP PAN, 2000-06 dyrektor biura edukacji publicznej IPN, 2008-17 dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.
*******Krzysztof Persak** – dr, ISP PAN, 2000-11 pracownik biura edukacji publicznej IPN, 2011-16 dyrektor biura prezesa IPN.
*******Dariusz Stola** – prof. dr hab., ISP PAN, 2014-19 dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin”.
*******Rafał Wnuk** – prof. dr hab., IH KUL, 2000-09 naczelnik oddziałowego biura edukacji publicznej IPN w Lublinie

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Poznajcie Xiong'an

MIASTO PRZYSZŁOŚCI CHIŃSKICH KOMUNISTÓW

100 km od Pekinu Chińczycy budują od podstaw nową metropolię, która ma przejąć część wewnętrznej presji migracyjnej, z jaką zmagają się stolica. Xi Jinping zapewnia, że to projekt o „tysiącletnim znaczeniu”, który będzie musiał wytrzymać „próbę historii”.

Guillermo Abrii

Korespondencja z Xiong'an

EL PAÍS

W autobusie jedzie pięciu starych rolników. Mają ciemne twarze ludzi, którzy spędzili życie, pracując w polu. Dobrze znają ten obszar. Całe życie mieszkali tu, z dala od zgiełku miejskiego świata, do którego nagle dotarła nowoczesność. Wskazują na prawo, gdzie maszyny pracują wśród zwalów gruzu: rozpoczęły się prace rozbiórkowe w kolejnej starej wsi; i na lewo, gdzie znajduje się jałowa równina: tam stanie kampus Uniwersytetu Pekinńskiego. Potem mijamy futurystyczny biały budynek: będzie to kompleks sportowy, budowa już jest w zaawansowanym stadium. A tamte estakady, mówią, to będzie autostrada do Pekinu. Ci starzy rolnicy często spędzają czas, którego nagle mają w bród, w ten sposób: oglądając szybko zmieniający się krajobraz z okien autobusu. Jeżdżą ze swoich nowych domów – podarowanych im przez rząd w zamian za wywłaszczone stare – do nowej stacji szybkiej kolei i z powrotem.

„Nastały dobre czasy”

Pan Li, już po siedemdziesiątce, mówi, że nastały dla nich „dobre czasy”. Każdego dnia widzą, jak wokół nich rozrasta się Xiong'an, miasto stworzone z niczego na tej samej ziemi, na której kiedyś pracowali, i które ma się stać prototypem „nowoczesnych socjalistycznych miast przyszłości”. Jest to jeden z najbardziej ambitnych projektów partii pod wodzą Xi Jinpinga.

Xiong'an, pomyslane jako satelita Pekinu, przypomina obecnie jedną z tych gier, w których dzieci budują miasta na plan-szy. Siatki konstrukcyjne do żelbetu, dźwigi i ciężarówki z cementem są wszędzie. Miejsce to jest monotonną równiną przecinaną licznymi rzekami i mokradła-

mi, ok. 100 kilometrów na południe od stolicy Chin, w prowincji Hebei. Budowę Xiong'an ogłoszono w 2017 r. jako sposób na odciążenie zatłoczonej stolicy, w której mieszkają już prawie 22 miliony ludzi. Celem jest relokowanie tu siedzib firm i instytucji, a tym samym odciążenie Pekinu od tych funkcji, które nie są niezbędne dla rządu centralnego.

Xiong'an to oczko w głowie Xi Jinpinga. Sekretarz generalny Komunistycznej Partii Chin nazwał go „narodowym projektem o tysiącletnim znaczeniu”, który musi być w stanie „przetrawić próbę historii”. Jego projektowanie i wznoszenie ma „połączyć najnowocześniejsze technologie i szacunek dla środowiska”.

„Jest to również dziedzictwo, które nasze pokolenie chińskich komunistów przekazuje przyszłym pokoleniom” – powiedział Xi, który chce tym miastem zapisać się w historii, skoro w zeszłym roku zapewnił sobie bezprecedensową trzecią kadencję u władzy.

Xiong'an to nowe słowo złożone z dwóch znaków: xiong – bohater, męskość, siła, oraz an – pokój, spokój, stabilność.

Rząd Xi stawia projekt Xiong'an na równi z dwoma innymi symbolami skoku Chin w przyszłość: Shenzhen, pierwszą specjalną strefą ekonomiczną w kraju, utworzoną w 1980 r. na terenie wioski rybackiej, a obecnie stanowiącą technologiczne megalopolis; oraz Pudong, futurystyczną dzielnicą finansową w Szanghaju. Oba te projekty zostały zainicjowane przez Deng Xiaopinga, architekta otwarcia i reform, który zapoczątkował aktualny rozwój Chin.

Niektórzy posuwają się do dalszych porównań: „W 1153 r. dynastia Jin wybrała na swoją stolicę Yanjing, rozpoczynając prawie 900-letnią historię metropolii, którą

znamy dziś jako Pekin. W 2017 r. ustanowienie Nowego Obszaru Hebei Xiong'an otworzy nową kartę w rozwoju Pekinu” – czytamy w tekście rządowej agencji Xinhua.

Partia wprowadziła spektakularną maszynę w ruch. W ciągu prawie siedmiu lat na dawnych nieużytkach zaczęto wznosić ponad 4 tysiące budynków; wpompowano tam inwestycje o wartości ponad 85 miliardów euro, a chińskie przedsiębiorstwa państwowe utworzyły ponad 200 spółek zależnych i oddziałów na tym obszarze. Wśród realizowanych projektów znajduje się centrum cybernetyczne (nazywane „mózgiem miasta”), które pomoże zasilić systemy cyfrowe Xiong'an, w tym platformy do zarządzania ruchem i autonomicznymi pojazdami. Od 2021 r. miasto jest również poligonem doświadczalnym dla cyfrowego juana, projektu wspieranego przez chiński bank centralny.

Plan zakłada, że wszystkie podstawowe usługi dla ludności powinny się znajdować w odległości 15-minutowego spaceru, a priorytetem ma być zasilanie miasta czystą energią. 70 proc. powierzchni miasta zarezerwowano na tereny zielone.

Osobista „spuścizna” Xi dla kolejnych pokoleń

Andrew Stokols, ekspert w dziedzinie planowania urbanistycznego i polityki miejskiej z Massachusetts Institute of Technology, nazwał Xiong'an „technoekologiczną utopią”. Ale dodaje, że miasto zyskało „ideologiczne znaczenie” jako „modelowy dla całego kraju projekt rozwoju wysokiej jakości”, co jest jedną z mantr i obsesji Pekinu w ostatnich latach.

„Xiong'an ma się stać ucieleśnieniem kapitalizmu partyjno-państwowego Xi: skoncentrowanie życia kraju w trybie wiel-

• Xiong'an powstaje od podstaw w prowincji Hebei, w zasięgu kilkudziesięciminutowej podróży szybkim pociągiem z Pekinu. Priorytetem ma być zasilanie miasta czystą energią. 70 proc. jego powierzchni zarezerwowano na „tereny zielone”

FOT. XINHUA/MU YU



komiejskim, promowanie zaawansowanych technologii i zielonych innowacji poprzez inwestowanie w uniwersytety, państwowe instytuty badawcze i przedsiębiorstwa państwowe”.

Stokols zaznacza, że wiele utopijnych miast z przeszłości zawiodło oczekiwania twórców. Uważa jednak, że zaangażowanie Xi Jinpinga w uczynienie z Xiong'an jego osobistej „spuścizny” może zapewnić miastu stałe wsparcie ze strony rządu centralnego. I dodaje, że z czasem może się stać „atrakcyjnym” ośrodkiem badań, innowacji i przyzwoitej jakości życia, zwłaszcza dla młodych absolwentów uniwersytetów z drugorzędnych chińskich miast.

Reklamy wśród pustych placów budowy: „Pracuj w Xiong'an, mieszkaj w pałacu”

Na razie wydaje się raczej puste. Szybki pociąg, który jedzie niecałą godzinę z Pekinu i kosztuje mniej niż równowartość siedmiu euro, przyjeżdża w każdą środę z niewielką liczbą pasażerów na pokładzie: większość z nich wysiada bowiem na lotnisku Daxing, położonym na południe od stolicy, skąd podróż do Xiong'an zajmuje 20 minut. Miejska stacja centralna, otwarta w 2020 r., jest gigantyczna, z dachami pokrytymi panelami słonecznymi. W jej wnętrzu korytarze są opustoszałe. Ale jego wymiary i liczne platformy dają wgląd w zaplanowaną skalę powstającej wciąż metropolii.

Po drodze nęcą reklamy luksusowych apartamentów: „Pracuj w Xiong'an, mieszkaj w pałacu” – głosi jedna z nich. W tle jednak dominują nieużytki i las szkieletów budynków. To tu można wsiąść do wspomnianego już autobusu z emerytowanymi rolnikami. Przez całą resztę podróży, która trwa około godziny, nikt inny nie wsiada.

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Psie mięso w oczekiwaniu na rozkwit branży gastro

Autobus podjeżdża obok alei usłanej czerwonymi plakatami z hasłami Xi: „projekt narodowy”, „plan milenijny”. Chińska Państwowa Korporacja Inżynierii Budowlanej, jedna z największych na świecie w tej branży, ma w tej okolicy siedzibę. Przy następnej przecznicy otwarto kilka restauracji. Przed drzwiami jednej z nich 43-letni szef kuchni Guan Wei mówi, że wraz z rodziną przeprowadził się tu w 2022 r. z Dongbei w północno-zachodnich Chinach. Nazywa Xiong'an „małym Pekinem” i jego zdaniem „ma ono bardzo dobre perspektywy dla branży restauracyjnej w przyszłości”.

W jego lokalu w dzień powszedni panuje leniwa atmosfera pory lunchu. Pozywia się tam trzech pracowników firmy inżynieryjnej z Tianjin, nadmorskiego miasta także oddalonego o mniej więcej 100 kilometrów i stanowiącego trzeci wierzchołek „trójkąta rozwoju” Pekin – Hebei – Tianjin, w którym znajduje się nowe miasto. Przed pożegnaniem Guan oferuje mi potrawę z psiego mięsa.

W pobliżu powstaje dzielnica Rongdong, gdzie mnożą się identyczne, jakby sklonowane bloki mieszkalne, rosną hotele międzynarodowych sieci, sklepy luksusowych marek, futurystyczne biurowce. Działa już centrum handlowe z placem imitującym dawną wiejską sielankę. To miejsce ma wkrótce tętnić życiem, ale na razie jest więcej dźwięgów niż mieszkańców. Można się zastanawiać, czy spowolnienie dotyczące Chin będzie odczuwalne również tutaj. Na razie większość mieszkańców to przekwaterowani, wywłaszczeni wieśniacy i pracownicy budowlani.

Albo osoby takie jak 36-letni Hu Yan, który pracuje dla firmy zajmującej się projektowaniem wnętrz i odpowiada za kilka projektów. W ciągu tygodnia mieszka w jednym z nowo ukończonych bloków, ale w każdy weekend wraca do rodziny w stolicy. Wierzy, że w przyszłości Xiong'an „będzie jak Pekin”.

Projekt wielkiego odmłodzenia Chin

„Za kilka lat będzie znacznie lepiej. Będą nawet uniwersytety”, mówi Qiu Ping, 45-letnia nauczycielka w podstawówce. W muzeum w Xiong'an spotyka się z młodszym synem i jego opiekunką. Zwykle przychodzą po szkole, chłopiec lubi się bawić interaktywną „grą o nieruchomościach” w jednej z sal. Przed imponującą rozmiarem makietą nowego miasta Qiu mówi: „Jeszcze trzy lata temu były tu tylko pola i nieużytki”.

Ona, urodzona w okolicy, również ma wiejskie korzenie. „Teraz jednak jesteśmy mieszkańcami miasta” – podkreśla. Władze wywłaszczyły jej rodzinę i dały w zamian nowy dom. Używa tego samego sformułowania co starzy rolnicy: „Nadeszły dobre czasy”.

W muzeum, z mnóstwem ekranów i efektów świetlnych, w pewnym momencie mijamy korytarz ze świecącą liczbą: 2035. Do tego czasu, zgodnie z planem, Xiong'an „stanie się nowoczesnym, zielonym, inteligentnym i przyjaznym do życia miastem”. Władze przewidują, że do 2050 r. znajdzie się ono na mapie największych miast świata jako prototyp „nowoczesnego miasta socjalistycznego”.

„Każda epoka ma swoje modele wzorcowe i symbole” – podsumowuje inny panel w muzeum, który podkreśla, że Xiong'an, „pod osobistym nadzorem sekretarza generalnego Xi Jinpinga”, będzie „świadkiem i uczestnikiem wielkiego odmłodzenia Chin”. Właśnie za pomocą takich haseł Pekin często mówi o odzyskaniu statusu cywilizacyjnego centrum świata utraconego po tzw. stuleciu upokorzenia, doznanego z rąk mocarstw kolonialnych. „To już wkrótce” – podsumowuje informacja w muzeum. ●

tłum. Łukasz Grzymisławski

Iluzje Kremla

Chińczycy dostają Rosję na tacy

Rosjanie błędnie oceniają obecny status i potencjał Chin. Bardzo niewiele osób w Moskwie zna ten kraj i ogarnia jego rozwój w ostatnich latach. Chińczycy wezmą od Putina, co zechcą, w zamian dając niewiele.

Eduard Steiner

Welt

Po napaści na Ukrainę Rosja w ciągu dwóch lat obróciła się gospodarczo o 180 stopni i wpadła całkowicie w objęcia Chin. Jednak lojalność Pekinu wobec Kremla jest iluzją – uważa znany rosyjski ekonomista Igor Lipsic. Niewiele w Moskwie mówi się o wysokim ryzyku, jakie niesie ten bezprecedensowy zwrot.

73-letni dziś Igor Lipsic, który zakładał prestiżową moskiewską Wyższą Szkołę Ekonomiczną (HSE), w zeszłym roku opuścił Rosję i od tego czasu mieszka w Wilnie. Ale przekonuje: „Zachód zdaje się wierzyć, że nieuniknione pogorszenie sytuacji gospodarczej przyspieszy polityczny koniec Putina. To świadczy o słabym rozpoznaniu sytuacji w Rosji”.



W ciągu dwóch lat wojny w Ukrainie rosyjska gospodarka dokonała epokowego zwrotu: od Europy w kierunku Chin. Wolumen handlu dwustronnego wzrósł o 60 proc. Prawie 40 proc. rosyjskiej ropy płynie teraz do Chin. A udział Chin w rosyjskim imporcie gwałtownie wzrósł: z jednej czwartej do ponad 40 proc.

Lecz w pewnym zakresie to zjawisko rozpoczęło się wcześniej, już 15 lat temu. Chodziło nie o miłość do Chin, lecz o zrozumienie nowych możliwości. Trudno sobie wyobrazić, że Rosjanie będą się masowo uczyć chińskiego i wyjeżdżać do Chin – na przykład do pracy – tak jak robili to wcześniej w Europie. Jednak w ciągu ostatnich dwóch lat zaszły pewne dziwne zmiany.

Na przykład?

Usłyszałem od pewnego rosyjskiego biznesmena, że przenosi produkcję z Rosji do Chin. Jest to trudne, ale nie pozbawione sensu, ponieważ ma tam dostęp do wszystkich komponentów, których nie może już uzyskać w Rosji z powodu sankcji.

Nie wyklučam, że pojawi się tutaj pewien trend i rosyjscy biznesmeni będą obsługiwać swój rynek krajowy z Chin.

Na razie chińskie firmy podbijają rosyjski rynek. A przecież konsumenci w Rosji od dawna woleli zachodnie towary. – Weźmy auta. Do 2022 r. Rosjanie sceptycznie podchodzili do chińskich samochodów. Ale od tamtej pory kupują je masowo – z powodu braku alternatyw, próbują sami siebie przekonać, że to „dobry wybór”. Można o tym przeczytać na różnych forach konsumenckich. Jednak wciąż nikt nie zebrał wystarczającego doświadczenia na temat tego, jak chińskie samochody radzą sobie w trudnych rosyjskich warunkach.

Co właściwie jest takiego złego w przejściu Rosji z jednostronnej zależności od Europy do innej jednostronnej zależności, od Chin?

Różnica polega na jakości. Rosjanie grzecznie kupują, co jest, ale nie są z tego powodu szczególnie zadowoleni.

A co Chiny zyskują gospodarczo na swojej nowej bliskości z Rosją?

– Pewien stopień bezpieczeństwa, biorąc pod uwagę fakt, że nie jest do końca jasne, jakie będą w przyszłości stosunki z Europą, a przede wszystkim z USA. Rosja jest dla Chin rynkiem buforowym, na którym można rozłożyć ryzyko. Nie widzimy natomiast, by Chińczycy rozwijali jakkolwiek produkcję w Rosji. W sektorze motoryzacyjnym będą co najwyżej montować w Rosji importowane komponenty.

Tak właśnie robiły zachodnie koncerny samochodowe 15 lat temu.

– Tak, lecz wtedy Rosja stopniowo żądała od nich coraz większego przenoszenia produkcji. Teraz o podobnych żądaniach wobec Chińczyków nie ma mowy, aby tylko nie zagrozić wzajemnym relacjom. W przeciwieństwie do Europejczyków przed 2022 r., Chińczycy raczej nie będą inwestować w Rosji.

Ale dlaczego nie, biorąc pod uwagę, że inwestowali intensywnie np. w Afryce?

– W Afryce byli wystawieni na ostrą konkurencję ze strony Europy i USA. Aby uzyskać dostęp do tamtejszych zasobów i pozyskać lokalne elity, musieli pokazać swoje zaangażowanie. W Rosji nie jest to konieczne. Sami Rosjanie praktycznie podają swój kraj Chińczykom na tacy.

Dla Chińczyków inwestowanie w Rosji nie miałoby sensu ekonomicznego?

– Jakieliby z tego korzyści? Rozpoczęcie produkcji w Rosji zawsze jest dość trudne ze względu na korupcję. Owszem, dewaluacja rubla sprawiła, że rosyjska siła robocza stała się nieco tańsza od chińskiej. Jednak nie widać, by Chińczycy byli tym szczególnie zainteresowani. Należy również pamiętać, że sytuacja w samych Chinach nie jest różowa, a setki milionów ludzi muszą mieć tam zapewnioną pracę. Rosja uzależnia się od kraju, który sam ma obecnie kłopoty.

Wciąż pojawiają się informacje, że Chiny przynajmniej przeniosą część swojego zanieczyszczającego przemysłu do Rosji...

– Jak dotąd tylko się o tym mówi. Nic nie wiadomo o większych projektach. Ale bez względu na to, czy mowa o przemyśle szkodliwym dla środowiska, czy nie: ogólnie rzecz biorąc, trzeba być szalonym, aby inwestować w Rosji. Zacznijmy od siły roboczej, której po prostu rozpaczliwie brakuje. Następnie problem logistyki i przepływów płatności. Oraz rynek z bardzo biedną populacją.

Rosja będzie próbowała najpierw sama inwestować. Za pieniądze obywateli. Minister finansów Anton Siłuanow już wspominał o planach pozyskania równowartości ponad 400 miliardów euro z depozytów bankowych na inwestycje.

Czy nie jest to politycznie niebezpieczne?

– Byłoby, gdyby ekonomiczna i finansowa wielkość rosyjskiego społeczeństwa była większa.

Czy jakaś część majątku zachodnich firm, które opuszczają Rosję, jest kupowana przez chińskich przedsiębiorców?

– Głównie trafiają w ręce Rosjan. Lecz to jest proces czysto polityczny, mający na celu wsparcie reżimu Putina. Aktywa są przekazywane najbardziej lojalnym ludziom.

Czy Chiny również będą lojalne? Jak bardzo Putin może polegać na Państwie Środka?

– Rosjanie budują plany na „chińskiej iluzji”. Weźmy sektor gazowy: Rosja od lat próbuje

przekonać Chiny do budowy kolejnego gazociągu. Który zwiększyłby eksport. A Chińczycy się nie zgadzają. Być może uważają, że Rosjanie i tak nie mają dokąd pójść ze swoimi surowcami. Ale poza tym po prostu nie potrzebują więcej gazu.

Skąd bierze się ta iluzja dotycząca Chin?

– Istnieje w Rosji bardzo stare, dziwne przekonanie, że Rosja jest centrum cywilizacji i postępu technicznego, a Chiny, jako kraj rozwijający się, są młodszym partnerem Rosji, tak jak były młodszym partnerem Związku Radzieckiego. Prawda jest taka, że dziś jest dokładnie odwrotnie.

Chiny ściśle realizują swoje interesy i nie darzą szczególną sympatią Rosji i jej zdobyczy. Rosjanie są dziś odizolowani i samotni – i dlatego muszą wierzyć, że mają przyjaciół.

To znaczy?

– Rosjanie błędnie oceniają obecny status i potencjał Chin. Bardzo niewiele osób w Moskwie zna ten kraj i ogarnia jego rozwój w ostatnich latach.

Przynajmniej wiemy, że objęte sankcjami zachodnie zaawansowane technologie można uzyskać za pośrednictwem chińskiej dywersji.

– Z pewnością dojdzie do punktowego obchodzenia sankcji. Powinniśmy jednak wiedzieć, że Chiny nie zaangażują się w ten proces na większą skalę, ponieważ mimo wszystko nie chcą wchodzić w konflikt z USA jako swoim najwięszym klientem.

Dla Chin stosunki z USA, choć politycznie napięte, są o wiele ważniejsze niż z Rosją.

Ale jeśli Chiny nie mogą przekazać zachodniej technologii Rosji na dużą skalę, mogą przynajmniej sprzedać własną po wysokiej cenie.

– To wiele mówi o poziomie rosyjskich decydentów, jeśli wierzą, że Chiny pomogą i sprzedadzą swoją technologię w celu przetrwania i rozwoju Rosji. Faktem jest natomiast, że Chiny wciąż praktykują drenaż rosyjskich mózgów.

Ponadto w Rosji trwa sporo procesów karnych przeciwko rosyjskim naukowcom za zdradę państwa, obecnie 16, według mojej wiedzy. I we wszystkich tych przypadkach zarzutem jest to, że tajemnice – głównie związane z technologią wojskową, zwłaszcza bronią hipersoniczną – zostały sprzedane Chinom.

Rosyjskie służby specjalne mają pełne ręce roboty, strzegąc rosyjskich tajemnic przed Chinami, z którymi Kreml tak chce się bratać.

Od wybuchu wojny Zachód zdaje się wierzyć, że nieuniknione pogorszenie sytuacji gospodarczej przyspieszy polityczny koniec Putina.

– To z kolei świadczy o słabym rozpoznaniu sytuacji w Rosji. Mówiąc krótko: to duży błąd w ocenie. ●



Filozof wygnany

Jak doszło do tego, że dziennik symbol odrodzonej demokracji hiszpańskiej przestał mówić liberalno-lewicowym głosem, zaniechał krytyki władzy, a stał się tubą rządu

Stasiński

O to zaskarżył pod przysięgą Meletos, syn Meletosa z Pittos, Sokratesa, syna Sofroniska z Alopeków: zbrodnię popełnia Sokrates, bogów, których państwo uznaje, nie uznając, inne zaś nowe duchy wprowadzając; zbrodnię też popełnia, psując młodzież.

Ze wstępu Władysława Witwickiego, tłumacza, do „Obrony Sokratesa” Platona

Hiszpański dziennik „El País” zerwał współpracę z Fernandem Savaterem, jednym z założycieli tej gazety u progu transformacji demokratycznej w 1976 r. Bo filozof stał się surowym krytykiem obecnego hiszpańskiego rządu i dziennika, który przerodził się w jego propagandową tubę.

Pożegnanie publicysty jakiejś gazety jest zwykle tematem interesującym jego samego oraz redakcję i rzadko zaprzęta uwagę opinii. Wygnanie z łamów „El País” Savatera wywołało nie garść incydentalnych komentarzy, ale falę poruszenia w przestrzeni publicznej Hiszpanii i Ameryki Łacińskiej. Bo Savater nie jest po prostu

Rozstanie się takiej gazety z takim pisarzem nie może być błahym incydentem. „El País» był zwierciadłem hiszpańskiego społeczeństwa oraz głosem jego najlepszych dążeń. Fernando Savater był organicznym intelektualistą. Dzisiaj to zwierciadło staje się maszkarą” – napisał Ricardo Cayuela w gazecie „The Objective”.

W hiszpańskich, argentyńskich i meksykańskich mediach posypało się wiele głosów, wyrazów uznania dla autora i krytyki decyzji gazety prominentnych osób publicznych. W akcie solidarności z Savaterem z „El País” odszedł Félix de Azúa, pisarz, członek Królewskiej Akademii Hiszpańskiej.

Tak głośna reakcja opinii publicznej zmusiła dziennik do wyjaśnienia: „Fernando Savater na łamach dwóch innych mediów wyraził to, co już powiedzieliśmy wcześniej, czytając jego komentarze i artykuły: nie czuje się dobrze na naszych łamach. Uczynił to w słowach nie do przyjęcia, pełnych osobistej pogardy dla naszego dziennika, jego wiarygodności, kierownictwa, dziennikarzy i współpracowników. Stało się jasne, że to koniec trasy” – napisała naczelna Pepa Bueno.

chezowi” – wyjaśnia Savater. Opisuje wzbierającą falę nowego populizmu i koniunkturalnej polityki, której hołdują premier i jego partia od objęcia władzy sześć lat temu:

„Nasz kraj – pisze – pada ofiarą ksenofobicznego i terrorystycznego separatyzmu najgorszego gatunku w Kraju Basków, przeżył próbę zamachu stanu w Katalonii ze strony tych, którzy mieli obowiązek bronić instytucji demokratycznych, doświadczają genialnych recept ortopedycznego komunizmu, który zadłuził kraj na skalę bez precedensu, poddaje się tyranii ideologii hołdującej rozbijaniu wspólnoty obywatelskiej na grupki seksualnych i ideologicznych tożsamości, żądających dla siebie oficjalnego uznania i ochrony, ale piętnującej wszystko, co się rusza, poza nimi (oraz rzecz jasna zwierzętami). Słowem, wrogów obywatelskiej wspólnoty jest w bród, ale jedyną prawdziwą groźbą jest rzekomo prawica, zwłaszcza skrajna, chociaż nie rządu”.

Degenerację hiszpańskiej socjaldemokracji za rządów Sáncheza, streszczającej się w zasadzie, że poza im-

niechał krytyki władzy, a stał się tubą rządu, usprawiedliwiając kolejne polityczne wolty, wiarołomstwo i kłamstwa premiera.

W 2018 r., wkrótce po objęciu władzy przez Sáncheza, koncern PRISA, który wydaje „El País”, wyrzucił naczelnego Antonia Cano, jego zastępców i całą ekipę oraz usunął z rady redakcyjnej gazety byłego szefa socjalistów poprzedniego pokolenia Alfreda Péreza Rubalcabę. Wszyscy znani.

W kolejnych miesiącach i latach dziennik zerwał współpracę z licznymi publicystami i pisarzami, którzy byli jego wizytówkami, jak Francesc de Carreras, Antonio Elorza, Teodoro León Gross czy Yoani Sánchez. „Wymiana piór” nosząca jawnie znamiona czystki, by pozbyć się niezależnych lub krytycznych wobec populistycznych zapędów rządu publicystów, pisarzy czy historyków, objęła ponad 20 znanych opinii postaci. Większość z nich wkrótce zasiła inne media.

Jednymi z „ostatnich Mohikanów”, jacy się ostali, byli właśnie Savater, najstarszy stażem z żyjących publicystów, i Félix de Azúa.

Ostatnim powszechnie znanym publicystą, który nie ustaje w piętnowaniu degeneracji partii socjalistycznej pod wodzą Sáncheza i obwieszcza to w „El País”, jest Juan Luis Cebrián, wieloletni naczelny tej gazety. Jemu na razie dziennik nie odważy się podziękować za współpracę.

Dzięki sprawnym dziennikarzom „El País” jest nadal dobrym źródłem informacji, zwłaszcza z obszaru Ameryki Łacińskiej, ale z grona publicystów kształtujących opinię publiczną w Hiszpanii pozbył się już wszystkich wybitnych i szanowanych.

Po premierze i kierownictwie „El País” wszelka krytyka spływa jak po kacze. Posłowie lewicowi głoszą w parlamencie jak karne wojsko za wszystkim, za czym każe głosować premier. Widok „burzliwych oklasków przechodzących w owację” zrywających się z miejsc jak jeden mąż posłów rządzącej koalicji po kolejnym głosowaniu wygranym dwoma, trzema głosami budzi wspomnienia słusznie minionej epoki, czy to frankizmu, czy komunizmu.

Savater jest przenikliwym i światłym krytykiem wszelkiej ortodoksji, niezależnie od jej ideologicznego znaku, świeckich kościołów, stadnych mód czy wiar. Jeśli w czasach powszechnego relatywizmu, dyktatu rozmaitych „narracji” wolnych od rozróżnień na prawdę i fałsz oraz na informację i propagandę, prawda, wiarygodność i racjonalna krytyka mają jeszcze sens, Savater jest upartym obrońcą tego sensu i głosem niekłaniającym się dogmatom czy modom.

Próbując uzasadnić rozstanie z filozofem, redakcja bezwiednie trafiła w sedno, nazywając go „sumieniem obywatelskim” Hiszpanii. Mimo to, a może właśnie dlatego, się go pozbyła.

Fernanda Savatera może „El País” wypędzić, tak jak Ateny posłały na śmierć Sokratesa, takie jego wilcze prawo. Ale nie zdoła zastąpić mędrca mędrkami. ●

Maciej Stasiński



• **Fernando Savater** FOT. BASSO CANNARSA/EAST NEWS

publicystą, a „El País” po prostu gazetą ani w Hiszpanii, ani w hiszpańskiej przestrzeni kulturalnej.

„El País” powstał po śmierci dyktatora Franco jako głos odradzającej się demokracji, przede wszystkim liberalno-lewicowej opozycji, zabierającej się właśnie do odbudowy przestrzeni wolności, pluralizmu, tolerancji i państwa prawa.

Dziennik stał się trybuną świetnego i światłego dziennikarstwa, źródłem wiarygodnej informacji i agorą opinii, miejscem dialogu idei i demokratycznej polityki. Dla kilku pokoleń hiszpańskojęzycznych czytelników z wielu krajów był zarazem oknem na świat i medium, które umiało świat objaśniać.

Savater, były więzień dyktatury, był jednym z intelektualnych założycieli dziennika i pozostał przez 47 lat jednym z jego najświatlejszych piór. Stał się rzecznikiem pokolenia i formacji intelektualnej wychowanej w duchu krytyki rzeczywistości, historykiem filozofii i idei, jest autorem kilkudziesięciu książek, w tym wielu bestsellerów.

Co takiego zatem powiedział Savater?

We fragmencie swojej ostatniej książki „Carne gobernada” w kilkunastu akapitach rozprawia się z ewolucją hiszpańskiej partii socjalistycznej w ostatnich latach oraz rolą, jaką odgrywa w niej „El País”: „Był głosem postępu, centrolewicy, ze wszystkimi zaletami i wadami, a stał się rzecznikiem najgorszego rządu w dziejach naszej transformacji od śmierci gen. Franco”.

Według Savatera „El País” wyrażał światopogląd socjaldemokracji hiszpańskiej uosabianej przez lata przez wybitnych socjalistów tworzących zręby odnowionej demokracji liberalnej i prowadzących Hiszpanię do Europy pod przewodnictwem wieloletniego premiera Felipe Gonzáleza, Alfonsa Guerri czy Javier Solany.

Jednak stopniowo najpierw partia socjalistyczna PSOE (najstarsza partia polityczna Hiszpanii), a potem „El País” porzuciły to dziedzictwo: „Stało się coś najgorszego w całej długiej i kontrowersyjnej historii partii socjalistycznej: została podporządkowana »wodzowi« Pedrowi Sán-

Po premierze i kierownictwie „El País” wszelka krytyka spływa jak po kacze. Posłowie lewicowi głoszą w parlamencie jak karne wojsko za wszystkim, za czym każe głosować premier

peratywem utrzymania się przy władzy za wszelką cenę żadnych zasad nie ma, opisują od kilku lat jak kronikę zapowiedzianej śmierci publicyści i komentatorzy we wszystkich mediach hiszpańskich, do niedawna, choć coraz rzadszymi piórami, także w „El País”.

Ideologiczną i sekciarską ewolucję partii socjalistycznej i jej rządów piętnują publicznie najwybitniejsi socjaliści z pokolenia, które przebudowało, zmodernizowało i przywróciło Hiszpanię kręgowi demokratycznej cywilizacji europejskiej, jak González i Guerra.

Także ja sam w „Wyborczej” staram się opowiadać o smutnej degradacji hiszpańskiej socjaldemokracji oddanej w pacht neolewicowej demagogii populistycznej oraz separatystycznym nacjonalizmom, dążącym do rozbicia Hiszpanii w imię koniunkturalizmu i żądzy władzy.

Rządy Sáncheza trzymają się na cieniułku włosku minimalnej większości parlamentarnej dzięki sojuszo- wi i ustępstwom wobec katalońskiego nacjonalizmu (m.in. w drodze obietnicy amnestii dla sprawców zamachu stanu w 2017 r.) oraz baskijskich spadkobierców terrorystów z ETA (którzy nigdy nie potępili swych zbrodni). Wszystkim im premier oddaje pole za polem, byle zachować ich głosy.

Liczne media opisują, jak doszło do tego, że dziennik symbol odrodzonej demokracji hiszpańskiej przestał mówić liberalno-lewicowym głosem, za-

Śnieżki

Od niedawna prezydent i premier Polski rozmawiają ze sobą publicznie po angielsku. I niemiecku. Doradca prezydenta mówi po polgielsku.

Michał Rusinek



Minęły zaledwie cztery lata od momentu, kiedy prezydent Andrzej Duda zapewniał, że „nie będą nam tu w obcych językach narzucali [...], jak mają być prowadzone polskie sprawy”, a kilka dni temu na Twitterze/X sam zaczął pisać w językach obcych. To zdumiewające posunięcie – także dlatego, że pan prezydent wielokrotnie dał publicznie dowody na to, że język angielski zna w stopniu, mówiąc delikatnie, memogennym. Wzburzyła go zapewne zaczepka premiera Donalda Tuska, który także na Twitterze/X wyjaśnił panu prezydentowi trudne angielskie słowo pojawiające się w tytule artykułu o Polsce, jaki ukazał się na portalu CNN. I tak oto prezydent i premier Polski rozmawiają ze sobą publicznie po angielsku. I niemiecku. Czyli w językach obcych.

Rzeczony tytuł brzmiał: „Poland’s new leader is hellbent on restoring democracy – even if it means war with his populist rivals”, czyli „Nowy przywódca Polski jest zdeterminowany, by przywrócić demokrację – nawet jeśli oznacza to wojnę z jego populistycznymi rywalami”. Premier wyjaśnił synonimicznie: „Panie Prezydencie, »hellbent on doing something« znaczy »jest gotowy za wszelką cenę«”. Prezydent odpisał: „Panie Premierze, dobrze Pan wie, co znaczy »bent as hell«. Wszyscy widzimy, że kieruje się Pan powiedzeniem: »Absicht ist die Seele der Tat«. Ale chwalenie się tym za granicą? Tam też niektórzy znają historię”.

Wpis premiera nie wymagał wyjaśnień czy komentarzy, w przeciwieństwie do wysoce enigmatycznego, by rzec belkotiłowego wpisu prezydenta. Ten ostatni ma na szczęście doradców, w dodatku aż 146, którzy nie tylko mu doradzają, ale także potrafią zrozumieć, a przynajmniej wyjaśnić, co głowa państwa ma na myśli. Jeden z nich, Łukasz Rzepcecki, umieścił na Twitterze/X zdjęcie Donalda Tuska i Władimira Putina podających sobie dłonie. Na zdjęciu tym obaj panowie się sobie kłaniają, ale Putin nieco bardziej powściągliwie. Rzepcecki skomentował: „»Hellbent« premier Donald Tusk or »bent as hell«”. Nie do końca wiadomo, kto jest adresatem tego zdania, bo zostało ono napisane w tzw. języku polgielskim. Największa populacja użytkowników tego języka mieszka w Chicago, nie można więc wykluczyć, że to do nich zwracał się doradca prezydenta RP.

Można, rzecz jasna, zbyć tę wymianę tweetów, traktując ją jako dowód na zdziecinnienie polityków, jak zrobił to prof. Rafał Chwedoruk dla portalu Wirtualna Polska. Tak może zrobić jednak politolog, ale filologowi – nie wolno. Filolog musi zauważyć, że jest to fascynująca walka na słowa, w dodatku w kilku językach, wykorzystująca etymologię, frazeologię i konteksty. A także re-

torykę, bo prezydent posłużył się figurą zwaną *concessio*; polega ona na obróceniu argumentów przeciwnika na swoją korzyść. Mówiąc językiem bardziej obrazowym, adekwatnym do pory roku (oraz poglądu prof. Chwedoruka): najpierw premier rzucił w prezydenta śniegową kulką. Zostawiła ona na narciarzkiej kurtce prezydenta rodzaj śniegowej plamy. Prezydent starannie ową plamę zdrapał, uformował z niej własną kulkę i rzucił w premiera. Dla pewności – rzucił też kolejną. A że chyba nie trafił (jego wpis był wszak mało zrozumiały), do bitwy na śnieżki dołączył się jego doradca. Mam jednak spore wątpliwości, czy substancję, z której ulepił swoją kulkę, można nazwać śniegiem. W bitwach na śnieżki bywa i tak.

Słowo „hellbent” należy do stylu potocznego i jest zbitką dwóch wyrazów: „hell” (piekło) i „bent” (zdeterminowany). Można więc je tłumaczyć jako „piekielnie (po polsku powiemy raczej: cholernie) zdeterminowany”, a więc coś w rodzaju najwyższego stopnia determinacji. Notowane jest ono w słownikach od 1824 roku, z początku jako amerykański wyraz slangowy. Nie pojawia się raczej w czytankach do nauki języka angielskiego; znane jest głównie użytkownikom żywej angielszczyzny. Pan prezydent w swoim oburzeniu na przytyk dotyczący jego skromnej znajomości angielskiego postanowił pokazać się jako subtelny dekonstrukcjonista spod znaku J. Hillisa Millera: rozłożył bowiem zbitkę słowną i złożył na nowo tak, żeby zawierała pierwotne znaczenie imiesłowu „bent”, czyli „ten, który się kłania”. „Bent as hell” oznacza bowiem tego, który pozostaje w piekielnym (cholernym) ukłonie. Przed kim ten ukłon? Wpis prezydenta sugeruje służalczość wobec Niemiec, skoro w kolejnym zdaniu zaczytywał on niemieckie powiedzenie, że czyn został popełniony z pełną świadomością, którego polski odpowiednik brzmiałby mniej więcej: cel uświęca środki.

Czemu prezydent wybrał niemiecką wersję? Czy uczy się akurat niemieckich przysłów? Czy chciał się pochwalić znajomością także tego języka? A może zapragnął się wpisać w długą i bogatą tradycję zwracania się do Donalda Tuska po niemiecku: bo dziadek z Wehrmachtu, bo „für Deutschland”, bo rzekomo niemiecki agent, bo nazwisko wprawdzie kaszubskie, ale jakoś tak z niemiecka brzmi. W tym przypadku gest prezydenta właściwie niczym się nie różni od obrzydliwych transparentów z propiowskiej manifestacji z 11 stycznia czy też niedawnej wypowiedzi Antoniego Macierewicza, który na spotkaniu zwołenników PiS w Łodzi mówił, że Donald Tusk powinien trafić „albo do więzienia, albo do Berlina”, ponieważ od 2014 roku tkwi w „sojuszu królewieckim” z Niemcami, a także putinowską Rosją. Tu warto wrócić do śniegowej (?) kulki doradcy prezydenta, który wyjaśnił nie tylko po polgielsku, ale też językiem obrazu, że Tusk kłaniał się (jak cholera) Putinowi. Wróćmy jednak do wypowiedzi prezydenta. Nie tylko podważa ona deklarowaną przez niego kilka lat temu i słynną pod wieloma względami niechęć do obcych języków, ale też zawiera trawestację innej frazy ze słownika „dobrej zmiany”: za czasów rządów PiS opozycja za granicą „donosiła na Polskę”, teraz naganne jest, jego zdaniem, „chwalenie się” (wygląda na to, że Polak, będąc za granicą, powinien o Polsce milczeć; byle nie robił tego znacząco). Ale Andrzej Duda ma rację co do jednego: za granicą niektórzy znają historię, także historię ostatnich lat w Polsce, istnieje więc szansa, że w tej bitwie na słowne śnieżki jakoś się połapią. ●

Kto powinien rządzić spółkami skarbu państwa

Fachowcy zamiast tłustych kotów

Trzeba zbudować „chiński mur” między firmami z większościowym udziałem państwa a politykami.

Witold Gadomski



Przed kilkunastu laty przeprowadzałem wywiad z Donaldem Tuskiem, który szykował się dopiero do objęcia funkcji premiera. Spytałem, jaki ma pomysł, by spółki skarbu państwa były kierowane przez fachowców, nie partyjnych nominatów. Odpowiedział, że jedynym skutecznym pomysłem jest sprywatyzowanie spółek i oddzielenie ich w ten sposób od ingerencji politycznych.

Lecz prywatyzacja za rządów PO-PSL przebiegała coraz wolniej, a za rządów PiS więcej spółek znacjonalizowano, niż sprywatyzowano. Ponad 20 spółek zostało uznanych za strategiczne, co w praktyce oznacza, że państwo nie zamierza ich nigdy prywatyzować. Premier wprawdzie zapewnia, że nie pozwoli, by politycy suflowali mu swoich kandydatów do rad nadzorczych i zarządów, jednak w praktyce może być różnie. Dlatego należałoby stworzyć transparentny mechanizm nominowania i awansowania menedżerów spółek skarbu państwa.

Aż 12 z 30 największych spółek giełdowych jest kontrolowanych przez skarb państwa. Niemal we wszystkich – z wyjątkiem Polskiej Grupy Energetycznej SA – państwo ma udziały mniejszościowe. W Orle nie ma 49,9 proc. (kontrolowana przez państwo OFE PZU Złota Jesień ma 3,02 proc.), ale w KGHM tylko 32 proc., a wraz z funduszami pośrednio kontrolowanymi przez skarb państwa – 38 proc. Tymczasem spółki te traktowane są przez rząd jako własność państwa i podejmują wiele działań nieuzasadnionych z punktu widzenia biznesu – od sponsorowania mediów do sprowadzania z Chin maseczek antycovidowych. Specjaliści od zarządzania podkreślają znaczenie społecznej odpowiedzialności biznesu, a także zrównoważonego rozwoju, lecz najważniejszym zadaniem zarządów spółek, zwłaszcza giełdowych, jest dbanie o interesy akcjonariuszy.

Prywatni akcjonariusze spółek kontrolowanych przez skarb państwa są rozproszeni, zwykle posiadają mniej niż 5 proc. akcji, a więc często pozostają anonimowi i biernie pozwalają na to, by nieposiadający większości inwestor, jakim jest skarb państwa, podejmował w ich imieniu decyzje zarówno o strategii spółki, jak i o obsadzie zarządu. Niektórzy prywatni akcjonariusze mają swoich przedstawicieli w radach nadzorczych, ale większość z nich jest mianowana przez ministra odpowiedzialnego za spółkę. Ta bierność wynika częściowo z oportunizmu – prywatni akcjonariusze, przede wszystkim fundusze emerytalne lub inwestycyjne, którzy lokują aktywa w wielu spółkach, nie interesują się ich zarządzaniem. Wolą też nie wchodzić w konflikt z rządem.

Bierność wynika także częściowo z istniejących regulacji, zniechęcających posiadaczy

małych udziałów do wtrącania się w sprawy spółki.

Aby zachęcić mniejszościowych akcjonariuszy do aktywności, w tym kontrolowania zarządu, należałoby wprowadzić do kodeksu spółek handlowych przepis zakazujący udziałowcom niemającym większości akcji – nie tylko skarbowi państwa – posiadania większości członków rad nadzorczych. Drobni akcjonariusze, zwykle mający mniej niż 5 proc. akcji, wybieraliby własnych przedstawicieli w radach. W praktyce oznaczałoby to, że o obsadzie zarządów spółek kontrolowanych dziś przez skarb państwa decydowałiby prywatni, rozproszeni akcjonariusze, nie politycy.

Ze statutu spółek należałoby wyrzucić zapisy sprzeczne z kodeksem spółek handlowych. Chodzi np. o zapis wprowadzony przed kilkunastu laty do statutu PGNiG, przewidujący możliwość realizacji strategicznych przedsięwzięć inwestycyjnych, trwale lub przejściowo pogarszających efektywność ekonomicznej działalności spółki, lecz koniecznych dla zapewnienia bezpieczeństwa energetycznego Polski. Zapis ten umożliwia ręczne sterowanie PGNiG przez skarb państwa, z oczywistą szkodą dla mniejszościowych inwestorów.

Rząd powinien też przypomnieć sobie o otwartych funduszach emerytalnych, które wciąż są ważnymi inwestorami giełdowymi. W grudniu 2023 r. posiadały aktywa o wartości 208 mld zł, z których korzystać będą przyszli emeryci. OFE po zmianach regulacji wprowadzonych w 2012 r. inwestują przede wszystkim w akcje spółek giełdowych, ale obowiązujące przepisy nie zmuszają ich do konkurencji. W ubiegłym roku na giełdzie trwały zwyżki, więc aktywa OFE powiększyły się o przeszło 30 proc., lecz większych różnic w rentowności między nimi nie było. Trzeba zliberalizować przepisy, tak by OFE i inne podmioty walczyły o oszczędności emerytów, a tym samym dbały o wartość posiadanych przez siebie akcji i o jakość zarządzania spółek. Uwolnienie spółek od politycznej kontroli i nadmiernych regulacji spowodowałoby wzrost wartości akcji, na czym skorzystaliby drobni akcjonariusze, a także przyszli emeryci.

Państwo ma prawo realizować za pomocą spółek swoją politykę gospodarczą poprzez tworzenie regulacji, nie ręczne sterowanie lub wydawanie poleceń zarządowi.

Aby zapewnić profesjonalny zarząd w spółkach, w których skarb państwa ma 100 proc. udziałów, trzeba zbudować „chiński mur” między spółkami a politykami. Zacząć należy od wybrania w jawnym przetargu prywatnego podmiotu wyspecjalizowanego w zarządzaniu kadrami, którego zadaniem byłoby stworzenie zasobu kadrowego – kandydatów do zarządów i rad nadzorczych. Wybrana firma oceniałaby dokonania potencjalnych kandydatów, formalne wykształcenie, a w niektórych wypadkach przeprowadzałaby egzaminy. Przepustką do zasobu nie może być świadectwo ukończenia kursu dla członków rad nadzorczych lub dyplom MBA, gdyż ich poziom jest różny – od bardzo wysokiego do bardzo niskiego. Minister odpowiedzialny za daną spółkę ogłaszałby konkurs na stanowiska w zarządzie i w radzie nadzorczej, w którym udział brali by wyłącznie menedżerowie należący do zasobu. Samo członkostwo w nim nie wiązałoby się z wynagrodzeniem. Ubiegać się o nie mogliby menedżerowie polscy i zagraniczni.

Firma dająca przepustki do zasobu kadrowego otrzymałaby kilkuletnią licencję z możliwością przedłużenia na kolejny okres, ale tylko raz. Corocznie byłaby oceniana przez organizacje pozarządowe (np. organizacje pracodawców i związki zawodowe wchodzące w skład Rady Dialogu Społecznego), czy przestrzega zasady merytorycznej rekrutacji do zasobu. Ewentualna negatywna ocena wiązałaby się z karami finansowymi lub z rozwiązaniem z nią umowy. ●

Adam Michnik poleca **Czytajmy Józefa Wittlina**

ORFEUSZ NIE CHCE OPUŚCIĆ PIEKŁA

FOT. NAC



• Zjazd Poetów w Pławowicach, rok 1928. Józef Wittlin stoi drugi z lewej, obok Antoniego Słonimskiego. Od lewej siedzą: Emil Zegadłowicz, Leopold Staff, Jarosław Iwaszkiewicz, Jan Lechoń, Zofia Starowieyska-Morstinowa, Paul Cazin, Julian Tuwim, Maria Morstin-Górska, Maria Pawlikowska-Jasnorzewska. Z tyłu stoi Ludwik Hieronim Morstin.

Prawda – nic tak jak to słowo nie ekscytuje pisarza. Nic tak nie izoluje od okrucieństwa i tępoty

Marek Zaleski*

Był polskim pisarzem, Żydem, urodził się w roku 1896 w Dmytrowie w Małopolsce Wschodniej, która podówczas należała do Austro-Węgier. Zmarł w Nowym Jorku w roku 1976. Podobnie jak o cztery lata młodszy Aleksander Wat wstąpił na ochotnika do formujących się polskich legionów, a po wojnie w zakończeniu niewielkiej książki „Wojna, pokój i dusza poety” wznosił arcykowski toast „Kochajmy się!”. Pisał wspaniale o poetach Skamandra, „Panu Tadeuszu”, ostatnim królu Polski, Kościuszcze i literaturze niemieckiej, francuskiej, ale także o tej powstającej w Rosji sowieckiej. Latami pracował nad książką o św. Franciszku. Przed epoką zapoczątkowaną przez procesy moskiewskie przyznawał się do tego, że to, co się dzieje w ZSRR, obserwuje „ze szczerą sympatią”. U schyłku lat 30. po raz kolejny stał się obiektem wściekłego ataku ze strony pra-

sy prawicowej, ale także sanacyjnego Obozu Zjednoczenia Narodowego. Oenerowski poeta Jerzy Pietrkiewicz wezwał w „Polsce Zbrojnej”, aby jako komuś z gruntu obcemu duchowi narodu polskiego zakazać mu druku i zamknąć w Berezie Kartuskiej. Tłumaczył Homera, epos o Gilgameszu, Rilkego (poznał go w Wiedniu), Josepha Rotha (z nim z kolei w Wiedniu studiował i z nim też odsłużył dwa lata w armii austriackiej w czasie I wojny światowej, a potem przyjaźnił się do jego śmierci). Przełożył też „Wilka stepowego” Hermann Hessego, powieść, która kilkadziesiąt lat później stała się książką kultową pokolenia kontrkultury, również w komunistycznej Polsce. Marian Hemar nazwał go „królem neurasteników”. Przyjaciół zamęczał brakiem wiary w wartość swoich pisarskich dokonań, ciągle narzekał na swoje choroby, brak uznania i materialne kłopoty, ale miał też opinię człowieka wspaniale dowcipnego i był odważny – zawsze chodził własnymi drogami.

Po wojnie nie należał do Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i potrafił napisać, że emigracja to „marginesy życia duchowego większości Polaków”, albo przyznać, że Ważyk to „ortodoksyjnie komunistyczny poeta wielkiego talentu”. Drukował w „Kulturze” paryskiej i dość długo wstrzymywał się ze współpracą z londyńskimi „Wiadomościami”, gdzie spotykał przedwojennych prześladowców. Książki Józefa Wittlina, choć wyszły już w Polsce, są dziś trudno dostępne, on sam i jego pisarstwo jest przedmiotem konferencji naukowych, ale nie jest ciągle dostatecznie znane i docenione. Zadebiutował antywojennymi „Hymnami”, które uchodzą za najbardziej udaną realizację poetycką rodzimego ekspresjonizmu, ale to powieść „Sól ziemi”, którą wydał w 1935 r., była jego największym literackim sukcesem. Została przetłumaczona wkrótce na 13 języków. Został zgłoszony do Nagrody Nobla (jego kandydaturę wysunął podob-

no rząd polski na uchodźstwie). We Francji filozof Gabriel Marcel pisał o „Soli ziemi” jako wybitnej powieści, w której „poczucie humoru cudownie spleta się z niewypowiedzianą litością dla nędzy ludzkiej, która sama nie posiada głosu”. Tomasz Mann widział w niej „jeden z nielicznych utworów powieściowych, które mimo nowoczesnej analizy krytycznej sięgają do tego, co jest typowe, a przez to mityczne i epickie”.

Obdarzony wszechwiedzą narrator stylizuje swą powieść na XX-wieczny epos homerycki, tasuje plany opowieści, sięga po toposy biblijne, ale też zderza patos z realistycznym humorem, tragizm z groteską. Wittlin jej bohaterem uczynił niepiśmienenego Hucula, tragarza ze stacyjki kolejowej we wschodniej Galicji, zmobilizowanego na front I wojny. Piotr Niewiadomski (nomen omen) to homerycka postać trzeciego planu, homunculus, „wychodzący z ciemności”, jak czytamy, człowiek przyszłości wyrabiany w trybach nowoczesnej maszyny państwowej subordynującej jednostkę. „Sól...” miała być częścią pierwszą zamierzonej trylogii, ale walizka z fragmentami i notatkami do kolejnych części zaginęła we Francji, w małym porcie w Zatoce Biskajskiej, podczas ucieczki przed Niemcami do Portugalii.

Wielką popularnością cieszył się także esej „Mój Lwów” wydany w formie niewielkiej książki w roku 1946. Był aktem strzelistym miłości do miasta młodych lat, ale też świadomą mistyfikacją: „Bawmy się w sielankę”, napisał. Wittlin jako jeden z pierwszych podkreślał mitotwórczą rolę pamięci. W tym esej nie wspominał o trzydniowym pogromie Żydów, którym bohaterscy mieszkańcy Lwowa przywitani niepodległość. Wcześniej, w eseju „Ze wspomnień byłego pacyfisty”, wyznał, że to zdarzenie przewartościowało cały jego dotychczasowy pogląd na wojnę. Nigdy już potem do tego nie wracał, to było zbyt traumatyczne przeżycie.

Warto tu wspomnieć, że w 1934 r., odpowiadając na antysemicki atak „Gazety Polskiej” i odnosząc się do swego „pochodzenia”, jak napisano, „brudnego żyda”, Wittlin podawał: „Wracając jeszcze do sprawy mego »domu«, mieszkania mojej rodziny we Lwowie, nie są zupełnie nieznane prasie endeckiej. Dwa jej wybitne filary przebywały wszak w takim mieszkaniu w czasie walki o Lwów w roku 1918. Mieszkanie to wówczas zamieniono w prywatny lazaret i nie musiało być tak bardzo brudne, skoro filary, wówczas ranni studenci-żołnierze, pozostający pod opieką Żydówki, nie dostali w nim gangreny, lecz żyją i pracują dzielnie na chwałę Narodowej Demokracji”.

Najbardziej przenikliwy portret Wittlina wyszedł spod pióra Gombrowicza na prośbę redaktora Giedroycia, który w 1962 r. ogłosił w paryskiej „Kulturze” subskrypcję na przygotowywany do druku tom esejów „pocziwego” – jak lubił pisać w listach – Wittlina.

Gombrowicz zysmał się nieco na to zamówienie. Postronnym mogło się wydawać podejrzaną transakcją – wszak Wittlin wcześniej, znowu na prośbę Jerzego Giedroycia zasadnie spodziewającego się skandalu, napisał świetną przedmowę do „Trans-Atlantyku”, „majstersztyk klarownej perswazji i dobroci”, jak kurtuazyjnie nazwał ją Gombrowicz w liście do przedmówcy.

Gombrowicz zadanie wykonał nieco asekuracyjnie, przyprowadzając Wittlina o palpitację i stwarzając niełatwą sytuację samemu Giedroyciowi. Wittlin jest zrozpaczony, donosił redaktor. „Anielskość w szlafmocy, prawie jak z Dickensa, zblała i kwękająca, z kośćmi zacna...” – pisał Gombrowicz i przedstawiał Wittlina jako pisarza rozbitka, któremu skończył się jego świat.

Wszakże portret posiadał swój rewers. Przyszłego autora „Orfeusza w piekle XX wieku” przedstawiał jako mieszcza-niną, któremu usunęło się spod nóg jego mieszczaństwo”. „Wittlin, w moim pojęciu,

to demonizm mieszczański”, pisał, upatrując w nim pisarza, który nosi w sobie piekło. Neurastenik, który dzięki swojej chorobie stał się artystą, owładnięty katastrofą własnego świata, wisi nad przepaścią, przed samym sobą udając, że lina ratunkowa, której się schwycił (Wittlin w 1953 r. dokonał konwersji na katolicyzm), zwisa z nieba, które jest puste. „Dotarł przez własną chorobę i przez Hitlera i, dodajmy, poprzez swoje żydowskie dziedzictwo – do samego kresu nocy”.

Urazowość Wittlina, przekonanego, że Gombrowicz traktował go instrumentalnie, sprawiła, że poczuł się wystawionym mu konterfektem bardzo dotknięty. Jak pisał w listach do Giedroycia i samego Gombrowicza: urodził się i wychował na wsi, gdzie jego rodzice zarządzali (nie swoim) majątkiem, do mieszczaństwa zawsze czuł odrazę.

Tu Wittlin wcale się nie krył. Jeszcze przed wojną, solidaryzując się z Tuwimem, nieraz z pogardą pisywał o polskich „strasznych mieszczańach”. W wywiadzie dla „Expressu Porannego”, odpowiadając na pytanie o upadek kultury mieszczańskiej, zwracał uwagę, że wprawdzie cywilizację naszą można ze stanowiska kultury umysłowej nazwać rzymsko-chrześcijańską, a ze stanowiska społecznego mieszczańską, ale u nas – powiedział – „jej upadek byłby kwestią dziesięciu-piętnastu tysięcy ludzi”.

Miał rację, ale nie znaczy to wcale, że Gombrowicz, kreśląc jego portret, przeszarżował. Więcej, uczciwie, choć w swoim stylu („ten rodzaj charakterystycznego dla Ciebie okrucieństwa”, jak pisał mu Giedroyc), oddał przysługę, wydrapując swoim pisarskim pazurem dziurę w wizerunku Józia Biedaczyny, przez którą z sykiem wyleciało morowe powietrze XX wieku. To ono znalazło się w esej o Edgarze Allanie Poem z 1952 r., gdy Wittlin pisał o duchach ofiar Zagłady z Europy Wschodniej błakających się uliczkami przy cmentarzu w Baltimore.

Wittlin był jedną z nielicznych w kulturze polskiej mannowsko-proustowskich postaci wymyślanych całkowicie przez samych siebie i na przekór okolicznościom. Zdaniem Gombrowicza był wyznawcą antycznej „miary” dlatego, że był sam „anarchią i rozpaczą”. Była w nim dzielność człowieka, który żyjąc w katastrofie, za wszelką cenę chce zachować integralność, więc dyscyplinuje się, bo jedynie poręki upatruje w lojalności wobec samego siebie. W tym Gombrowicz się nie mylił.

Wskazałbym tu jeszcze jeden trop czynny w jego życiu i pisarstwie tak podmianowanym rozpaczą. Demonizm Wittlina – jeśli trzymać się gombrowiczowskiej kwalifikacji – ma także dodatkowy wymiar i charakter. Przywodzi niekiedy na myśl ironicznie opisaną przez Kierkegaarda kondycję zrozpaczonego, kogoś, kto lubuje się w swej rozpacz: delektując się swoim nieukontentowaniem i pięknem własnej porażki, nie chce być uleczony, chce pozostawać w tym stanie na przekór staraniom innych, mimo wszystko. W ten sposób utwierdza się w przekonaniu, że sprawuje kontrolę nad sobą i więcej: żyje w swojej prawdzie.

To demonizm zdaniem filozofa niepozbawiony komizmu, bo owo „mimo wszystko” przyjmuje postać nieokreślonego wektora: czy to dobry, czy zły wybór, zawsze czyniony na przekór sobie. W tym, co pisał Wittlin, zawsze czaiło się niewypowiedziane, ale stale obecne „mimo wszystko”.

Orfeusz z tytułowego esaju wydanego przez Giedroycia tomu nie chce opuścić piekła i dziś „woli światło elektrycznych żyrandoli od słonecznego blasku swego ojca, Apollina”. Pomaga nam „pokonać czas, który nieuchronnie wiedzie do śmierci”, choć wie o daremności swego przedsięwzięcia: uluda trwa tylko chwilę.

Wittlin przez niemal całe życie poprawiał swój przekład „Odysej”. Pierwsze fragmenty przetłumaczył w połowym lazare-

cie na jednym z galicyjskich frontów I wojny, trzecie wydanie ukazało się w roku 1957. Praca nad przekładem to były ciągle ponawiane śluby złożone kiedyś „du holde Kunst” [szlachetnej sztuce]. Ale może „Odyseja” towarzyszyła mu całe życie, bo sam odnajdywał pułapkę swego losu w figurze Odysseusza?

Odyszeusz rezygnuje z nieśmiertelności, ale nigdy nie rezygnuje ze swojej samotności będącej siostrą wolności, która do celu często prowadzi przez manowce. To Odyszeusz – powiada pisarz Roberto Calasso – „w porywającym szybowaniu swojej inteligencji doprowadził po raz pierwszy do tego, że pośrednie zatriumfowało nad bezpośrednim, zwlekane nad rozstrzygnięciem, umysł pokrętny nad prostolinijnym porywem. Wszystkie cechy, jakie przez wieki przypisywano kupcowi, cudzoziemcowi, Żydowi, aktorowi, Odyszeusz wcześniej wypracował w głębi siebie.

Najwyżej cenił takie okoliczności, w jakich ani arystokratyczna szczerłość, ani demokratyczna wolność słowa nie były stosowne. Wiele wieków później takie okoliczności okazały się czymś normalnym, ale w czasach Odysseusza było to jak jasnowidzenie udzielone tylko komuś, kto wiele lat błąkał się między niebem a ziemią.

W ten sposób, podczas gdy Achilles i Agamemnon rysują się w pamięci jako relikty dawnego istnienia pochłoniętego przez katastrofę, Odyszeusz pozostaje wciąż kimś swojskim, wciąż niewidzialnie nam towarzyszy. Ta jego obecność, której on sam nie chciał w jej bezpośredniości, została odzyskana w biegu pamięci i historii. Achillesa trzeba przyzywać – Odyszeusz jest wciąż obok nas, wszędzie i mimo wszystko” (przeł. Stanisław Kasprzysiak).

„Każdy z nas wszędzie w Europie będzie w domu. Będziemy mogli w zimie kąpać się w »naszym« Morzu Śródziemnym lub jeździć na nartach w »naszych« Alpach. Anglicy za to przyjadą do »swego« Zakopanego”. Tak pisał Wittlin. **W 1931 roku!**

Wittlina, podobnie jak jego przyjaciela Bolesława Micińskiego, pewnie to fascynowało. Ale i przyprawiało o zawrót głowy, który – inaczej niż Gombrowicz – odchorowywał. Lepiej czuł się w bezpośredności z samym sobą i wołał sytuować się tam, gdzie – jak chciał wierzyć – pozostawał najbliższej prawdy. Prawdy, która uosabiała mądrość bogini Ateny. Spadkobiercy Odysusza wciąż milcząco rozmawiają z Ateną – pisze Calasso. Wittlin robił wszystko, żeby w twarzą Ateny nie zobaczyć twarzą Meduzy. Bogowie i boginie, zwłaszcza ci z XX wieku, lubili przebieranki.

„Prawda – nic tak jak to słowo nie ekscytuje pisarza. Nic tak nie izoluje od okrucieństwa i tępoty” – mówił Wittlin w 1936 r. w wywiadzie dla „Wiadomości Literackich”, ale czy znaczy to, że wybrał żywot człowieka pocziwego? Jeśli już, to takiego, który na co dzień współżył z demonami, choć się z tym nie afiszował.

W kapitalnym esej „Pusty teatr” w 1924 r. pisał, że największą tajemnicą jest dla człowieka jego twarz w swojej wła-

snej nagości, gdy objawia mu się wiedza, że jest obcy samemu sobie: „Cichną wówczas języki, ale głośniejsza zaczyna bić serce i dreszcz przechodzi nasze ciało, a od tego dreszczu mroczniejsze nam w głowie”. Bardzo to gombrowiczowskie.

Również na początku jego drogi pisarskiej możemy u niego przeczytać: „Przechodząc na świat, mamy już przygotowany cały garnitur prawd moralnych i amoralnych, w które a priori musimy się ubrać”. Także o uczuciu znieswojenia, kiedy to „nawet najblaszsze zjawiska codzienne jawią się, jeżeli im się przyjrzeć z bliska, w postaci zagadki”.

Czy nie otwierało to drzwi do jakiejś wielkiej intelektualnej przyjaźni? W swoim dzienniku Gombrowicz pisał o „cichej burzy Wittlinów w Wittlinie”, o „wrzeniu na pozór jakże ukladnego wulkanu”. W korespondencji Gombrowicza z Wittlinem autor „Pornografii” nie był zdawkowy, odsłaniał się ze swoim własnym, jak pisał, demonizmem. Był kusicielem. Chciał, by niedoszły przyjaciel zdjął z wątlego ciała nazbyt ciężką zbroję albo inaczej: zrezygnował z wybranej przez siebie „gęby” i pozwolił zbuntować się Wittlinowi w Wittlinie.

Prowokował czy podejrzewał w nim bratnią duszę? Trzeba tu powiedzieć: nigdy Wittlinowi to się nie udało. Jego przepaść była przepaścią wzywającą przepaści, ale na jej skraju rosły piękne kwiaty, które sadził wierny ogrodnik. Jak zawsze. Mimo wszystko.

„Dziwaczne gusła czyni./ świat wokół niego robi się coraz bardziej pusty./ a on na tej pustyni/ wolnymi głosi usty/ pochwałę wolnych ust” – pisał w niedrukowanym za życia wierszu. Ale czy w tej najlepszej może w poezji polskiej definicji kondycji po-

ety na wygnaniu nie słychać skargi niepokieszonego, który, gdy nikt tego nie widzi, prawdziwy dla samego siebie, może się śmiać z własnego dramatu?

Był cywilizacyjnym pesymistą, który przed wojną żył w Polsce jak Europejczyk i wierzył w Europę. Tak jak w młodości we Lwowie nie mógł się obejść bez prasy wiedeńskiej, tak później, w warszawskim domu przy ul. Szustra (dziś Dąbrowskiego), bez paryskiej „La Nouvelle Revue française”.

Do połowy lat 30. odbył po Europie liczne podróże, w które – jak pisał – wyruszał na „spotkania z radością”. Publikował z nich świetne literackie reportaże w „Tygodniku Ilustrowanym” i w „Wiadomościach Literackich”.

Czytelnik artykułu z 1931 r. „Europa przeciwko ojczyznom” ma dziś wrażenie cudownego anachronizmu, podróży wehikułem jasnowidzenia:

„Każdy z nas wszędzie w Europie będzie w domu. Będziemy mogli w zimie kąpać

się w »naszym« Morzu Śródziemnym lub jeździć na nartach w »naszych« Alpach. Anglicy za to przyjadą do »swego« Zakopanego pić wódki »swego« Baczewskiego. Żaden celnik nie będzie już gmerał w naszych walizkach, będziemy palili »krajowe« papierosy Laurensa. Będziemy jedli »nasze« pomarańcze, figi, winogrona i nareszcie będziemy pili »własnego« szampana.

Każdemu wolno będzie być dumnym z tego, co uczynili inni ludzie, już nie tylko w obrębie własnych granic, lecz na obszarze całej Europy. Z dumą będziemy oglądali w kaplicy Sykstyńskiej freski »naszego krajana« Michała Anioła. Nareszcie i Niemcom będzie wolno twierdzić, bez niczyjej obrazy, że Kopernik i Wit Stwosz to »ich« ludzie. Zagadnienie polskości Conrada nikogo już nie będzie interesowało. Za zbrodnie popełnione i osądzone w Toledo będzie można siedzieć w polskich kryminalach i na odwrót.

Jedno tylko niebezpieczeństwo zagraża tej koncepcji ziemskiego raju: za dużo turystów będzie na świecie, tak iż może zabraknąć wagonów na przewóz bezrobotnych, którzy w poszukiwaniu pracy jeździć będą z jednego końca swojej nowej ojczyzny na drugi: z Marsylii do Rygi”.

Co jeszcze zaskakuje: autorem omawianej w artykule z entuzjazmem książki był Pierre Drieu la Rochelle, wtedy jeszcze liberal-paneuropeista, a wkrótce fanatyczny faszysta, który oskarżony o kolaborację z Niemcami ukrywał się po wyzwoleniu Francji, zanim popełnił w 1945 r. samobójstwo.

Po wojnie Wittlinowi pozostała tylko Ameryka, do której dostał się podobno z listy Tomasza Manna i do której dotarł już w styczniu 1941 r. przez Portugalię i Francję, gdzie przed wybuchem wojny przebywał na stypendium, i do której udało mu się sprowadzić żonę z córeczką.

Do Ameryki miał stosunek ambiwalentny. Była dla niego krainą wielkiej samotności, czuł się w niej ciągle patriotą swojej Europy i chociaż doceniał demokratyczny potencjał amerykańskiego społeczeństwa, oburzała go segregacja rasowa i bezduszość, z jaką traktowano tu kwestię nierówności społecznych. Wracały też do niego stare lęki. Już z okopów I wojny wyszedł pełen złych myśli. „Bardzo możliwe, że przyszła religia człowieka będzie religią amoralną, a-etyczną religią uświadomionego zła” – pisał w eseju „Barbarzyństwo” i ta wrażliwość znalazła swój zapis w debiutanckich „Hymnach”. Wielka wojna narodów była hekatombą ofiar i moralną klęską ludzkości.

Na początku lat 20. propagował idee pacyfizmu, ale dalsze wydarzenia jedynie jego pesymizm gruntowały. „Żyjemy w aurze nowej wojny (...) niby w jakiejś koszarnej poczekalni katastrof” – pisał w 1936 r. w artykule o nowym wydaniu „Soli ziemi”.

Jeśli I wojna w jego ocenie była tragedią cywilizacji, która wprowadziła standaryzację i reglamentację ludzkiego życia i zaprzęga kulturę do rydwanu wojny, czyniąc pisarzy koryfeuszami kultu śmierci, to II wojna stanowiła krach tejże cywilizacji: unaoczniała zbrodniczość władzy człowieka nad samym sobą; władzy, której człowiek jeszcze w pełni nie posiadał, a która już wymknęła mu się z rąk i zwróciła się przeciwko niemu samemu.

Zagłada Żydów, o której dowiedział się, już przebywając w Ameryce, zrujnowała resztki wiary Wittlina w ludzką solidarność (i o solidarności ludzkiej, i o zagładzie Żydów napisał kilka najdonioślejszych w poezji polskiej wierszy). II wojna była tyleż katastrofą kultury, co jej wytworem, przekonywała go nie mniej niż „Odyseja” o ciągłości natury ludzkiej z jej przyrodzonym złem. Żyjemy w świecie Weimaru i Buchenwaldu, Luvru i obozów koncentracyjnych, pisał w jednym z powojennych esejów.

Ciekawe, że mimo filozoficznego i cywilizacyjnego pesymizmu nigdy nie opuszczała Wittlina wiara w wartości demokratyczne czy empatia wobec bliźnich. To jeszcze jeden przejaw częstego u niego

anachronicznego mieszania porządków poetyk i wartości, mających za podłoże nieoczekiwane mutacje filozofii „mimo wszystko”, tym razem pomocnego w wyborach lepszego przeciwko gorszemu:

„Słowo »ludzkość« dajemy w cudzysłowie, bo któż dzisiaj wymawia je bez ironii? (...) i być może słowo »ludzkość« w tym znaczeniu, w jakim używali go humanitarysty, jest dziś tylko archaizmem. Archaizujmy zatem świadomie”, pisał po śmierci pisarza Henriego Barbusse’a.

Takie teksty jak „Hymn o łyżce zupy”, „Ostatnia instancja” o niespodziewanej wizycie, jaką złożyli mu dwaj bezrobotni, ufnie w siłę sprawczą „literata”, albo „Włodarczyk nie dojechał” o dozorczy domu prezydenta Starzyńskiego, którego jakoś nie można spotkać w Paryżu wojennych uciekinierów, czynią go właściwym autorem przedmowy do wydanej podczas wojny w Nowym Jorku antologii polskiej myśli demokratycznej. I świetnie uwiarygodniają jego słowa z wydanej w 1956 r. w Londynie broszury „Dlaczego nie wracamy” o tym, że powrót do kraju, w którym pisarzem powodzi się doskonale, nie kusi go, dopóki robotnikom w Polsce jest źle.

Autor głośnej, ale zapomnianej powieści i garści wierszy wydanych dopiero po śmierci był znany głównie jako eseista i publicysta literacki. Paryska edycja jego tekstów w tomie „Orfeusz w piekle XX wieku” i jej późniejsze krajowe wydania tę pamięć utrwaliły. Skądinąd słusznie, bo Wittlin był świetnym eseistą. Giedroyc skarżył się Gombrowiczowi, że od Wittlina „wydobycie eseju wymaga dwóch lat starań i około 89 listów. Potem dostaję esej na inny temat, ale zawsze znakomity”.

Czytelnika uderza jego erudycja, ale nie tylko: Wittlin był znakomicie obeznany z rzeczami, które wtedy wchodziły do intelektualnego obiegu, a i z książkami liczącymi się podówczas krytyków, religioznawców, filozofów. Pisząc o mitologii Tuwima, przywoływał poglądy, które głosił Károly Kerényi, zajmując się nowszą poezją, odwoływał się do poglądów guru krytyków amerykańskich Denisa Donoghue, w esejach o Gogolu przywoływał Flauberta poprzez rozważania Alberta Thibaudeta, a gdy pisał o obsesji śmierci u Lechonia, cytował Maurice’a Blanchota.

Jego literackie gusta również świadczyły o tym, że nie był zakładnikiem samego siebie z czasów młodości. W 1937 r. opowiadał się w „Wiadomościach Literackich”



FOT. KAROL SEREWIS/EAST NEWS

*Marek Zaleski

- ur. w 1952 r., profesor nauk humanistycznych. Do 2023 r. pracownik IBL PAN. Był członkiem jury Nagrody Literackiej „Nike” (w latach 2018-19 przewodniczący). Ostatnio wydał „Intensywność i rzeczy pokrewne”, Warszawa 2021

Józef Wittlin, „Orfeusz w piekle XX wieku”, t. 1-2, Kraków 2021; tenże: „Teksty rozproszone”, t. 1-2, Kraków 2022



za nagrodą dla „Ferdydurke”, potem do nagrody londyńskich „Wiadomości” zgłaszała Mariana Pankowskiego, „Pornografię”, a następnie „Dziennik 1966-69” Gombrowicza, Miłosza, wreszcie Mrożka.

Wszystko to sprawia, że eseistyka Wittlina okazuje się dziś jego opus magnum. Wypada więc docenić dokonaną przez krakowski Instytut Literatury dwutomową reedycję „Orfeusza w piekle”, obszerną oraz dwutomową edycję tekstów rozproszonych z lat 1919-75, z których kilkadziesiąt, jak czytamy w przedmowie autorki ich opracowania Katarzyny Szewczyk-Hake, to teksty dotąd nieznane i nieprze-drukowane.

Oprócz esejów mamy tu rzeczy bardziej publicystyczne, recenzje literackie i teatralne, okolicznościowe pożegnania i wspomnienia o zmarłych, odpowiedzi na ankiety itd., itp. Tu autorka niewątpliwie dokonała wielkiej pracy, choć szkoda, że nie skonsultowała się z wcześniejszymi wydawcami Wittlina po 1989 r., choćby z Pawłem Kądziałą, i nie zamieściła tych (co najmniej kilkunastu!) tekstów, które na przestrzeni ostatnich lat udało im się odnaleźć.

Myślę tu chociażby o artykule „Głos postronnego pisarza w sprawie brzeskiej”, drukowanym w 1931 r. w „Robotniku”. Wittlin, pisząc o stosowanych w więzieniu wobec przeciwników politycznych torturach, rozprawia się z mitem Polski Bezgrzesznej. „Z czynów brzeskich mogłaby literatura wyciągnąć podobne wnioski o duszy naszej, jakie wysnuwała, gdy chodziło o duszę rosyjską”, powiada.

Jest jeszcze coś innego, co psuje przyjemność lektury. Instytut Literatury, znany dotąd z wydawania za duże dotacje od ministra kultury książek niekoniecznych i literaturopodobnych, również pisma Wittlina wydał w ohydny, broszurowym formacie, te cztery „cegły” trudno doprawdy wziąć do ręki.

Szkoda, że Wittlinowi przypadł w udziale taki los, bo czytane dziś pisma autora eseju „Blaski i nędze wygnania” stanowią imponującą panoramę literacką wieku XX i nie tylko. W jego tekstach ciągle można znaleźć coś dla siebie. Warto dziś czytać Wittlina, nawet w wydaniu krakowskiego Instytutu Literatury. Znowu: mimo wszystko. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Józef Wittlin

Litania

*O wszystkim, co się teraz dzieje – milczę.
Milczę o moich bliźnich poniżeniu.
Milczę o bliźnich moich pohańbieniu.
Milczę o Polsce po śmierci Marszałka,
O głodzie głodnych, o sytości sytych,
O wszystkich w boju nierównym pobitych.
Milczę o nędzy wsi i doli chłopów.
Milczę o nędzy miast i bezrobociu.
Milczę o mroku w duszach gnębieli.
Milczę o mroku w duszach pognębionych.
Milczę o szczuciu ludzi przeciw ludziom.
Milczę o biciu bezbronnych i słabych.
I o istnieniu Berezy Kartuskiej,
I o kajdanach na rękach poety.
(O tobie milczę też, panie cenzorze,
Więc nie konfiskuj mojego milczenia).*

*Milczę o wszystkim, co z mego sumienia
Czyni nieczystą, krwawą, ropną ranę.
Milczę o wszystkim, co gardziel mi dusi.
Milczę o zmorach, które noc mi kładzie
Na sercu pełnym grozy i goryczy.
Z czeluści piekiel, które się rozwarły,
Dusza milczeniem krzyczy.*

*Milczę o wszystkich zbrodniach, które widzę.
Milczę o wszystkich uzbrojonych tchórzach,
O tonach krwi, wylanych nadaremnie.
Milczę o wojnach, które już się toczą.
Milczę o wojnach, co jutro wybuchną.
Milczę o dzieciach w trupiarni Madrytu.
Milczę o lasce bomb i iperytu.
Milczę o wszystkich procesach moskiewskich.
Milczę o diable, co po świecie chodzi.*

*Panie, co sądzisz słowa me i czyny,
Nie karz mnie srogo za moje milczenie.
1937*

Wiersz za: Józef Wittlin, „**Wybór poezji**”, wstęp i nota biograficzna Wojciech Ligęza, WL, Kraków 1998.



CO MNIE URZEKŁO

Modlitwa przez gotowanie

Ryż, soczewicę i mąkę wrzuca się do kotłów workami, warzywa skrzynkami, przyprawy kilogramami, a wodę wlewa się plastikowymi węzami.

PRZEMYSŁAW URBAŃCZYK

I ndie urzekną każdego oprócz tych, których przytłoczy zderzenie wyuzdanego bogactwa z najczarniejszą nędzą. O wspaniałych zabytkach, krajobrazach i smakach tamtejszej kuchni napisano już wszystko, a nawet jeszcze więcej. Nawet najbardziej zadufany w swojej uprzedniej wiedzy globtroter znajdzie tam coś wartego wspomnienia, ale żeby stolówka?!

A jednak to właśnie przyświątynna jałdłodajnia prowadzona na terenie delhijskiej gurdwary (świątyni sikhów) urzekła mnie skalą bezinteresownego poświęcenia masy pieniędzy, czasu i pracy przez ludzi, którzy uważają, że są winni światu praktyczne danie wyrazu swojemu człowieczeństwu.

Tamtejsza gurdwara Bangla Sahib to sakralne centrum sikhów, którzy uczcili pamięć swojego ósmego guru Har Krishana (1656-1664) zbudowaniem pięknego, białego sanktuarium, przykrytego złotą kopułą. W jego centrum spoczywa kopia świętej księgi, której oryginał przechowywany jest w Złotej Świątyni w Amritsarze. Od 1708 r. księga pełni funkcję ostatniego guru sikhów, oferując przypadkowo wybrany-

mi wersami odpowiedzi na nurtujące wyznawców pytania (tzw. bibliomancja). Ta traktowana osobowo „Pani Księga” ma zawierać wszystkie wskazówki godnego życia. Oprócz szeregu wymogów rytualnych (np. zakazu odsłaniania nigdy nieobcanych męskich włosów) i zaleceń godziwego spędzenia życia (np. przez uczciwe wykonywanie każdej pracy) nakazuje ona swoim wyznawcom aktywne działanie na rzecz potrzebujących pomocy i wsparcia.

Toteż w przyświątynnej przychodni można wykonać podstawowe analizy stanu zdrowia za symboliczną sumę 50 rupii, tj. ok. 2,5 zł. Zmęczeni mogą się przespać na pokrytej dywanami podłodze „poczekalni”. Zdrożeni mogą zanurzyć nogi w świętym stawie zbudowanym na miejscu studni, której woda w 1664 r. uwolniła delhijskich od pandemii czarnej ospy. Spragnieni zostaną napojeni, a zgłodniałym będą nakarmieni. Każdy jest mile widziany – nie tylko w świątyni i nad świętym stawem, ale też w jałdłodajni.

Obowiązek bezinteresownej służby innym (sewa) przybiera w świątyniach sikhijskich niesamowite rozmiary. Jak wszystko w Indiach, również te stolówki (langar) przekraczają swoją skalą wyobrażenia przeciętnego Europejczyka. Klimatyzowana delhijska jadalnia może równocześnie pomieścić kilkaset osób. Nikt ich nie pyta o wyznanie czy o stan majątkowy. Muszą być tylko schludnie i skromnie ubrani (ubiór zakrywający całe ciało oprócz twarzy, dłoni i obowiązkowo bosych stóp) oraz wysłuchać przed posiłkiem śpiewnego wspomnienia jednego z dziesięciu sikhijskich guru.

Siadają ciasno na przykrywających podłogę chodnikach w długich rzędach, między którymi poruszają się roznosiciele po-

silków. Najpierw każdy „stolownik” dostaje stalową tacę z kilkoma wytłoczonymi zagłębieniami. Wkładane są do nich placki roti oraz roznoszone w metalowych wiadrach dania dnia – najczęściej gęsta zupa z soczewicy (dhal), ser paneer w sosie pomidorowym, wegetariańskie curry (np. aloo matar, kadhi chawal), smażone warzywa w cieście (pakora) i słodki ryż z mąką ugotowany w mleku (kheer). Starannie opróżnione tace (nic nie może się zmarnować!) oddaje się przy wyjściu, skąd przewożone są do myjni. Po wyjściu każdej grupy chodniki są zwijane, a podłoga starannie czyszczona i myta.

Fascynujące wrażenie robi zaplecze kuchenne, gdzie uwija się kilkadziesiąt osób – wolontariusze i kilku pilnujących jakości potraw kucharzy. Pracując przez całą dobę, mogą przygotować kilkanaście tysięcy (!) posiłków, wykonanych z kupowanych z dobrowolińskich składek najwyższej jakości produktów, które są cały czas dostarczane do wielkich magazynów, z których niemal od razu ładują w kuchni. Skala tej stolówkowej produkcji stanowi imponujące wyzwanie logistyczno-organizacyjne, którego uczestnicy wyraźnie czerpią ze swojej pracy satysfakcję, bo przyjaźnie uśmiechają się do ciekawskich podglądaczy.

Nie widziałem nikogo, kto by siedział lub stał beczynnie. Wszyscy mają precyzyjnie wyznaczone obowiązki – noszenie produktów z magazynu, mycie i obieranie warzyw, luskanie zielonego groszku, wyrabianie ciasta na placki, napełnianie wielkich kotłów, w których mieści się po 350-400 kg różnych potraw. Ryż, soczewicę i mąkę wrzuca się do nich workami, warzywa skrzynkami, przyprawy kilogramami, a wodę wlewa się plastikowymi węzami. Do niedawna wszystko to wykonywa-

no ręcznie, mieszając wielkimi „łopatami” zawartość podgrzewaną na paleniskach. Dopiero niedobory personalne spowodowane ostatnią pandemią wymusiły zakup kilku urządzeń – ogromnych garów z mechanicznymi mieszadłami i linii do produkcji 2 tys. placków roti na godzinę.

Została jeszcze linia do ręcznej produkcji placków. Wielkie buły ręcznie wyrobionego ciasta kilkanaście kobiet dzieli na małe kęsy, które są rozwałkowywane na wielkim blacie posypywanym mąką. Stamtąd przenoszone są na sąsiednie stanowisko, gdzie są rzucane na gigantyczną żelazną płytę podgrzewaną gazem. Opieka się je dwustronnie i stopniowo przesuwają na brzeg, skąd ładują w wielkich koszach. Jeszcze tylko trzeba każdy placek maznąć oliwą i wypełniony setkami roti kosz, przykryty utrzymującym ciepło płótnem, jedzie do okna wydawania posiłków.

To wszystko robione jest w temperaturze jeszcze wyższej od upału panującego na zewnątrz. Tę pozornie „katorżniczą” pracę wykonują głównie wolontariusze (trafiają się też Europejczycy), którzy poświęcają swój czas i zdrowie, aby „głodnych nakarmić i spragnionych napoić” – nie słowami, do których na ogół ograniczają się inne religie, lecz świetnej jakości jedzeniem.

Zgodnie z deklaracją sikhizmu w jałdłodajni tak samo jest traktowany zarówno król, jak i żebrak. Wolę Boga spełnia się tam bezinteresownie, praktycznie i bezpośrednio, służąc innym. Trudno o bardziej urzekający swoją humanistyczną determinacją przejaw niewymuszonej chęci niesienia pomocy potrzebującym bez względu na ich wyznanie, pochodzenie czy kolor skóry. ●

A gdy przychodzi po nas Naród? Przerabialiśmy to przez lata. Naród w wersji ideologów władzy był naszym okupantem. Więził nas przemocą, dyskryminacjami i kłamstwem o przeszłości oraz teraźniejszości. I dość skutecznie usidlał; sporo osób dało się wrobić w aprobatę dla zalewających nas frazesów narodowo-patriotycznych.

Nie tylko za sprawą mimikry (z władzą trzeba żyć – to zawsze nośne społecznie hasło), lecz może nawet bardziej wskutek nostalgii za czymś mitycznym, czego nie ma i nigdy nie było.

Ale poza garstką szurniętych ideologów niemal wszyscy ci nostalgicy czy pozoranci odczuwali, że mają do czynienia z fikcją. O czym przekonywało choćby to, że im więcej łajdactw i kłamstw ów Naród-Okupant niósł, tym stawał się w ustach władzy potężniejszy. I jedyny – inne formy narodowej tożsamości władza delegitymizowała. Był więc ten Naród od początku odczuwalną sztuczną konstrukcją, narzucaną odgórnie.

Większość wiedziała bowiem, że realne więzi narodowe, w których żyjemy na co dzień, są inne, mniej inwazyjne i opresyjne. Nie wymagają też najazdu urzędowych narodowych frazesów ani uwznioślenia narodu za pomocą wielkiej litery „N” stawianej przy Narodzie, tym większej, im więcej nieprawości reprezentował.

Jest oczywiste, że PiS chciał stworzyć Naród, wykorzystując najgorsze cechy istniejących narodów. I, również oczywiście, nie stworzył go. Ów Naród pozostał mająkiem władzy, choć różne jego przemocowe praktyki wdarły się do naszych sumień i postaw. Ale i tak po klęsce Narodu w wydaniu PiS – a pod koniec kampanii wyborczej ta partia niczego nie oferowała poza taką narodową wielkością – każda przyszła nacjonalistyczna władza będzie musiała stosować ową fikcyjną konstrukcję rozważnie. Wielkie „N” przypadło, pozostał wieloraki naród, wciąż zmienny i różnicowany.

Skąd jednak upodobanie PiS do Narodu i czasowy sukces tej fikcji? I co to mówi o społeczeństwie i demokracji?

Cenne wyjaśnienia daje Pierre Nora, francuski historyk, jeden z najteższych umysłów swego kraju, badacz, wydawca, dydaktyk, we Francji człowiek instytucja. W latach 80. i 90. Nora wydał zaprojektowane przez siebie gigantyczne dzieło „Les lieux de mémoire” (Miejsca pamięci). Trzy tomy, kilka tysięcy stron, kilkudziesięciu współpracujących badaczy i badaczek, dziesiątki tematów – praca ta, dokumentująca i analizująca francuskie zbiorowe pamięci, odmieniła obraz Francji, jej przemian społecznych, materialnych, politycznych i mentalnych; relacje między różnorodnością i jednością.

Dla nas najwartościowsze są analizy ewolucji narodu, pamięci, tradycji i historii. Odbija się w nich nie tylko Francja, lecz również Polska. Właśnie o tych zmianach traktuje wydany ostatnio w Polsce tom esejów i rozmów Nory „Między pamięcią a historią”.

Gdy czytałem te teksty, miałem w głowie poczucie wielkiego braku i żal, także do siebie. Toż Polacy od pokoleń, a ja/ my od dekad żyjemy pod presją i zwykłych więzi narodowych, i Narodu-Okupanta, choćby w wersji endeckiej. Naród jest więc silnie obecny w naszym życiu, nawykach, mentalnościach, w praktykach władzy.

Jednak ma się znacznie gorzej jako przedmiot namysłu, również wśród osób krytycznych – jak choćby ja sam – wobec różnych wcieleni narodowej ideologii. Jakbyśmy wszyscy, od prawa do lewa i w różnych pokoleniach, nosili w sobie naród znaturalizowany, czyli traktowali więź narodową jako na tyle oczywistą, a przede wszystkim stałą, że niewartą głębszych dociekań.

w wersji Jarosława Kaczyńskiego, czy Grzegorza Brauna (stoją bliżej siebie, niż sądzą).

Co mówi nam więc Nora o naszym narodowym położeniu? Dekady temu klasyczne Państwo-Naród, oparte na trwałych tradycjach i obyczajach, skupione na pielęgnowaniu spójnej zbiorowej tożsamości, zaczęło się przekształcać w Państwo-Społeczeństwo, legitymizujące się już nie przeszłością, lecz wolą okiełznania przyszłości. Zmiany te zachodziły w Europie w różnym tempie, zależnym od stanu demokratyzacji i modernizacji społeczeństw. Ale w końcu wdarły się do wszystkich narodów i przyniosły rewolucyjne skutki.



Owszem, w latach 90. czytałem „Les lieux de mémoire” (choć nigdy w całości, pokonały mnie te erudycyjne i wielowątkowe tomy), ale w rozważaniach o zmienności narodu, pamięci, społeczeństwa nie odczuwałem bliskości z polskimi klimatami i narodowymi zapętlzeniami. Moje narodowe „ja” nie zechciało się poddać analizie.

I nie tylko moje; to była i jest nasza zbiorowa przypadłość. Toż porzuciliśmy w publicznych debatach również nasz rodziemy namysł nad problemami narodu, tradycji, pamięci, zmian zbiorowych tożsamości fundowany, wymienię przykładowo, przez Stanisława Ossowskiego, Witolda Kulę, Ninę Assorodobraj-Kulę, Marię Janion, Jerzego Szackiego czy Jerzego Jedlickiego.

To zapomnienie/wyparcie ma konsekwencje. Gdybyśmy kiedyś poważniej zajęli się tymi kwestiami, trudniej byłoby in-tronizować w Polsce Naród-Okupanta, czy

Prymat społeczeństwa sprawił, że nastąpiło „wyzwolenie” z uwłaszczenia wszystkich mniejszości”. Toteż naród stał się polem starcia wielu mniejszościowych pamięci przeciw świętej, nieruchomej historii ojczyzny. My zaś doświadczamy „zerwania z tym, co wciąż żyło w ciepłe tradycji”. Porzucamy dawne „naturalne” obyczaje, tak polityczne i społeczne, jak kulinarne. Zrywamy z oczywistymi niegdyś hierarchiami, normami czy wyobrażeniami o relacjach międzyludzkich, w tym rodzinnych. W tym sensie historia przyspieszyła: to, co było, „coraz szybciej osuwa się w przeszłość martwą na zawsze”.

A skoro pozrywała się nasza łączność z tym, co minione, miejsce „naturalnie” przeżywanego ciągłości zajmują pamięci czy raczej ich rekonstrukcje. Specyficzne, bo oparte na resztkach i nostalgicznym przywoływaniu ich do życia.

Tym właśnie są według Nory „miejsca pamięci”: resztkami, zastępczymi rytuałami „społeczeństwa pozbawionego rytuałów”, „znakami przynależności grupowej w społeczeństwie, które skłonne jest uznawać tylko jednostki równe i identyczne”.

Miejsca pamięci to nie tylko pomniki, cmentarze, muzea, lecz także archiwa, nazwy ulic, rocznice, kawiarnie owiane legendą, zmitologizowane postacie, parady, uroczystości, pieśni – byty materialne i niematerialne. Łączy je ich sztuczność; to permanentne gry rekonstrukcyjne, żądające społecznej uwagi.

Z czym wiąże się, jak pisze Nora, współczesna „obsesja upamiętniania” i archiwizacji wszystkiego. Bo „pamięć, której nie przeżywamy już od wewnątrz, potrzebuje wsparcia z zewnątrz i namacalnych dowodów na to, że nadal trwa”. Czyli miejsca pamięci, żeby kogokolwiek obchodziły, muszą być żywe, gotowe „na przyjęcie nowych znaczeń”, na legitymizowanie nowych opowieści.

Ktokolwiek chciałby więc pamięć prywatną czy jakiejś zbiorowości oraz jej miejsca zamrozić, jak próbował choćby PiS, przegra. Stworzy tylko martwego, pustego świątka pośród zmiennej rzeczywistości.

To, że przeszłość szybko staje się martwa, oznacza również: jest subiektywnie radykalnie odmienna od naszych doświadczeń. To świat, od którego jesteśmy odcięci. Rządzi więc nami poczucie nieciągłości, a świat jawi się jako pokawałkowany. Tak utraciliśmy, pisze Nora, historię/przeszłość jako „zasadę wyjaśniającą”, doniosłą przez pokolenia i tyleż utrzymującą poczucie sensu oraz naszej spójności w życiu, co trzymającą nas na uwięzi.

Stąd przymus ustawicznego definiowania własnej i grupowej tożsamości. „Obowiązek pamięci czyni nas historykami samych siebie” – zauważa Nora. Na dobre i na złe. Masz więc, czytelniczko/czytelniku, w tym definiowaniu siebie twardo się określać. Być przede wszystkim Francuzką albo Bretonką, Polakiem albo Żydem, albo Ślązaczką. Milenialsem, boomerką albo pokoleniem Z. Kobieta, mężczyzną lub transem itd., itp.

Te eksploracje tożsamości uwalniają; często wydobywają na jaw ukryte, tłumione dotąd historie, osoby, światy. Pozwalają się rozgościć w nieoczywistym doświadczeniu i odzyskiwanej pamięci. A zarazem ów przymus definiowania siebie, bycia „przede wszystkim jakimś” może zamykać nas na odrębne tożsamości i doświadczenia. Skoro już się określiłem i muszę w dodatku ustawicznie to moje samookreślenie potwierdzać, na diabła mi cudze samookreślenia i próby wnikięcia w nie.

W tym sensie ów przymus mocnego definiowania siebie niebezpiecznie kieruje nas w stronę poczucia własnej zupełności. Czyli braku potrzeby dialogu z wszelkimi odmiennostkami. W skrajnej wersji mielibyśmy więc rzeczywistość rozbitą na cząstkowe pamięci i tożsamości, z których każda uznawałaby się za zupełną i niepotrzebującą innych. Cóż, obawiam się, że ta wersja nie jest fantazją. Jesteśmy bliżej niej, niż chcemy widzieć.

Prymat cząstkowych, subiektywnych pamięci, indywidualnych i zbiorowych, oraz procesy demokratyzacji dodatkowo przeorały naród. Jak pisze Nora, mamy do czynienia z trzema nurtami dekolonizacji pamięci i historii.

Jest dekolonizacja światowa, gdy społeczeństwa „pogrążone w etnologicznej drzemce opresji kolonialnej” budują własną świadomość historyczną. Jest wewnętrzna dekolonizacja wszelakich mniejszości w społeczeństwach zachodnich, czyli „potwierdzanie własnej odrębności we wspólnocie, która dotąd odmawiała im tego prawa”. Mamy też do czynienia z dekolonizacją ideologiczną w zbiorowościach uwolnionych z reżimów totalitarnych i autorytarnych, polegającą w dużej mierze, jak w Polsce po 1989 r., na powrocie do tra-

Masz, czytelniczko/czytelniku, twardo się określać.

Być przede wszystkim Francuzką albo Bretonką, Polakiem albo Żydem, albo Ślązaczką. Milenialsem, boomerką albo pokoleniem Z. Kobieta, mężczyzną lub transem itd., itp.

dycyjnej pamięci, wcześniej konfiskowanej i manipulowanej.

Toteż budowanie tożsamości i pamięci jawi się jako obowiązek etyczny we wszystkich społeczeństwach. Kłopot w tym, że choć owe prace nad pamięcią są znakomitym narzędziem roszczeń emancypacyjnych i wyzwolicielskich, to zarazem „pamięć zbiorowa pretenduje do prawdy prawdziwszej, niż oferuje historia”. Prawdy, w której prym wiodą cierpienia, opresje i upokorzenia.

Jednak bez względu na te zagrożenia demokratyzacji i emancypacji społeczne nieodwracalnie zmieniają model idei narodowej. Eroduje przekonanie o nierozrwalnej zależności siły narodu od siły państwa. A „poczucie przynależności narodowej przeniosło się z trybu oznajmującego do trybu pytającego”, „niegdyś pogrążone w żalobnym i defensywnym ofiarnictwie, dziś szuka przyjemności, jest ciekawe, można by wręcz powiedzieć: turystyczne” – notuje Nora.

Sami dobieramy sobie elementy rozmaitych tradycji, czerpiemy z wielości opowieści, mniejszościowych i większościowych; naród uległ wielkiej decentralizacji. W praktyce oznacza to, na przykład, patriotyzm feministyczny lub queerowy. Oba istniejące zarówno w Polsce, jak i na ukraińskim froncie wojennym.

Pluralizacja przynależności narodowej skłania do fundamentalnych pytań. „Co zostanie z Republiki, jeśli pozbawimy ją centralizującego jakobinizmu?... Co zostanie z Narodu, jeśli pozbawimy go nacjonalizmu, imperializmu, wszechmogącego państwa? Co zostanie z Francji, jeśli pozbawimy ją uniwersalizmu?” – pyta Nora. I odpowiada: „Uczenie się siebie”.

To bodaj najważniejsza definicja idei narodowej dla takich społeczeństw jak polskie, w drodze od dawnej formuły narodu do jej nowych wcieleń, ustanawianych przez wielość pamięci, i dawnych, i dopiero wyłaniających się w życiu publicznym. Ta definicja zwraca uwagę zarówno na ustawiczną zmienność narodu, jak i na trwałość tej więzi.

Tyle że droga to skomplikowana, więc łatwo o poplątanie szlaków. Czym bowiem na gruncie pisarstwa Nory był zamysł PiS, by wieloraki naród zastąpić Narodem? Obserwowaliśmy intronizowanie pokracznej hybrydy złożonej ze szczątków subiektywnej pamięci wąskiej grupy trzymającej władzę. Ta mniejszościowa pamięć podawała się za pełne i jedyne

możliwe odzwierciedlenie tego, czym jest rzeczywisty naród.

I jak to pamięć, powtórzę diagnozę Nory, po pierwsze, pretendowała „do prawdy prawdziwszej niż historia”. A po drugie, poświadczała kryzys tradycyjnej idei narodu. Bo taki Naród, jakiego chciał PiS, nigdy nie istniał. Nie było w polskich dziejach spójnej rzeczywistości rządzonej niemal wyłącznie przez Dmowskiego, ONR, katolickie dogmaty, etos „żołnierzy wyklętych”. Naród był tu zawsze bardziej różnorodny i skomplikowany. Toteż hasło „Naród” skrywa tylko manipulacje cząstkowej pamięci. Tworzącej grę rekonstrukcyjną, tyleż mroczną, co groteskową.

Napisałem to w czasie przeszłym, ponieważ skończyła się urzędowa władza Narodu à la PiS. Nie przeminęła jednak jego władza duchowa. I bez złudzeń: nawet w najbardziej sprzyjających warunkach będziemy jeszcze długo doświadczać tej i innych opresyjnych koncepcji narodu.

Musimy więc je rozbrajać. Co oznacza: prowadzić intensywny rozrachunek z obecnymi ideami narodu oraz z różnymi postaciami naszych zbiorowych pamięci. Rozrachunek w duchu sformułowanym przez Pierre’a Norę: tyleż bezwzględny, co empatyczny i przepelniony troską o stan demokracji obywatelskiej. ●

Pierre Nora „**Miedzy pamięcią a historią**”, wybór i przekład Jan Maria Kłoczowski, wyd. słowo/obraz terytoria 2023. Książka już w dobrych księgarniach oraz na stronie wydawnictwa



Arcybiskup z partią, partia z arcybiskupem

Przeczytałam list arcybiskupa Gądeckiego do Kamińskiego i Wąsika i przypomniał mi się fragment z Goethego.

Magdalena Czyż

„Płodna i efektywna ewangelizacja polega na inkulturacji – na twórczym wcielaniu wiary do żywej kultury, do stylu myślenia i życia ludzi. Nadchodząca reforma Kościoła jest reakcją na długotrwały proces, który był czymś przeciwnym ewangelizacji: proces ekskulturacji chrześcijaństwa z naszego świata.

O ekskulturacji możemy mówić tam, gdzie wiara chrześcijańska, ewentualnie jej zewnętrzna forma – Kościół i jego środki wyrazu – tracą wiarygodność, zrozumiałość i płodność. Pewna postać Kościoła staje się wówczas ziarnem, które zamiast samo obumrzeć, aby wydać plon, pozostaje niezmiennione i w efekcie zanika jako beużyteczne” – pisze ksiądz Tomasz Halik, na którego tekst trafiam w „Tygodniku Powszechnym” czekającym na mnie od jesieni.

To wielki tekst wygłoszony w Krakowie 14 września podczas Zgromadzenia Ogólnego Światowej Federacji Luterńskiej. Chwała „Tygodnikowi Powszechnemu”, że go przetłumaczył i wprowadził do polskiej refleksji na temat Kościoła.

Czytałam ten tekst w dniu, gdy usłyszeliśmy o liście arcybiskupa Stanisława Gądeckiego do Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika.

Kardynał Grzegorz Ryś, oceniając list arcybiskupa do jeszcze niedawno osadzonych w więzieniu ministrów, powiedział, że wynika on „wyłącznie z pobudek humanitarnych”. Obawiam się, że ta ocena więcej mówi o szlachetności kardynała Rysia niż rzeczywistych pobudkach arcybiskupa Gądeckiego.

Przewodniczący Episkopatu Polski kończy list do polityków PiS słowami: „Życie każdego z Panów ma wartość dla naszej wspólnej Ojczyzny i może przyczynić się do tego, by czynić ją bardziej sprawiedliwą”.

Trudno o dosadniejszy wyraz zbławotowania przewodniczącego Episkopatu Polski z partią polityczną, którą Kamiński z Wąsikiem reprezentują. Jednocześnie dowód odklejenia od rzeczywistości – i co więcej, od wartości, które jako kapłan katolicki powinien reprezentować.

Duszpasterz, który wstawia się jedynie za osadzonymi w więzieniu sprawcami wielu przestępstw, a „zapomina” o ich ofiarach, duszpasterz, który nie chce dostrzec braku najmniejszej skruchy czy choćby krytycznej autorefleksji co do własnych działań obu skazanych, nie tylko udowadnia, że nie rozumie fundamentów etycznych, na których zbudowana jest religia, której mieni się być jednym z liderów, lecz również zachowaniem walnie przyczynia się do pogrzebania procesu ewangelizacji, o którym pisze ksiądz Halik.

Jakby tego było mało, pisze do nich:

„W pełni rozumiem przyczyny podjęcia tak dramatycznej formy protestu. Protest głodowy jest formą wyrażenia sprzeciwu wobec działań władzy”.

Kiedy to przeczytałam, nie wiedzieć czemu nasunął mi się zapamiętany fragment z „Fausta” J.W. Goethego w przekładzie niezrównanego Adama Pomorskiego:

*Hańba nasamprzód jak się rodzi,
Własnego wstydzi się widoku,
Okrywa się zasłoną mroku,
Nocą na świat wychodzi;
Zabiłoby się ją najchętniej.
Lecz ona rośnie; już i naga
Za dnia pokazać się nie wzdraga;
Choć wcale nie ponętniej
wygląda. Im wstrętniejsza,
Tym na jaw wyjść chętniejsza*

Arcybiskup Gądecki nie pozostał wątpliwości, że zhańbił nie tylko urząd, który sprawuje, lecz również posługę całego swojego kapłańskiego życia. Zapisze się ona w historii polskiego Kościoła katolickiego właśnie słowem „hańba”.

Na pociechę mogę tylko dorzucić, że już w marcu będą wybory nowego przewodniczącego i nowej Rady Stałej Episkopatu Polski. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KRAJ/34295976

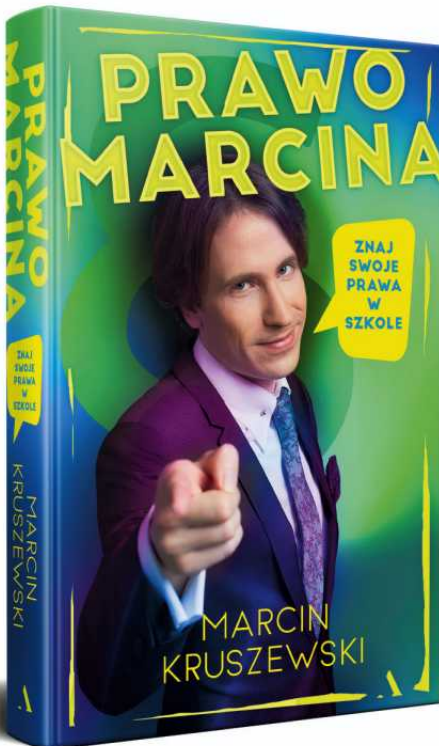


Ta książka ma szansę zakopać pokoleniową przepaść. Drodzy dorośli – czytajcie, słuchajcie i oglądajcie Marcina Kruszewskiego!

ADAM BODNAR,
Minister Sprawiedliwości



**NIE POZWÓL
NA ŁAMANIE PRAW
SWOJEGO DZIECKA
W SZKOLE**



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**



Z **BOGDANEM DE BARBARO***,
PSYCHIATRĄ I TERAPEUTĄ,
ROZMAWIAJĄ **AGA KOZAK** I
PAWEŁ GOŹLIŃSKI

PAWEŁ GOŹLIŃSKI: Przysz-
dłem tutaj jako źle wychowany
syn. Chyba. Może? Choć wła-
ściwie nie jestem pewien, co
to znaczy...

– Ale to brzmi tak, jakby mówił pan
o tym z dumą.

P.G.: Pewnie dlatego, że mój
ojciec dwa dni temu po raz
pierwszy powiedział mi, że mnie
kocha i że jest ze mnie dumny.
Niestety, powiedział to w chwili
jasności w mroku afazji.

– To nie cofa prawdziwości tego wy-
znania. Tym bardziej może być ono
wiarygodne. Czym to było dla pana?

P.G.: Wstrząsem, gdyż przez lata
żyłem z takim poczuciem, że
mój ojciec nie może mi wyba-
czyć tego, kim i jaki jestem, jakie
mam poglądy. Światopoglądowo
dzieliło nas wszystko, bezpiec-
nie mogliśmy gadać co najwyżej
o samochodach. Ale nie będzie-
my przecież rozmawiać o au-
tach. Raczej o ojcach i synach.
O męskości w kryzysie.

AGA KOZAK: Dostrzega pan
objawy tego kryzysu tutaj,
w swoim gabinecie, u pacjen-
tów? Z czym przychodzą do
pana mężczyźni? Istnieje ja-
kaś statystyka?

– Jako terapeuta nie mam jed-
nej odpowiedzi, co najwyżej mo-
gę się schować w banał, że bywa
różnie. Zresztą nie lubię diagnozy
„szufladkowej”: „Aha, to jest pa-
cjent, który zgodnie z klasyfikacją
ICD-10 cierpi na F32.8, więc z te-
go wynika, że terapia powinna być
taka a taka...”, a ten pacjent to na
pewno klasyczny F41.1, więc oczy-
wiście w terapii potrzebne będzie
takie to a takie postępowanie...”.
Dlatego na pytanie, z jakimi pro-
blemami przychodzą do mnie mę-
czyźni, najchętniej odpowiadam:
„Każdy z innym”. To nie unieważ-
nia oczywiście pytania, czy w gabi-
necie terapeuty da się zauważyć,
że mamy kryzys męskości.

P.G.: A mamy?

– To pytanie powinniście państwo
zadać antropologowi kultury czy
socjologowi. Ale nie chcę się wy-
kręcać od odpowiedzi: jakiś wzor-
zec kulturowy, można by go na-
zwać patriarchalnym, przez stule-
cia miał się bardzo dobrze. Ale to się
oczywiście zmieniło wraz z pojawie-
niem się ponowoczesności i z coraz
silniejszym wpływem feminizmu
– tego wczesnego, który domagał
się przede wszystkim sprawiedli-
wego traktowania kobiet, równości
płci. Można by powiedzieć, że wtedy
„pomnik się zachwiał” – oczywiście
pomnik patriarchalnego mężczyzny.
No a z pomników ludzie różnie spa-
dają: jedni z hukiem, inni z gracją.
Czasem sami schodzą, czasem ktoś
im musi pomóc.

A.K.: Są i tacy, którzy się kurczo-
wo trzymają cokółu.

– Oj, bywa, że się trzymają! Męż-
czyźni przychodzą do gabinetu z pa-
trarchalnym przekazem zapisanym
w swojej psychice przez ojców, dzia-
dów, pradziadów. Czyli, jak to się pro-
fesjonalnie określa, kulturową obec-
nością patriarchalnych wzorców
w tzw. mitologii rodzinnej. I trwa-
ją w potrzasku.

A.K.: Jakim?

– Z jednej strony są nauczani przez
pokolenia ojców i praojców, że po-
winni mieć jakąś władzę, a z drugiej
– nie bardzo wiedzą, jak ową władzę
zdobyć, utrzymać i egzekwować.
A jeszcze z trzeciej strony są prze-
cież ich partnerki, żony, córki, któ-
re cały ten koncept męskiej władzy
„z nadania” oprotestowują. Moż-
na więc powiedzieć, że męczyzna
jest dziś w potrzasku między tym,
co mu przekazała tradycja rodzin-
na, a tym, co dzisiaj mówi do niego
świat. I w związku z tym – stosując
język polityki – pójdzie albo bardziej
„na lewo”, albo bardziej „na prawo”.

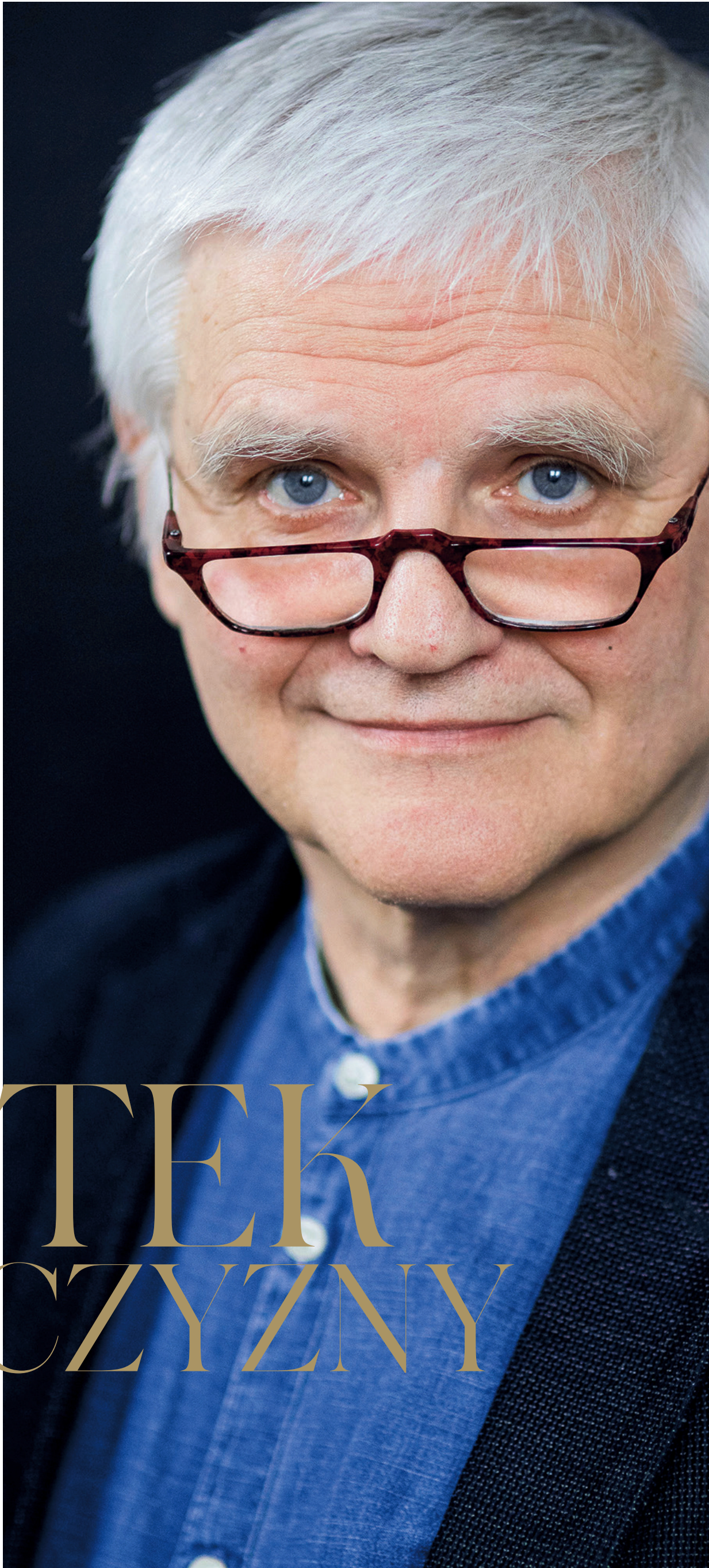
A.K.: A tłumaczyć to na ję-
zyk psychologii?

– Albo pójdzie w rozwój i otwartość
na te zmiany, albo w obronę i nie-
zgodę na te zmiany.

P.G.: Dlaczego tak trudno jest
zejść z pomnika, wybrać rozwój,
ustąpić miejsca kobietom?

– Dlatego, że władza smakuje. I ma-
ło jest ludzi – bo musieliby być nie-

FOT. JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



SMUTEK MĘŻCZYZNY

Zapracowani w korporacjach,
harujący na kredyt mieszkaniowy
nie mają czasu na przyjaźń.

Na intymną – nie erotyczną, lecz bliską, szczerą,
subtelną, otwartą – relację

zwykle dojrzali – którym oddawanie władzy odpowiada. Przykładów dookoła pełno...

A.K.: Strategie owej obrony, tego trzymania się cokołu, mogą być bardzo różne. I to chyba one będą w tej rozmowie kluczowe, bo czym jest rozwój, jakoś rozumiemy: to otwieranie się na głos kobiet, elastyczność w negocjowaniu ról społecznych, uczenie się nowych ścieżek, sposobów postępowania, reagowanie na bieżąco na potrzeby innych, słuchanie, empatia.

– Jak więc mężczyźni reagują na to, że mają zrezygnować z panowania – pytacie? Albo atakiem, albo ucieczką – czyli tak jak ludzie i zwierzęta zwykle reagują na zagrożenia i stres. Jeżeli będą domniemywać, że są silniejsi – będą atakować, żeby zniszczyć tego lub to, co im odbiera władzę. Gdy zobaczą, że kandydat(ka) do władztwa jest silny(-na) – będą uciekać. Oczywiście możliwa jest też reakcja dezorientacji i bezradności. Nie rozumiem, co się dzieje, a wersja, według której mieliby się zgodzić na ustępstwa wobec kobiety, nie pasuje do nakazu kulturowego. Każda z tych reakcji może skłaniać do szukania terapeutycznej pomocy. Oczywiście jak dobrze pójdzie, bo przecież jest jeszcze coś takiego jak „męski honor”, który sprawia, że mężczyźni niechętnie zwracają się o pomoc.

P.G.: Dlaczego?

– A to dlatego, że wpajany jest im „prawdowie męski” przekaz: „Jak sobie sam nie poradzisz, to nikt ci nie poradzi”. Albo „Mężczyzna się nie poddaje, weź się w garść!”. To hasła w gruncie rzeczy bałamutne, bo niezależnie od okoliczności odwołują się do siły. A co, jeśli tej siły nie ma? Przecież sięganie po pomoc nie musi być znakiem słabości, może być wyrazem dojrzałości. Gdy mężczyzna nie sięga po pomoc, mamy więc do czynienia z pogłębiającym się impasem.

P.G.: Co wtedy?

– Dawniej byli jeszcze duszpasterze – ostatnio dewaluowani. Byli też rodzice, którzy coś poradzili, wytłumaczyli. Ale dzisiaj rodzice nie rozumieją się na nowych czasach, więc można się nimi już tylko opiekować. Od wsparcia byli też przyjaciele.

P.G.: Też dawniej?

A.K.: Ze statystyk wynika, że Polak – i jest to ewenement na europejską skalę – raczej nie ma przyjaciela mężczyzny.

– Wcale mnie to nie dziwi. Mężczyźni zapracowani w korporacjach, harujący na kredyt mieszkaniowy nie mają czasu na przyjaźń. Na intymną – nie erotyczną, lecz bliską, szczerą, subtelną, otwartą – relację, więc w sytuacji społecznej, z jaką mamy do czynienia, mężczyznę spotyka osamotnienie. A przecież nawet wtedy nie przestaje działać wykańczająca presja psychiczna, która sączy do ucha: „Masz sam sobie dać radę!”. To z powodu tego przekazu osoby, które zgłaszają się do gabinetów terapeutycznych, to głównie kobiety. Im łatwiej rozmawiać o emocjach, a przecież praca psychoterapeuty z pacjentem odwołuje się do tego, co uczuciowe, emocjonalne, trudne. Co jest cierpieniem. A czy mężczyzna ma prawo się przyznać do cierpienia? Raczej nie.

A.K.: Cierpienia, czyli słabości?

– Cierpienie różnie można rozumieć. To może być objaw medyczny – np. lękowy czy depresyjny. To może być konkret, na przykład: „Nie wiem, jak rozmawiać z synem, żeby nie uciekał się do narkotyków”. To może być konflikt, niepokój, napięcie między mężczyzną a jego partnerką czy dziećmi. Ale w każdym z tych przypadków pracujemy nad tym, żeby dotrzeć do sedna problemów tego człowieka, przyjrzeć się im, zaciekawić nimi.

A.K.: Znam takie psychoterapeutyczne powiedzonko: „Albo ekspresja, albo depresja”. Ale wygląda na to, że mamy raczej to drugie. Bo wydawałoby się, że kultura nagradza „męską” ekspresję – sięganie po władzę, „bycie Rambo”. Z gniewu i agresji czyni wręcz normę. Tymczasem kobiety i sami zainteresowani coraz częściej mówią o tym, że są smutni, depresyjni, że nie podejmują wyzwań, że nawet uwodzić, podrywać im się już nie chce.

– Ucieczka i chowanie się w sobie przybierają różne postacie. Czasami mogą być nawet bardzo ekspresyjne, ale mogą też się skończyć samotnym oglądaniem seriali czy pornografii. Ale mężczyźni może być w końcu tak bardzo smutno, że nawet tego nie będzie w stanie robić. Czasami ktoś to zauważa i mu odpowiada: „Chyba masz depresję”. Wtedy na pomoc przychodzi to, co też jest nowym wzorcem kulturowym, czyli medykalizacja i psychiatryzacja.

– Ucieczka i chowanie się w sobie przybierają różne postacie. Czasami mogą być nawet bardzo ekspresyjne, ale mogą też się skończyć samotnym oglądaniem seriali czy pornografii. Ale mężczyźni może być w końcu tak bardzo smutno, że nawet tego nie będzie w stanie robić. Czasami ktoś to zauważa i mu odpowiada: „Chyba masz depresję”. Wtedy na pomoc przychodzi to, co też jest nowym wzorcem kulturowym, czyli medykalizacja i psychiatryzacja.

P.G.: Co to znaczy?

– To, że dawniej ktoś był „smutny”, a dzisiaj „cierpi na depresję”.

P.G.: Więc nie cierpi?

– Cierpi, nawet bardzo, więc wkracza medycyna. Pomaga, owszem, proponując leki przeciwdepresyjne, choć być może nie jest to optymalne rozwiązanie.

P.G.: Dlaczego?

– Bo gdyby pomoc adresowana była nie tyle do mózgu, ile do umysłu – czyli nie poprzez chemiczne oddziaływanie, tylko oddziaływanie na to, co się w psychice mężczyzny w depresji dzieje – dotknęłoby to przyczyn problemu. I dzięki temu byłoby skuteczniejsze.

A.K.: Słyszę w tej opinii tzw. postpsychiatric, specjalność pana profesora.

– Tak, to podejście postpsychiatryczne, czyli – powiedziałbym w skrócie – psychiatria umiarkowanie farmakoterapeutyczna, która nie zapisuje lekarstw dla każdego i na wszystko. Ale, oczywiście, nieodwracająca się od leków, gdy są one konieczne.

A wracając do naszego chowającego się mężczyzny – tkwiąc w ukryciu, nie będzie miał dostępu do tego, co jest potrzebne, żeby życie smakowało. Nie będzie w interakcjach z innymi, w przyjaźniach, w radościach z tego, co na świecie jest przyjemnego i pogodnego. Wpadnie w błędne koło i je-

śli nie zgłosi się po pomoc, depresja wciąż będzie się pogłębiać.

Ale jest też ta druga wersja obrony – przez atak. Ona czasem kończy się Niebieską Kartą albo prokuratorem. Wybuchy bezpośredniej, czynnej agresji znajdują wyraz w zatrważających statystykach. Na marginesie: kiedy słucham dyskusji o tym, czy osoby homoseksualne powinny mieć dzieci, to myślę sobie, że trzeba by też zapytać, czy powinny mieć dzieci osoby, które przejawiają zachowania agresywne. Co by to było, gdyby to kryterium było brane pod uwagę...

I jeszcze dwa zastrzeżenia: słusznie zatrzymujemy się na zjawisku agresji, ale nie chciałbym, żeby powstało wrażenie, że jej wśród mężczyzn przybywa. Mimo wszystko sądzę, że silny jest wpływ kultury, mitygujący żywioły. A ponadto w naszej rozmowie wyraźnie rozdzielamy i stawiamy w opozycji mężczyznę i kobietę. Warto więc zaznaczyć, że ta dychotomia jest coraz częściej kwe-

– Ucieczka i chowanie się w sobie przybierają różne postacie. Czasami mogą być nawet bardzo ekspresyjne, ale mogą też się skończyć samotnym oglądaniem seriali czy pornografii. Ale mężczyźni może być w końcu tak bardzo smutno, że nawet tego nie będzie w stanie robić. Czasami ktoś to zauważa i mu odpowiada: „Chyba masz depresję”. Wtedy na pomoc przychodzi to, co też jest nowym wzorcem kulturowym, czyli medykalizacja i psychiatryzacja.

– Ucieczka i chowanie się w sobie przybierają różne postacie. Czasami mogą być nawet bardzo ekspresyjne, ale mogą też się skończyć samotnym oglądaniem seriali czy pornografii. Ale mężczyźni może być w końcu tak bardzo smutno, że nawet tego nie będzie w stanie robić. Czasami ktoś to zauważa i mu odpowiada: „Chyba masz depresję”. Wtedy na pomoc przychodzi to, co też jest nowym wzorcem kulturowym, czyli medykalizacja i psychiatryzacja.

A.K.: Pełna zgoda. Wróć jednak do tej agresji, bo terapeutci mówią, że może mieć różne oblicza – również takie wyzwalające z depresji.

– Zgodnie z tezą, że depresja to tłumiona agresja? Owszem, istnieje również taka agresywna energia. Ważne będzie, jak zarządzamy naszą agresją. Jedni będą ją rozładowywali przez klótnie, jeszcze inni na trybunach stadionów piłkarskich. I nie jest wówczas obojętne, czy agresja kibiców będzie się ograniczała do okrzyków dopingujących ich ulubieńców, czy to będzie rzucanie petard w stronę bramkarza drużyny przeciwnej. Ale najbardziej mi się podoba wysiłek fizyczny, bo on sprawnie obsługuje hasło „w zdrowym ciele zdrowy duch”.

A.K.: Byli tacy jak Alexander Lowen, twórca notabene psychoterapii przez ciało, którzy mawiali, że odruch agresywny, agresja podtrzymują vitalność.

– Tak bywa. Przecież niektórzy, wykorzystując agresję po to, żeby się sprzeciwiać złu, wyrażają – nazwijmy to elegancko – słuszny gniew. Ale oczywiście są i tacy, którzy agresję wykorzystują po to, żeby uderzyć słabszego. Nieraz, gdy rozmawiam z pacjentami – bardziej pacjentami niż pacjentkami – słyszę pytanie: „Co mam zrobić z tą agresją, którą mam w sobie i która tak mnie męczy?”.

P.G.: No właśnie, co mam robić?

– W trakcie terapii okazuje się zwykle, że ta agresja ma swój konkretny, choć ukryty adres. Często jest to agresja względem rodziców, którzy nie dość kochali albo sami byli agresywni.

P.G.: I co wtedy?

– Zależy mi, żeby taki pacjent nauczył się odróżniać realnego rodzica, który jest już starszy, zmęczony, bezradny i...

P.G.: ...i głupio mu przywalić...

– ...no tak po ludzku, przecież nie bijemy słabszego. Tym bardziej że jesteśmy z nim emocjonalnie związani, czasami wręcz od niego uzależnieni.

No więc chodzi o to, żebyśmy byli w stanie odróżnić tego realnego, aktualnego rodzica od tego, który jest też w nas, w naszym wyobrażeniu powstałym i utrwalonym przez lata: agresora, który nie dość kochał albo który uczył nas czegoś, co do niczego dobrego nie doprowadziło.

P.G.: A co, jeśli już dokonamy tego rozróżnienia?

– Wtedy trzeba z tym wewnętrznym rodzicem porozmawiać. To brzmi może dziwacznie, ale taka rozmowa w trakcie terapii nabiera sensu. Terapeuta czasem mówi: „Wyobraź

– Ucieczka i chowanie się w sobie przybierają różne postacie. Czasami mogą być nawet bardzo ekspresyjne, ale mogą też się skończyć samotnym oglądaniem seriali czy pornografii. Ale mężczyźni może być w końcu tak bardzo smutno, że nawet tego nie będzie w stanie robić. Czasami ktoś to zauważa i mu odpowiada: „Chyba masz depresję”. Wtedy na pomoc przychodzi to, co też jest nowym wzorcem kulturowym, czyli medykalizacja i psychiatryzacja.

sobie, że na tym fotelu siedzi twój ojciec. Powiedz mu to, co do niego czujesz”. Albo: „Napisz list do tego ojca, nawet jeżeli on już od 10 lat nie żyje. Bo on dalej w tobie jest”. Zresztą wszelkie inne sposoby rozmowy z przeszłością też mają sens.

P.G.: Kiedyś poprosiliśmy czytelników „Gazety Wyborczej”:

„Napiszcie listy do swoich ojców, a w nich to, czego ze strachu czy z troski im nie powiedzieliście”. Przyszły setki takich listów, głęboko poruszających, cała panorama problemów z rodzicami. Swoją drogą bałem się, wciąż się boję, jaki list napisze do mnie mój syn. Pamiętam, że gdy pojawił się na świecie, strasznie się bałem. Najbardziej samego siebie. Bałem się...

– ...powtórki.

P.G.: A konkretnie tego, że we mnie jest jakiś agresywny typ, który nie będzie w stanie kontrolować tej swojej agresji.

– A jak pan patrzył na to stworzonko, to miłość nie rozpuszczała tej złości?

P.G.: Rozpuszczała, lecz czulem też bezradność i złość w najprostszych sytuacjach. Nawet wtedy, gdy nie byłem w stanie syna uspić.

– To jest bolesna i ciągle kłopotliwa dla mężczyzn okoliczność, że kobiety są w różnych obszarach sprawniejsze i mądrzejsze od nas. Pani Ago, proszę nie podsłuchiwać.

A.K.: No bo świat się zawali, jeśli kobiety się tego dowiedzą...

– ...i wtedy będą miały kolejny argument, że powinniśmy bez sprzeciwu i bez zbędnej zwłoki oddać im władzę nad światem.

P.G.: A czy agresja w ogóle ma płęć?

– Możliwe, że agresywny mężczyzna jest społecznie łatwiej tolerowany. Istnieje też przekonanie, że hormonalnie i kulturowo ma on więk-

sze predyspozycje do agresji. Ale... Niegdyś interesowałem się boksem – zwłaszcza gdy walczyli Drogosz, Kulej i Pietrzykowski. Ale gdy kilka lat temu zobaczyłem kobiety bijące się na ringu, w pierwszej chwili pomyślałem, że świat upada. A przecież może powinienem był sobie przede wszystkim postawić pytanie: „Dlaczego im nie wolno się bić, skoro wolno mężczyznom?”.

P.G.: No właśnie: dlaczego nie mogą?

– Sądzę, że wówczas gdy boks przedstawiał mi się podobać, wyjaśnienie byłoby takie: mężczyźni są głupszy – to się biją. A kobiety są bardziej uczuciowe i empatyczne, więc nie dają się wciągać w tę głupotę.

P.G.: A jak dzisiaj by pan sobie odpowiedział na pytanie, co kobiety robią na ringu, w klatce czy w oktagonie?

– (*milczenie*) Może tak ma wyglądać owa równość? Jestem w rozdarciu, bo z jednej strony lepiej jest, by ludzie bili się pod okiem sędziego niż w ciemnej ulicy i bez lekarza, który w razie potrzeby udzieli pomocy, ale z drugiej strony nie potrafię myśleć z sympatią o sytuacji, w której ktoś może uszkodzić trwale drugiej osobie mózg, by za chwilę zostać obwołanym zwycięzcą i zdobywcą jakiegoś medalu i furi pieniędzy. I ta moja konfuzja jest ponadgenderowa. Nawiasem mówiąc, niegdysiejszy kierownik Kliniki Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Krakowie prof. Adam Szymusik zrobił przed laty badania, z których wynikało, że bokserzy, którzy – jak się to eufemistycznie określa – znaleźli się na deskach, mieli uszkodzony mózg. Czy ci, którzy idą się tłuc, nie powinni wiedzieć, co ich czeka? To jest rodzaj samozagłady, prawda?

A.K.: Pęd do śmierci. Męska rzecz?

– To jest kolejne pani podchwytliwe pytanie, a gdy znajdę na nie odpowiedź, to może się okazać, że trochę głupio jest być mężczyzną. Gdyby się uciekać do feministycznej przewrotnej, ale boleśnie trafnej obserwacji, to zabijanie opisywane jest w his-story, zaś her-story jest o dbaniu o życie.

A.K.: To zadam kolejne podchwytliwe... Czy jest możliwe, że męska depresja może być wyrazem mizoginii, takim pasywnym sposobem na to, żeby wyrazić niechęć do kobiet. Przez wstrzymanie się od relacji, niezwracanie na nie uwagi, wycofanie się...

– Ona może mieć u podłoża tego rodzaju mechanizm, ale pamiętajmy, że depresja to nie akt wyboru. Nie trzeba być psychoanalitykiem, żeby dostrzegać i doceniać, jak wiele nieświadomych procesów się w nas rozgrywa. Chociaż warto dodać, że bywają takie smutki, za które otrzymuje się nagrody. Opiekę, troskę, uwagę...

A.K.: „No taki jestem biedniutki” albo „Zaopiekuj się mnąaaaa” – że zacytuje piosenkę.

– Tylko znowu – ten depresyjny apel o uwagę też jest raczej czymś nieświadomym lub przedświadomym.

A jeśli pani pyta o mizoginię i jej przyczyny bardziej ogólnie... Hm, gdyby patrzeć na nią z perspektywy gabinetu terapeutycznego, to musimy najpierw zauważyć, że współczesna kultura atakuje męskость. Tę męskость nieemocjonalną, tę, w której mężczyzna ma władzę, ale jednocześnie nie

potrafi wmyślać się w drugą osobę, nie ma w nim finezji poznawczej dotyczącej uczuć, nie ma miejsca na uczuciową ekspresję, do której kobieta kulturowo i tradycyjnie ma prawo, a mężczyzna nie zawsze. A gdy taki mężczyzna jest atakowany jako osoba czegoś pozbawiona, to jego naturalną reakcją będzie kontratak, napaść na kogoś, kto ma to, czego jemu brakuje. Biedny będzie atakował bogatego, a mężczyzna – kobietę. Przecież to straszne dla – jeszcze niedawno – władcy, gdy ktoś mu pokazuje, że czas królowania ma się ku końcowi.

P.G.: Wielu mężczyzn, z którymi rozmawiamy, mówi, że równie trudne, właściwie niemożliwe, jest sprostanie wyzwaniu, jakie przed nimi stawia dzisiejsza kultura. Żeby byli naraz „męscy” – a więc silni, odpowiedzialni, sprawczy – a jednocześnie mieli tę zdolność wczuwania się w innych, tę magiczną emocjonalność. Rzeczywiście są to bieguny nie do pogodzenia?

A.K.: Ja na to odpowiadam, że dla nas, kobiet – to w ogóle nie jest dylemat, że my to godzimy bez problemu. A co pan na to? – Trudne, ale do pogodzenia. Mówiliśmy o agresji i o sile. Ale czy siła musi wyrażać się agresją? I czy musi oznaczać nieustępliwość? Czy ten, który „odpuszcza”, dowodzi swojej słabości? Powiedziałbym wręcz, że jest odwrotnie. Łatwiej się ustępuje, gdy czuje się silnym. Ja się czuję silny w małżeństwie, więc bez kłopotu proszę żonę, żeby to ona decydowała w różnych sprawach, oddaję władzę w jej ręce. Oczywiście łatwiej jest ustępować komuś, kogo się kocha, gdy zależy nam bezwzględnie na jego dobru. Ale najważniejsze jest to, że jeśli sobie uświadomimy, że „jestem silny” nie oznacza siły przemocowej, to nie będziemy się bali otwartości uczuciowej, która przecież nie jest tożsama ze słabością.

P.G.: Ale czy takie rozumienie siły nie odbiera przy okazji mężczyźnie poczucia sprawstwa?

– Poczucie sprawczości jest bardzo ważnym aspektem życia ludzkiego. Ale sprawczość nie ma oznaczać wszechmocy. To przede wszystkim gotowość do autoryzowania własnego życia. Może więc chodzić o małe sprawy. Na przykład jeśli nie chcę uczestniczyć w jakiejś aktywności, która mi się nie podoba, i odmawiam – czuję się sprawczy.

P.G.: A gdyby się pan zgodził?

– Wtedy mielibyśmy przykład czegoś odwrotnego niż sprawczość, a więc gotowości do bycia zależnym, gotowości do poddawania się innej osobie wbrew własnemu przekonaniu. To zresztą częste: z lęku o siebie robimy to, czego chce od nas ktoś inny. Zwłaszcza jeśli ten ktoś ma „ojcopodobną moc”.

P.G.: Ale jest jeszcze trzecia opcja obok sprawczości i podporządkowania się: kompromis.

– Który nie jest czymś złym, za to bardzo trudnym. A dziś, w świecie, w którym coraz większą rolę znów odgrywają ruchy populistyczno-nacjonalistyczne, mamy raczej do czynienia z mamieniem wizją: „Ty jesteś mały, ale nie bój się, zaopiekujemy się tobą”.

P.G.: Albo: „Ty jesteś mały, ale razem jesteśmy silni, razem jesteśmy sprawczy!”. – Kiedy oglądałem dokument o płaskoziemcach, zdałem sobie sprawę, że choć to, co mówią, jest absurdalne, jest w nich jakaś szczerza moc. Kluczem do niej jest właśnie słowo „razem”. Bo oprócz sprawczości jest jeszcze druga okoliczność, która decyduje o zdrowiu psychicznym człowieka: to jego sieć społeczna.

A.K.: Która, jak już mówiliśmy, jest raczej piętą achillesową współczesnych mężczyzn.

– Jeżeli więc do tego ów samotny współczesny mężczyzna przejawia tę skłonność do bycia zależnym, chętnie da się ponieść jakiejś nacjonalistycznej ideologii i hasłom, które każą mu – w skrócie i symbolicznie – „zwalczyć Niemca, bo chce namie zabić”. Ale to nie ideologia

tak naprawdę jest najważniejsza, tylko to, że nie jestem już sam, jestem w grupie i jest jeszcze wódz, który nie tylko nas obroni, ale jeszcze poprowadzi do zwycięstwa.

Były kiedyś takie badania w naszej części świata – pytano: „Czy uważasz, że twoja kultura jest lepsza od pozostałych w Europie?”. Byliśmy w czołowce powstałego w ten sposób rankingu poczucia wyższości.

P.G.: Czego to dowodzi?

– Że kompleks niższości łatwo przeradza się w kompleks wyższości.

P.G.: Co wiąże się z tym, co mówił pan o poczuciu siły, które pozwala łatwiej ustępować. Pewnie gdybyśmy mieli w miarę mocne poczucie tożsamości, nie musielibyśmy tak bardzo utwardzać komunikatu na jej temat.

– A odwołując się do indywidualnej psychiki, moglibyśmy sami siebie spytać, czy jesteśmy na tyle dojrzały, by racjonalnie rozważać swój system wartości, uświadamiać sobie swoją popędowość, swoje lęki, nadzieje, obawy i dopiero ze świadomością tego wszystkiego, co nami kieruje, podejmować decyzje. A może wciąż jest we mnie ten rodzaj życiowej niepewności, która sprawia, że nadal potrzebuję „zewnątrznego ojca”, który powie mi, co mam robić.

Napisz list do ojca, nawet jeżeli on już od 10 lat nie żyje.

Bo on dalej w tobie jest

P.G.: Mówimy o ojcach. Ale szukając odpowiedzi, skąd ta swoista męska emocjonalna niedojrzałość, jedną z ciekawszych znaleźliśmy u Klausa Theweleita, w jego książce o męskich fantazjach i źródłach nazizmu. Otóż wygląda na to, że mężczyźni bywają również ofiarami swoich matek, tego, że nie dokonała się „zdrowa” separacja, że pozostają uzależnionymi hybrydami, a nie autonomicznymi i emocjonalnie samodzielnymi bytami. I za ten brak samodzielności mszczą się potem na swoich partnerkach. Upraszczam, wiem, ale co właściwie robią nam nasze matki?

– Odpowiadając na pana pytanie, nie potrafię uciec od banału: jak dobrze pójdzie, to matka daje miłość – czyli tak zwaną więź bezpieczną. Gdy dziecko nie doświadczy tej więzi, tej bezwarunkowej miłości, której towarzyszy objaśnianie świata i wskazywanie, co jest dobre, a co złe, dorosły będzie cierpiał. Ale muszę tu od razu zaznaczyć, że nie ma zbyt wielkiej różnicy, czy rodzicem, od którego dziecko dostanie tę bezwzględną miłość, będzie matka czy ojciec. Różnice w rodzicielstwie nie są już tak ostre jak niegdyś: ojciec szedł do pracy, a matka „do pieluch”. Jak dobrze pójdzie, to ta dwubiegunowość powinna się jeszcze bardziej skurczyć.

P.G.: Dlaczego powinna?

– Pozwolę sobie na osobiste wspomnienie. Moja matka była profesorem wyższej uczelni, biologką – to znaczy ona myślała, że jest biologiem, ale my już wiemy, że biologką. Tymczasem mój ojciec był „tylko” magistrem. Ale gdy wracali do domu, mama szła do kuchni, a ta

ta szedł czytać gazetę albo brał mnie na Błonia i uczył grać w piłkę. I oboje byli szczęśliwi, realizując w domu te patriarchalne wzorce, i kochali się aż do śmierci. U nas w domu to ja wciąż dbam o rzeczy, które się psują, a żona gotuje mi obiad. Tylko że ja nikogo nie namawiam, żeby tak żył, i nie mówię: „Tak musi być”. Wzorce się uelastyczniają i bardzo mi się to podoba. I tak kluczowe jest to, czy do małego dziecka dociera miłość od obojga rodziców i czy obydwoje uczą go świata. Najlepiej, gdy tak ten świat między siebie podzielią, że powstanie atrakcyjna dla dziecka „całość wzrostowa”. Ważna jest więc komplementarność, a to, czy uczy nas empatii, etyki albo obsługi kosiarki ktoś, kto ma wąsy, czy ktoś, kto ma warkocze, wydaje mi się drugorzędne. Istnieją oczywiście teorie, że kontakt z piersią matki jest pierwszym kontaktem miłosnym. Ale czy karmienie z butelki nie jest też troską, nie buduje relacji? A karmić z butelki mogą przecież matka lub ojciec. A nawet brat. Ja tak karmiłem swoje o 10 lat młodsze rodzeństwo. Bardzo to było przyjemne i wzięciotwórcze.

A.K.: A co powinien robić ten realny ojciec, żeby jego dziecko nie potrzebowało nieustannie tego zewnętrznego, autorytarnego ojca?

– Gdybyśmy mieli podążyć za stereotypem, powiedzielibyśmy, że matka powinna dać miłość i inne uczucia, a ojciec wzorce, czyli system wartości. Ale, jak mówiłem, to jest dziś już nieaktualna, patriarchalna dychotomia. Naprawdę wystarczy, gdy oboje rodzice – bez względu na to, czy jako małżonkowie, czy nie – będą przy dziecku i po swojemu będą dawać mu miłość. A potem, stopniowo, dodadzą dziecku do miłości przestrzeń wolności.

P.G.: A jednak w odpowiedzi na „kryzys męskości” słyszę czasami, że ojciec powinien odbierać matce syna i iść z nim w puszcze polować na wilki. Że trzeba chłopaków utwardzać, porzucać w lesie, żeby się nauczyli sztuki przetrwania. Wszystko dlatego, że ich te przemiany społeczne i kulturowe „zmiekkają”, a brak solidnej inicjacji w męskość jest źródłem problemów.

– Jakieś nowe postrzyżyny? Hm, mnie by się raczej podobało, gdyby mężczyźni zadbali o swoje części „starodawnego” żeńskie, a kobiety o te kulturowo „męskie”. Żeby mężczyzna miał pełne prawo do wzruszeń i był zaciekawiony swoimi uczuciami i uczuciowością, a kobieta nie musiała być wypchana w pozycję tej słabej i bezbronnej. Żeby to, co „kobiece”, i to, co „męskie”, rozłożono na takim wspólnym straganie, z którego każdy może sobie wziąć to, co chce i co może mu się przydać. I nie martwił się przy tym, czy jest to „za mało żeńskie”, czy „za mało męskie”.

Jestem psychoterapeutą i nie mam wątpliwości, że w tej pracy bardzo potrzebuję – jeśli nadal musimy się odwoływać do kulturowo ustalonych wzorców – swoich „żeńskich” części. Z kolei jako psychiatra, kiedy muszę na przykład powiedzieć pacjentowi: „Zostanie pan hospitalizowany wbrew własnej woli, ponieważ zagraża pan swojemu życiu lub życiu innych”, to sięgam do „męskich” kompetencji i sposobów komunikacji. A jako dziadek? Gdy rozmawiam ze swoim wnukiem – lat pięć – znów budzi się we mnie wzruszenie i „żeńska” uczuciowość. Choć mój tata wobec wnuków jeszcze „męsko” się zachowywał.

A.K.: Męsko – czyli?

– Poważnie, bez otwartego okazywania uczuć. A już mój syn – lat czterdzieści parę – nie waha się mówić mi „kocham cię”. I ja też już nie waham się mówić mu, że go kocham, i wysłać mu serduszka w esemesach.

P.G.: Wygląda na to, że kluczowe kompetencje, jakie możemy w ogóle posiadać jako ludzie, a których mężczyźni powinni się uczyć przede wszystkim – to kompetencje komunikacyjne.

– I dodałbym do tego, że powinniśmy się uczyć współpracować. Ten podział męskie/żeńskie jest trochę jak podział na „starych” i „młodych”.

On może mieć w pewnych sprawach znaczenie, na przykład tam, gdzie potrzebna jest siła fizyczna. Ale w obszarze, o którym rozmawiamy, czyli w relacjach, w wychowaniu, w radzeniu sobie z kryzysami, kluczowa jest umiejętność wspólnej pracy. I budowania perspektywy uzupełniającej się, ale nie zwalczającej się. Z punktu widzenia psychiatry nieumiejętność współpracy może się skończyć cierpieniem.

P.G.: A gdy spojrzymy szerzej?

– To się okaże, że we wszechobecnej kulturze narcyzmu, którą napędzają internet, selfie, ograniczone do mediów społecznościowych więzi i konsumpcjonizm, mamy tragiczny nadmiar hedonizmu i narcyzmu oraz wielki niedostatek współpracy.

P.G.: Czy narcyz ma pleć?

– Spróbuję się rozejrzeć po gabinecie (*profesor zamyka oczy i zanurza się w myślach*). Hm, mam kłopot z odpowiedzią.

P.G.: Dlaczego?

– Pojęcie narcyzmu tak się spopularyzowało, że utraciło moc diagnostyczną, więc gdy mówię o narcyzmie, to mam przede wszystkim na myśli pewne zjawisko społeczne. To, że kobieta albo mężczyzna – wszystko jedno – lubią siebie eksponować, a kultura ich za to nagradza. W ten sposób daje warunki do tego, żeby koncentrować się na sobie, na własnym sukcesie, własnym pięknie, mądrości, zasobach finansowych. Natomiast ubywa gotowości do współpracy – i to jest realny problem.

W gabinecie terapeutycznym natomiast pojęcie narcyzmu służyło temu, żeby się mu przyjrzeć, znaleźć jego źródła, odbić się od niego i pomóc komuś się rozwijać, a nie zatrzymywać na sobie. Bo jeżeli ktoś jest gotów przyjmować znaki zapytania dotyczące jego samego – ma szansę na rozwój. Natomiast jeżeli chce przyjmować tylko afirmację, a nie potrafi sobie postawić żadnych pytań i nie ma wątpliwości, istnieje niebezpieczeństwo, że się zatrzyma, utknie.

P.G.: Czy można nauczyć przyjmowania informacji zwrotnej w ten sposób, żeby ona przestała być odbierana jako cios w samo jądro tożsamości? Mam wrażenie, że to chyba kluczowe pytanie dotyczące współczesnych mężczyzn. W jaki sposób ich, nas przekonać, że to, co dostają jako reakcję na to, jacy są, nie jest atakiem, tylko de facto prośbą lub propozycją?

– Być może punktem wyjścia jest pytanie, czy jako człowiek jestem gotów postawić obok siebie znak zapytania, czy zamierzam żyć „bezwątpliwościowo”. Jeżeli umiem zaakceptować znak zapytania – to dobra wiadomość. Znak zapytania może uruchomić moje zaciekawienie sobą, światem, własną sytuacją. A jeżeli mam już w sobie to zaciekawienie i jeszcze zgodzę się, żeby je sproblematyzować, rezygnując z zero-jedynkowości – jesteśmy na drodze do celu.

Chodzi o gotowość do zmiany, będącej też istotą procesu psychoterapeutycznego. Jeżeli przychodzi do gabinetu para małżeńska i każdy mówi: „To drugie ma się zmienić, ja się zmieniać nie będę”, odpowiadam: „W takim razie nie robimy terapii, proszę się zgłosić wtedy, kiedy każde z państwa będzie miało wątpliwości wobec siebie samego, a nie tylko chęć do obwiniania drugiej strony”. W terapii indywidualnej zachodzi coś podobnego. Pojawiają się cierpienie, problem, konflikt, objaw, ale niezbędny jest ów znak zapytania, który pomoże nam się rozglądać w poszukiwaniu odpowiedzi. W odniesieniu do męskości sytuacja wydaje mi się analogiczna. Musimy stać się kimś, kto czuje się na tyle bezpiecznie, że jest gotów szukać, pytać, kwestionować siebie. A jak już mówiliśmy, do tego potrzebna jest siła, tradycyjnie wiązana przecież z męskością.

P.G.: Ale w jaki sposób nie utknąć wśród tych znaków zapytania? Nie podważać wszystkiego, czym jesteśmy, nie wczuwać się we wszystkich wokół, nie brać do siebie każdej krytycznej opinii?

– Jeśli dobrze rozumiem, pyta pan o sytuację, w której pytania stają się obezwładniające, a do tego jest za dużo możliwych odpowiedzi. Czasem rzeczywiście można nad sobą, światem, słusznością, innymi ludźmi zastanawiać się w nieskończoność. Dlatego musi się pojawić jakiś kres czy granica wątpliwości, żeby nas nie obezwładniła bezradność. A przecież są też tacy, których nieustanne szukanie odpowiedzi prowadzi do jakiegoś wszechniewiedzenia, a stamtąd już tylko krok do nihilizmu. Dlatego zwróciłbym tu uwagę na słowo „odpowiedzialność”, które ma przecież ten sam rdzeń co „odpowieź”. Czyli po pytaniu następuje czas nie tylko na odpowiedź, ale też na moją odpowiedzialność. To znaczy, że muszę mieć własną odpowiedź na to, co się wydarzyło lub co się może wydarzyć. W tym sensie odpowiedzialność daje kres znakowi zapytania. Odpowiedzialność ma prowadzić do odpowiedzi. Co nie znaczy, że nie wywoła ona kolejnych pytań. Pytania, szukanie odpowiedzi, odpowiedzialność, kolejne pytania – to nieustanny, spiralny proces rozwoju.

P.G.: Kiedy powinniśmy zacząć rozwijać umiejętność bycia odpowiedzialnymi u synów, chłopców, naszych dzieci po prostu?
– Sądzę, że od samego początku jest zadaniem rodzica zadbać u dziecka o związek między poziomami odpowiedzialności i wolności. I tylko miłość powinna trwać niezmiennie, chociaż jej wyraz będzie się zmieniał z upływem lat. Kiedyś mój syn przysłał mi filmik: wnuk stoi na murze, a jego tata, mój syn, stoi przed tym murem i namawia Franka: „No skacz”. Wnuk się boi, patrzy to na tatę, to na ziemię przed tym murkiem. „Skacz, jestem przy tobie – złapię cię!”. Kiedy Franek to usłyszał – skoczył. I znalazł się w ramionach ojca. Dla mnie to wzruszające zobrazowanie tego, o czym mówię: w tej konkretnej sytuacji mój wnuk poczuł dumę, że doświadczył odwagi. Ale mógł jej doświadczyć właśnie dzięki temu, że ojciec zachęcił go do wolności, a jednocześnie zapewnił bezpieczeństwo płynące z ojcowskiej miłości.

P.G.: W jaki sposób bez lęku dawać dziecku wolność?
– Ten lęk jest wpisany w rodzicielstwo, choć gdy porównuję siebie z dzisiaj i z czasów, kiedy byłem młodym rodzicem, muszę przyznać, że wtedy miałem nieporównanie więcej odwagi, a zwłaszcza brawury. Teraz boję się nawet, czy mój wnuk sobie nogi nie zwicznie, idąc po śliskim chodniku. A kiedyś? Myśmy się nie bali o nasze dzieci. Nie martwiliśmy się ich ocenami do tego stopnia, że żona i ja graliśmy partię szachów, a kto przegrał, musiał iść na wywiadówkę. I co? I syn, i córka wyrosli na swoje.

A.K.: Skąd braliście to zaufanie do własnych dzieci?
– Bo nas rodzice kochali. Nie chcę wpadać w banał, ale wierzę, że nam się udało po prostu – mnie i mojej żonie. Czuliśmy się kochani przez własnych rodziców, w związku z tym nie mieliśmy kłopotu, żeby wyrażać miłość wobec własnych dzieci. Ale oczywiście przydała się nam również wiedza o psychologii rozwojowej. Kiedy nasz syn chodził do liceum i wymykał się wieczorami chyłkiem z domu, nie krzyczeliśmy na niego, tylko uznawaliśmy, że to taki etap wieku młodzieńczego, który trzeba przetrwać. Ufaliśmy mu. A teraz to nasze dzieci mają wobec nas odruchy rodzicielskie... Jeśli czegoś nie wiem, z czymś sobie nie mogę poradzić – pytam dzieci. Myślę, że z roku na rok będzie mi przybywać niedołęstwa i ich gotowości do niesienia pomocy.

P.G.: Czy to, że z wiekiem traci się pewne umiejętności i możliwości, że trzeba z czegoś zrezygnować – jest w większym stopniu problemem męskim?
– Statystyka mówi, że mężczyźni żyją krócej, za to muszą dłużej chodzić do pracy. Pytanie, jak się starzejemy, jest powiązane z tym, czy chorujemy i jak. Czy się leczymy, czy wolimy – jak już wspomnieliśmy – mieć z tego chorowania jakieś korzyści? Opiekę, czułość i miłość, coś, czego nie mamy, gdy jesteśmy zdrowi.

P.G.: Pewien androlog opowiadał nam, że mężczyźni nie chcą lub nie potrafią zadbać o siebie. Nie przyznają się, że boli, nie chcą iść do lekarza.

A.K.: Są wręcz dumni z tego, że jak przychodzą, to już strasznie chorzy. Potrafią się chwalić, że „już z 40 lat nie byłem u lekarza!”.
– Może na lekarza nie mają czasu, a może żyją według zasady Lecha Wałęsy: „Stłucz pan termometr, nie będziesz miał pan gorączki”. To lekceważenie stanu zdrowia nie musi być znakiem jakiegoś pesymizmu życiowego. Wcale z tego nie wynika, że życie straciło sens i że nie ma nadziei.

A.K.: A skoro nadzieja jest, to może i na to, że mężczyźni zmieniają się wedle wzoru, który zarysowaliśmy? Nauczą się kontaktu z uczuciami, z żeńską stroną? Nauczą się sprawczości i współpracy?
– Jestem pesymistą w sprawie przyszłości naszej cywilizacji, ale akurat nie tego procesu. Myślę, że jest szansa, że każda z płci wzbogaci się o silne strony tej drugiej. Przecież 20 lat temu kobiety były w zupełnie innym miejscu niż dziś. Choć jeśli feminizm będzie się radykalizował i występował z niesprawiedliwym postulatem swoistej kastracji męskości, odbiciem tego będzie nieuchronna konserwatyizacja mężczyzn. Jednak mam wrażenie, że coraz lepiej słyszalne są głosy wzywające do tego, żeby kobiety szanowały mężczyzn, a mężczyźni szanowali kobiety. Po prostu. Uważam, że jeśli te agresywne struny zapiekłości i żalu dostatecznie już wybrzmiały – do głosu dojdzie zdrowy rozsądek ufundowany na wzajemnym szacunku.

P.G.: A jak już się uda, to czy ci „nowi” mężczyźni, mający kompetencję współpracy z kobietą częścią samych siebie, będą w stanie wygrać wojnę?
– Jaką wojnę?

P.G.: Dowolną.
– Dowolnej nie, ale wojnę ze swoimi autodestrukcyjnymi tendencjami – już tak. Ale przede wszystkim, odwołując się do swoich kobiecych elementów, będą w stanie doprowadzić siebie samych do sensownego pokoju. Swoją drogą sformułował pan to pytanie tak, jakby rdzeniem męskości było wojowanie, a niekoniecznie tak jest. A poza tym tutaj, w gabinecie, pracujemy nad pokojem. Choć oczywiście gdyby tu do mnie przyszedł na terapię jakiś poseł i ja bym go „rozbroił”, no to pewnie jakoś bym go skrzywdził. Bo on, żeby pokonać przeciwnika, musi mieć zawsze przy sobie miecz mądrości, miecz kompetencji i miecz elokwencji.

P.G.: Zapytałem o wojnę dlatego, że ciągle myślę o tym, czy wychowując syna na empatycznego, otwartego mężczyznę, nie wychowuję go na klęskę.
– Może to będzie klęska wojenna, ale nie klęska życiowa. Może w dzisiejszych czasach będzie to stwierdzenie ryzykowne, ale sądzę, że lepiej jest wychować dobrego człowieka niż sprawnego żołnierza. ●

Autorzy przygotowują książkę o współczesnych problemach z męskością

*Prof. dr hab. n. med. Bogdan de Barbaro

• Przez wiele lat był zawodowo związany z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Superwizor psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, członek korespondent American Psychiatric Association. Członek Editorial Advisory Board pisma „Psychiatry. Interpersonal and Biological Processes”. Autor, współautor i redaktor publikacji z zakresu psychoterapii, terapii schizofrenii, terapii rodzin, m.in. „Bliskość. Co i jak robić, co i jak mówić, żeby naprawdę być razem”, „I jak tu się dogadać?!” „Postmodernistyczne inspiracje w psychoterapii”, „Sztuka rozmowy z chorym”, „Możesz pomóc. Poradnik dla rodzin pacjentów chorych na schizofrenię i zaburzenia schizotypowe”. Ostatnio wydał z Wojciechem Drathem książkę „Psychoterapia między wiedzeniem a niewiedzeniem”

Andersie? Anderszu? Andrzej, życzymy Tobie sto lat

Wisława Szymborska wielokrotnie mówiła, że bez niego nie dostałaby Nobla.

Jan Stolpe, Lars Kleberg, Michał Nogaś

Szwedzki sławista i tłumacz, przyjaciel polskich poetów i pisarzy. Ton na rodzimy język przełożył wiersze Wisławy Szymborskiej, Adama Zagajewskiego, Ewy Lipskiej czy Zbigniewa Herberta, a także prozę Witolda Gombrowicza, Pawła Huellego i najważniejsze dzieła Ryszarda Kapuścińskiego. 2 stycznia Anders Bodegård skończył 80 lat.

W Polsce po raz pierwszy pojawił się jako 23-latek, w 1967 roku brał udział w kursie dla polonistów organizowanym przez Uniwersytet Warszawski. 14 lat później pracował na Uniwersytecie Jagiellońskim jako lektor języka szwedzkiego. Po powrocie, w Szwecji niezwykle aktywnie promował i tłumaczył polską literaturę.

Wisława Szymborska wielokrotnie wspominała, że nie otrzymałaby Nobla, gdyby nie Bodegård. – Myślę, że łączyła ich głęboka przyjaźń – mówi „Wyborczej” Michał Rusinek.

W 2004 roku, gdy tłumacz kończył 60 lat, sekretarz poetki napisał okolicznościową laurkę. Oto fragment:

*O, szeleszcząco-brzęcząca polszczyzno,
co w Szczepreszynie trzcinę z chrząszczem splatasz,
czy nam pozwolisz (co nie jest łatwizną)
wymawiać dobrze imię Jubilata,
co choć dla Polski zasługi ma wielkie
nie jak generał Anders się wymawia? (...)
Dość już! Zaklnijmy: „niech szlag ten meander-ź!”
i wtedy w końcu zabrzmi imię ANDERS.
(Taki już los Polakowi się trafił
że kiedy zaklnie – to wtedy potrafi).
To jednak udręk nie koniec w tym wierszu,
bo co z wołaczem? Andersie? Anderszu?
Andrzej, życzymy Tobie sto lat,
Mimo fleksyjno-fonetycznych wad.*

Poniższy tekst Jana Stolpego i Larsa Kleberga (w tłumaczeniu Justyny Czechowskiej) jest wstępem do książki zawierającej szkice Andersa Bodegård’a poświęcone przekładom, wydanej z okazji jego 80. urodzin.



Przekłady Andersa Bodegård’a od samego początku były bardzo charakterystyczne. Wyróżnia je poczucie rytmu, ton, jednym słowem – muzykalność. Kto podróżował z nim po Francji lub po Polsce, wie, że w krajach tych nie dopuszcza się myśli, że nie jest tutejszy; do perfekcji opanował mówioną francuszczyznę i polszczyznę, to wynik wytrwałego studiowania dźwięków w tych językach i tego, jak powstają. Kiedy komentuje własne tłumaczenia, uderzająco często kieruje uwagę na to, „jak to brzmi” w oryginale i w szwedzkiej wersji, nad którą pracuje. Nasłuchuje i bada specyficzne tony u wielu wybitnych pisarzy, a następnie tworzy ich żywe odpowiedniki w swoim języku: miękką rzeczowość u Zagajewskiego, niepowtarzalne zwroty i kroki taneczne Szymborskiej, skrupulatną sztukę prozatorską Flauberta oraz, to być może najdziwniejsze, prowokacyjne melodie i bluźniercze próby Gombrowicza.

Anders Bodegård przetłumaczył również wiele dramatów: od sypialnianej farsy Feydeau po rymowane aleksandryny Racine’a, od „Carmen” po „Przy drzwiach zamkniętych” Sartre’a – lecz także wśród sztuk teatralnych te napisane przez Gombrowicza stanowią oddzielną kategorię, emocjonujące napięcia i zwroty, gdzie każdy niuans, każdy ton ma decydujące znaczenie. Do tego dochodzą jego artykuły prezentujące pisarzy i szczegółowo analizujące udręki tłumaczenia (...).

Uderzające jest, że kariera Andersa Bodegård’a zaczęła się tak późno: pierwsze tłumaczenie ukazało się, gdy był po czterdziestce. Potem książki pojawiały się nieprzerwanym strumieniem, dwa, trzy, a nawet pięć tytułów rocznie. Z czasem powstało ponad sześćdziesiąt książek, ponadto dwadzieścia sztuk teatralnych, większość niepublikowanych, ale często wystawianych. Do tego ogromu pracy dochodzi jego niestrudzony wkład w latach osiemdziesiątych, kiedy to informował o polskiej opozycji, jej żmudnej działalności, początkowo podziemnej, potem w ciężkim dialogu z władzą, aby oddolnie stworzyć demokratyczne społeczeństwo, a przez to twierdzić, że ta historia może nauczyć czegoś nas, mieszkańców zadowolonej i nadopiekuńczej Szwecji. W kolejnych edycjach wierszy Szymborskiej spotykają się chęć przedstawienia autorki z obroną twórczości, która jednocześnie jest poetycko figlarna i nieustępliwie etyczna. Drugi wielki wkład Andersa jako tłumacza z polskiego – to główny język, francuski pozostał na drugim miejscu – to odświeżenie zainteresowania Gombrowiczem. Publikując „Dziennik” w trzech częściach, Anders stworzył po szwedzku własny, zaraźliwy język dla tego brutalnego prowokatora w ciągłym poszukiwaniu umykającej wolności. Z czasem Anders stawał się coraz bardziej surowy wobec otoczenia i własnych przekładów: widać to w ostatniej części tej książki, gdzie praca z Flaubertem i jego „Madame Bovary” odgrywają główną rolę.

Tytuł książki „Kontrabanda kontredans” pochodzi z tekstu o karnawalistyczno-barokowej powieści Gombrowicza „Trans-Atlantyk”. Ale para wyrazów kontrabanda i kontredans tak naprawdę opisuje rozpiętość całej produkcji Andersa. Z jednej strony przekonanie o istotności importowania obcego i przerażającego dorobku myśli zagranicznej, by naszą kulturę utrzymać przy życiu. Z drugiej strony radość wprowadzania języka szwedzkiego, przymuszonego obcymi pierwowzorami, w nowy ruch, nowe rytmy. ●

FOT. PATRYK OGORZAŁEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Make polska kuchnia sexy again!

Małgorzata Muraszko

Mój chemiczny eksperyment jest gotowy. Kocham moje ogórkowo-koperkowe kiszzonki. Ich kwasowości nie można się oprzeć, ten smak może urozmaicić każdy posilek” – zachwyca się Gaz Oakley, instagramer i autor książek kulinarnych z wegańskimi przepisami. Mieszka w Walii i sam uprawia ogród naturalnymi metodami. Do dużego słoja ładuje kilka sporych rozmiarów ogórków, kwiaty kopru włoskiego, ząbki czosnku, gorczycę i zalewa roztworem z wody i soli. Słoik odstawia na „dwa tygodnie lub do momentu, aż się ukiszą”. Zachwala, że jego ogórki są zdrowe i świetne dla jelit. Jego „eksperyment” to nic innego jak kiszzone ogórki. Pod postem szybko posypały się komentarze Polaków, że to polski klasyk, pozycja obowiązkowa w letnim repertuarze przetworów. Dobrze na zimę, sok z nich to remedium na kaca i zastrzyk naturalnych probiotyków dla jelit. Dlaczego więc dla Walijczyka jest to „chemiczny eksperyment” i nowość? Być może dlatego, że w temacie promowania Polski przez jedzenie nie jesteśmy mistrzami świata.

KWESTIA DUMY NARODOWEJ

– Winne są brak edukacji i słaby PR – mówi Magdalena Tomaszewska-Bolałek, badaczka kultury kulinarnej, autorka książek poświęconych kulturze kulinarnej Japonii i krajów skandynawskich, bezpłatnego e-booka „Tradycje kulinarne polski” oraz wydanej w kilku językach książki „Polish Culinary Paths”. – Na świecie najmocniejsze są kuchnie tych krajów, których mieszkańcy posiadają wiedzę na temat kultury kulinarnej. Aby wypromować kuchnię za granicą, lokalni ludzie muszą dużo o niej wiedzieć. I chociaż Polacy deklarują, że kuchnia polska jest najlepsza, a przywiązanie do niej to kwestia, jak mówi badaczka, pewnego rodzaju dumy narodowej, to w naszym kraju jak grzyby po deszczu wyrastają restauracje z kuchnią azjatycką, włoską, bliskowschodnią, amerykańską czy meksykańską. – Wszystko rozbija się o politykę i marketing – dodaje Michał Korkosz, blogger i autor popularnych książek kucharskich, znany szerzej jako Rozkoszny. Polskiej kuchni poświęcił dwie wydane w Stanach książki: „Fresh from Poland. New Vegetarian Cooking From The Old Country” (w Polsce wydanej jako „Rozkosznie”, w Niemczech jako „Polen vegetarisch”) oraz „Polish’d: Mo-



PIEROGOWA DYPLOMACJA

dern Vegetarian Cooking from Global Poland” („Nowe Rozkoszne. Polskie przepisy, które ekscytują”, wyd. Buchmann). Tę drogą przez tydzień promował w Nowym Jorku. Jego mieszkańcom serwował m.in. pierogi z wędzonym twarogiem, pieczonym seilerem i olejem koperkowym i zupe ogórkową z kiszonych ogórków, z kurkumą i śmietanką z orzechów włoskich. Jako przykład podaje Tajlandię, która była jednym z pierwszych państw, poza Włochami, gdzie jedzenie od wieków gra pierwszą rolę, promujących się przez kulturę kulinarną. Zaczęło się w 2002 roku i były to, jak mówi Korkosz, pierwsze działania na polu dyplomacji kulinarnej zakrojone na tak szeroką skalę. – Tajlandia zainicjowała dwie wysokobudżetowe i globalne kampanie marketingowe: „Global Thai” i „Thailand, Kitchen of the World”. Ich celem było zwiększenie liczby tajskich restauracji na całym świecie. Tajski rząd zdał sobie sprawę, że każda z takich knajp może być małą placówką dyplomatyczną, która nie tylko szerzy informacje o państwie i kulturze, ale też zwiększa zapotrzebowanie na oryginalne tajskie produkty. A koniec końców zachęci do odwiedzenia Tajlandii – opowiada Korkosz. Oplaciło się. Tajlandia, według raportów Światowej Organizacji Turystycznej działającej przy ONZ, od lat jest w pierw-

szej dziesiątce najchętniej odwiedzanych krajów na świecie. W stawce są również Francja, Hiszpania, Stany Zjednoczone, Chiny, Włochy, Turcja, Meksyk, Niemcy czy Wielka Brytania. Kraje nie tylko chętnie odwiedzane, lecz także z popularnymi kuchniami. – W ostatniej dekadzie na popularności zyskała również kuchnia koreańska – kontynuuje Rozkoszny. – To też jest zasługą dyplomacji kulinarnej, którą nazywa się „dyplomacją kimchi”. Korea Południowa, która jest krajem bardzo mięsnym, nacisk położyła na kimchi i fermentację. Na całym świecie organizowali wydarzenia kulinarne pokazujące bogactwo swojej kuchni i kultury. PRZEZ ŻOŁĄDEK DO SERCA – MÓWI ROZKOSZNY Czemu więc dyplomacja polskiej kiszzonej kapusty i bigosu nie działa? – Prawdopodobnie te działania nie są skuteczne – konstatuje Rozkoszny. Dyplomacja kulinarna jest równie istotna, jak działania dyplomatyczne na polu kulturalnym, społecznym czy wojskowym. Te miękkie zabiegi mogą zwiększyć rozpoznawalność kraju i budować jego pozycję na świecie.

– Przez żołądek do serca – mówi Rozkoszny, który dyplomacji kulinarnej poświęcił swoją pracę dyplomową na kierunku stosunki międzynarodowe. – To polskie powiedzenie świetnie ilustruje, jaką siłę ma jedzenie. Magdalena Tomaszewska-Bolałek podkreśla natomiast, że docieranie do ludzi przez opowiadanie o historii czy kulturze w tradycyjny sposób jest działaniem nieskutecznym. – Kluczowe są kuchnia, kine-matografia, muzyka, sztuka – tłumaczy badaczka. I jako przykład również podaje Koreę Południową. – K-pop (koreańska muzyka), K-drama (seriale telewizyjne) oraz K-food (koreańskie jedzenie) to coś, czego bez problemu doświadczamy w Polsce. Dzięki dyplomacji kulinarnej kraj zyskuje rozpoznawalność na arenie międzynarodowej. A jedzenie, jak zgodnie podkreślają i badacze, i autorzy, i autorki książek kulinarnych, jest tematem uniwersalnym, który trafia do wszystkich. – Jedzenie to idealny sposób na promowanie kultury, bo to coś, co łączy nas wszystkich. Dodatkowo dziś ludzie są znacznie bardziej zainteresowani jedzeniem i przepisami z całego świata – mówi Zuza Zak, autorka książek kulinarnych, m.in. o kuchni polskiej, od lat mieszkająca w Wielkiej Brytanii. Jej książką „Pie-rog. Over 50 Recipes to Create Perfect Po-



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL



FOT. MICHAŁ WALCZAK / AGENCJA WYBORCZA.PL

lish Dumplings” zachwycala się sama Nigel-la Lawson.

Zak obserwuje coraz większe zainteresowanie kuchnią polską na Wyspach. I jak podkreśla: nie tylko dlatego, że mieszka tam wielu Polaków. Jej zdanie podziela inna autorka książek kucharskich poświęconych kuchni polskiej, która mieszka od lat w Anglii, Ren Behan. – Polska kuchnia oferuje coś świeżego i wyróżniającego się, a dzięki temu jest atrakcyjna. Wiele z naszych tradycji kulinarnych jest trendami. Wystarczy wymienić peklowanie, fermentowanie, konserwowanie czy picie kefiru – mówi autorka „Wild Honey and Rye. Modern Polish Recipes” i „The Sweet Polish Kitchen”. – Brytyjczycy interesują się kuchnią polską. Powstają nowe restauracje, piekarnie, polskie produkty dostępne są w marketach. Widzę coraz więcej polskiego street foodu, jest coraz więcej polskich win w kartach restauracji, a ludzie coraz częściej zdają sobie sprawę, że polska wódka najlepiej się sprawdza w martini. Ta obecność i widoczność motywuje ludzi do próbowania polskiego jedzenia i do zwiedzania Polski tropem kuchni.

TURYŚCI KSZTAŁTUJĄ GASTRONOMIĘ

Turystyka, w tym turystyka gastronomiczna, odgrywa niebagatelną rolę w promowaniu kuchni. – Rozpoznawalna kuchnia nakręca turystykę kulinarną, a za tym stoją już konkretne pieniądze. Turystyka kulinarna ma też wpływ na markę narodową – ocenia badaczka.

A na tym polu nie ma powodów do narzekania. Na liście Światowej Organizacji Turystycznej Polska jest na 20. miejscu wśród 50 najchętniej odwiedzanych krajów na świecie. Według danych Obserwatora Gospodarczego Polskę w pierwszych pięciu miesiącach 2023 r. odwiedziło 2,5 mln zagranicznych turystów. Z kolei GUS podaje, że w 2022 r. Polskę odwiedziło 15,9 mln turystów, którzy przyjechali na dłużej, i 55,9 mln odwiedzających jednodniowych.

Czy zatem gastronomiczny potencjał Polski jest równie duży jak Włoch, Francji, Hiszpanii czy krajów skandynawskich? – Kuchnia polska może mieć równie silną pozycję, jeśli tylko ludzie zaczną traktować swoją tradycję kulinarną tak poważnie i być z niej dumni tak, jak dumni są Włosi czy Francuzi. Myślę, że wielu Polaków jest dumnych ze swojej kuchni, jest wielu rzemieślników i kucharzy i trzeba ich promować – mówi Zuza Zak.

– W dużych miastach jest bardzo rozbudowana i ciekawa scena gastronomiczna. Jest co jeść, a turyści są tym zachwyceni – dodaje Korkosz. – Turyści kształtują gastronomię. Jeśli będą przyjeżdżać z potrzebą jedzenia dań kuchni polskiej, to takie miejsca będą powstawać. Ale muszą mieć też wiedzę o kuchni polskiej, żeby chcieć jej spróbować.

Obecność w przewodniku Michelin polskich restauracji, dwugwiazdkowej Bottiglierii 1881 z Krakowa i jednogwiazdkowych

przypisujemy dużo dłuższą historię, i takie, których znaczenie umniejszamy, np. karp. Na pewno ogromny wpływ na ten stan miał PRL. Inna kwestia to brak edukacji z zakresu kultury kulinarnej. W szkole, na biologii o jedzeniu mówi się w kontekście substancji odżywczych, a na historii, jeśli porusza się ten temat, to w ujęciu ekonomicznym: czym i kiedy handlowano.

Polską kuchnię utożsamiamy najczęściej z bigosem, kielbasą, kiszoną kapustą i pierogami. – Pierogi to najbardziej znane polskie danie. Gdy Amerykanie bądź Brytyjczycy mówią „dumplings”, mają na myśli polskie pierogi – opowiada Korkosz. – Potencjał pierogów powinniśmy wykorzystać!

Wykorzystała go już po części właśnie Zuza Zak. Jej „Pierogi. Over 50 Recipes to Create Perfect Polish Dumplings” ukazały się w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i we Francji. Pierogi promują także takie nowojorskie lokale jak Pierogi Boys, Pierozek (jak się reklamują: „Jedyna restaura-

Rozkoszny duży potencjał widzi w żurku, który nazywa „polskim ramenem”.

– Często słyszę określenie, że ta zupa jest „funky”, pokrecona.

Są tam nuty kwaśne, ostre, ale jest też delikatność i aksamitność

cja z kuchnią polską w Ameryce wyróżniona przez przewodnik Micheliną”), Baba’s Pierogies. W Ameryce nad pierogami pochylały się „The New York Times” czy magazyn „Time Out”. – Oczywiście, że do promocji Polski wybrałabym pierogi. Nie bez powodu poświęciłam im całą książkę – mówi, Zak, śmiejąc się. Szybko dodaje: – Powinniśmy też promować bardzo dobre polskie kielbasy. Już można kupić kabanosy w supermarketach w Wielkiej Brytanii, tak że rynek jest na pewno na te produkty otwarty. I oczywiście są polskie ciasta!

Rozkoszny daje również szansę zupom. – To nasze dobro narodowe – deklaruje blogger.

Duży potencjał widzi w żurku, który nazywa „polskim ramenem”. – Często słyszę określenie, że ta zupa jest „funky”, pokrecona. Dla ludzi, którzy jej wcześniej nie próbowali, jest ogromnym zaskoczeniem. Są tam nuty kwaśne, ostre, ale jest też delikatność i aksamitność. Są tam ziemniaki, jajka, zioła. Naprawdę sporo się tam dzieje!

Duży potencjał ma także chłodnik, którego kolor i smak są dla gości z zagranicy zaskakujące. – Przecież chłodnik to zupa Barbie! – mówi Korkosz. – Dorzuciłbym jeszcze wszelkiego rodzaju kiszonki, ogórki małosolne i korniszony. O zupie ogórkowej pisał „New York Times”, a Amerykanie mają obsesję na punkcie pikli i kiszzonek.

Z kolei Ren Behan skupia się na słodkościach. – Słodkie wyroby, ciasta i ciasteczka są świetnym sposobem na wprowadzenie kogoś do nowej kultury kulinarnej, na pokazanie regionalności i tradycji. Cały świat zna już sernik baskijski, pora, by poznał sernik polski. Do tego są rogal świętomarciński, krakowski obwarzanek, piernik z Torunia – jest tyle kulinarnych przygód do odkrycia – zapewnia.

Magda Tomaszewska-Bolałek z kolei sięga do kuchni regionalnej, w której jest szeroka gama ciast i deserów, ryb, dań mącznych i na bazie kasz. – Co roku dałoby się przybliżać światu inne ciekawe produkty i potrawy – zapewnia.

ŚWIAT INTERESUJE SIĘ ZUPĄ OGÓRKOWĄ

Skoro mamy całą gamę produktów, którymi można się promować, to czemu na tym polu niewiele się dzieje? Tu znowu wracamy do dyplomacji kulinarnej. A właściwie jej braku.

Magdalena Tomaszewska-Bolałek: – Nie mamy programu dyplomacji kulinarnej, a Korea Południowa czy Peru – tak. W ostatnich latach bardzo mocno w ten sektor inwestują kraje afrykańskie czy Ameryki Środkowej. Polska nie ma ani programu dyplomacji kulinarnej, ani wieloletniego programu promocji polskiej kultury kulinarnej ukierunkowanego na polskiego odbiorcę.

Zuza Zak: Kuchnia polska jak najbardziej może być sexy dla zagranicznego odbiorcy, ale trzeba ją prawidłowo promować, należy znaleźć sposób, żeby trafić do wszystkich. Zrobić to mądrze.

Korkosz podkreśla, że nie wszystkie działania mające na celu promowanie polskiej kuchni za granicą mogą być oddolne. Fakt, dużą rolę odgrywają szefowie kuchni, blogerzy, autorzy książek kucharskich czy dziennikarze specjalizujący się w tematyce jedzenia, jednak oni nie udźwigną na swoich barkach całego ciężaru działań marketingowych i promocyjnych. I nie zrobią pracy, która leży w gestii Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

– Ministerstwo Rolnictwa tworzy listę produktów tradycyjnych charakterystycznych dla danego regionu. To świetna robota, ale to wciąż za mało – podkreśla blogger. – Bo co z tego, że one są na liście, skoro my ich nie znamy i nic o nich nie wiemy?

Magdalena Tomaszewska-Bolałek: – Lista produktów tradycyjnych często zawiera rzeczy niedostępne dla odbiorców. Gdy podróżując po Polsce, szukałam chleba gryczanego, dania regionalnego Lubelszczyzny, wszyscy patrzyli na mnie z dużym zdziwieniem.

Tu dochodzimy do kwestii PR-u, zarówno zewnętrznego, jak i wewnętrznego, który kuleje.

– Polska miała słaby PR, ale powoli się to zmienia. Widzę zwrot w kierunku polskiej kuchni. Docenia się ją i odkrywa na nowo, a świat interesuje się pierogami i zupą ogórkową. To zainteresowanie jest podstawą przyszłego sukcesu, lecz trzeba podjąć mądre działania, aby to wykorzystać – mówi blogger. – Gdybym nie wierzył w polską kuchnię, to nie pisałbym o niej książek, nie spędzałbym piątego roku mojego życia na próbie zaciekawienia nią świata.

– Chociaż nie przepadam za tym określeniem, to uważam, że kuchnia Polski jest bardzo seksowna. Jest bogata, ciekawa, dopasowana do różnych typów diet, a także do różnych budżetów czy umiejętności kulinarnych gotujących. Bez problemu może podbić świat, jednak trzeba jej w tym pomóc – podsumowuje Tomaszewska-Bolałek. ●



„I dobywszy miecz z pochwy uderzył nim w Złotą Bramę, gdy zaś ludzie jego się dziwili, czemu to czyni, wyjaśnił im to ze śmiechem i wcale dowcipnie: »Tak jak o tej godzinie Złota Brama ugodzona została tym mieczem, tak najbliższej nocy ulegnie siostra najchórzliwszego z królów, której mi dać nie chciał. Jednakże nie połączy się z Bolesławem w łożu małżeńskim, lecz tylko raz jeden, jako nałożnica, aby pomszczona została zaś w ten sposób zniewaga naszego rodu, Rusinom zaś ku obeldze i hańbie«” – tak pisał Gall Anonim (w tłum. Romana Grodeckiego) o okolicznościach powstania legendy najslawniejszego polskiego miecza, czyli Szczerbca Bolesława Chrobrego.

Owo uderzenie w Złotą Bramę w Kijowie miało właśnie uszczknąć nieco z ostrza oręża pierwszego polskiego koronowanego władcy i stąd właśnie określenie: Szczerbiec.

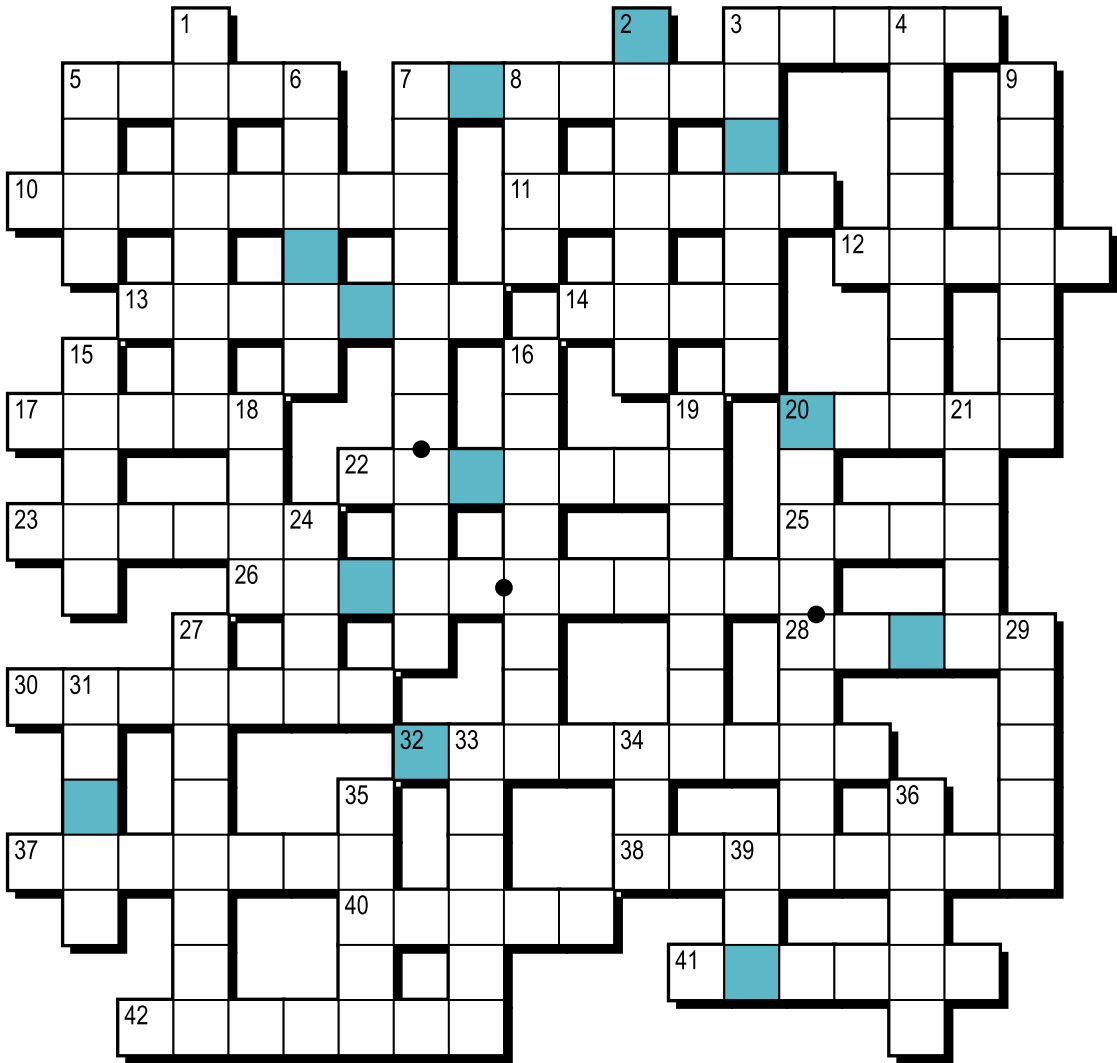
Tyle legenda, którą zresztą za Gallem powtórzyli i Wincenty Kadłubek, i Jan Długosz. Legenda, bo raz, że owa Złota Brama w Kijowie nijak nie istniała za czasów Chrobrego, a dwa, jak wykazały badania miecza, pochodzi on z dużo późniejszych czasów. Tropy historyków Szczerbca analizujących zawiodły badaczy m.in. ku Bolesławowi Kędzierzawemu, księciu krakowskiemu zmarłemu w 1173 roku, Krzyżakom, templariuszom czy wreszcie Bolesławowi Pobożnemu, księciu kalickiemu, którego córka Jadwiga została żoną Władysława Łokietka.

I to właśnie ten niezwykle waleczny i zdeterminowany król Władysław I Łokietek miał użyć jako pierwszy Szczerbca jako insygnium koronacyjnego w 1320 roku.

Po raz ostatni Szczerbiec „służył” podczas koronacji Stanisława Augusta Poniatowskiego 25 listopada 1764 roku. Potem jego losy są pogmatwane – łącznie z pogłoską, że przeleżał gdzieś w rowie nad Dunajem w Bułgarii – przymusowe podróże zawile. Wrócił do Polski w 1924 roku. Po napaści Niemiec na nasz kraj w 1939 roku został wywieziony do Francji, potem, w 1940 znalazł się w Kanadzie. Kolejny raz wrócił do ojczyzny 3 lutego 1959 roku. Trafił do Krakowa, gdzie po dziś dzień przechowywany jest w Państwowych Zbiorach Sztuki na Wawelu.

I właśnie z okazji rocznicy powrotu Szczerbca do kraju – zresztą nie tylko Szczerbca, bo do Polski wrócił wtedy m.in. także wzmiankowany najstarszy zachowany rękopis Kroniki Galla Anonima – dziś siejącą „Weekendówkę” poświęcamy wielkim skarbowi. Wszelakim. Czego tu nie będzie?! Życzę powodzenia w poszukiwaniu skarbu – rozwiązania naszej krzyżówki. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 87 z 27.01:

- Poziomo:**
3) wziętka 6) Monopoly
10) wist 11) papier
12) chirczyk 13) wino
14) Mario Bros
17) wymiana 20) remibrydż
22) Tetris 23) konkurs
24) próba 25) remis
26) zielone 30) pary
35) szansa 36) król kier
38) atut 40) inwit
41) Fortuna 42) PlayStation
43) rywalka

- Pionowo:**
1) totalizator sportowy
2) domino 3) wyścigi 4) Indie
5) tarcza 7) okręty 8) pik
9) otwór 10) wyniki
14) miasz 15) berek
16) order 17) warcaby
18) mistrz 19) automat
21) makler 27) odzywka
28) Einstein 29) stadion
31) ruletka 32) pionek
33) gra 34) hetman 37) mikst
39) typy

HASŁO:
PRACA KRUPIERA

WITAJ, SKARBIE

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 3)** ze skarbami w gablotach
5) skarbiec z baśni o Ali Babie
7) Bursztynowa ..., wciąż czeka na odnalezienie
10) w nich skarby strzeżone przez koboldy
11) Złoty ..., wciąż czeka na odnalezienie
12) nazwisko najślynniejszego filmowego poszukiwacza skarbów
13) nazwisko w tytule filmu Jerzego Passendorfera „Skarb kapitana ...”
14) Nicolas, zagrał w filmie „Skarb narodów”
17) ... Śląska, dolnośląskie miasto kojarzone z cennym

- znaleziskiem dawnych monet i klejnotów
20) w jego kolekturach można nabyć zdrapkę „Starożytny skarb”
22) imię postaci z określenia 12 poziomo
23) złote ... z ogrodu Hesperyd, wykradzione przez Heraklesa
25) złote ..., cel wyprawy Jazona
26) zagrał w komedii Leonarda Buczkowskiego „Skarb” (1948 r.)
28) ustrój kojarzący się ze skarbem Romanów
30) Łukasz, zagrał w serialu „Skarb sekretarza”
32) poszukiwacz skarbów przeszłości
37) „Skarb w Srebrnym ...” Karola Maya (wpisujemy w mianowniku)

- 38)** złota ..., zaginione okręty ze skarbami zrabowanymi przez Hiszpanów w Nowym Świecie
40) Klondike na Alasce
41) w powieści Tolkiena mówił: „Mój ssskarbie...”
42) Koh-i-noor

Pionowo:

- 1)** „Miłość, ... i krokodyl”
2) Weronika, autorka powieści „Rodzina Monet. Skarb”
3) wielka suma pieniędzy; fortuna
4) skarb pod opieką kustosa
5) baśniowe stworzenie śpiące na stosie skarbów
6) złote – w skrzyni ze skarbem
7) sequel filmu z pozycji 1 pionowo

- 8)** z iksem oznaczającym miejsce ukrycia skarbu
9) „Matko, pamiętaj: ... twój skarb”, hasło z komedii „Nie ma róży bez ognia”
15) Święty ..., skarb nad skarby odnaleziony przez Galahada
16) odziedziczył fortunę po bogatym krewnym; spadkobierca
18) ... Przymierza, poszukiwana m.in. przez nazistów w filmie Stevena Spielberga
19) skarb ..., czyli fiskus (wpisujemy w mianowniku)
20) poszukiwaczka skarbów i przygód z gry komputerowej „Tomb Raider”
21) starożytne miasto kojarzące się z odkryciem Schliemanna i skarbem Priama

- 24)** „Pirackie złoto z wyspy ...”, do obejrzenia na Netflixie
27) badacz, którym nieobcy jest cytat: „Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje”
29) ponoć u jej końca jest zakopany garnek ze złotem
31) ... Skarbu Świętego, przyznawany w Japonii
33) ... Louis Stevenson, napisał „Wyspę skarbów”
34) „... i skarb wuja Leona” Marcina Pałasza
35) pochłonięto niejedną skarbu piratów
36) rzymski komediopisarz, autor „Skarbu”, który zainspirował Moliera do napisania „Skąpca”
39) „... proroka”, film przygodowy z tytułowym diamentem w tle

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34295017

Byłe do

Weekendówka

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**

POBIERZ Z **Google Play**